II-3485 16.11 19 81

W NUMERZE: Reportaż B. Wrzesińskiej z Iwanowa ■ L. Włodkowski pisze o kłopotach komunikacyjnych Łodzi ■ T. Soldenhoff o działalności krakowskiej „Kuźnicy" ■ K. Frejdlich o życiu i twórczości J. Korczaka ■ Przekłady T. Chróścielewskiego i J. Huszczy ■ Siedem lat za Wielką Bramą ■ Katastrofy na morzu ■ Nowela filmowa T. Wieżana „Gołębiarze" ■ Recenzje ■ Polemiki ■ Felietony T. Papiera i H. Safrina

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 1 (1100) ROK XXII 7 STYCZNIA 1979 R. CENA 3 ZŁ

Foto: Archiwum

RYSZARD BINKOWSKI

WSPÓLNOTA

W WALISZEWIE przemieszało się nowe ze starym, zarówno w ludziach, w ich poglądach, sposobie myślenia, jak i w budowlach.

Obok nowoczesnej placówki handlowej — osiemnastowieczny kościół drewniany, konstrukcji zrębowej, z obrazami z XVIII i XIX w., kamienną chrzcielnicą gotycką z 1538 r. (kościół pierwotny istniał już w XIV wieku) i płytą nagrobną chorążego łęczyckiego Feliksa Waliszewskiego.

Niemal na wprost drewnianej karczmy (konstrukcja sumikowo-łątkowa, jak określają fachowcy) z końca XVIII w., gdzie w roku 1909 urodził się profesor **Henryk Jabłoński**, stoi piękna, nowoczesna, kolorowa szkoła, w której pracuje starsza z córek **Antoniego Olejniczaka**, Grażyna.

W starej karczmie mieszka z rodzicami i młodszą siostrą Marysią, studiującą zaocznie na Akademii Rolniczej, **Grzegorz Olejniczak**, który wraz z bratem Sylwestrem i ojcem wznosi obiekt, jakiego jeszcze w **gminie Bielawy** ani w województwie skierniewickim nie było, z czego najbardziej dumny jest inż. **Władysław Materowicz** z WOPR w Bratoszewicach, bo to on gorąco Olejniczaków do tego obiektu namawiał, chociaż, jak twierdzi, długo ich nie musiał przekonywać, ponieważ są ludźmi z wyobraźnią, mądrzy i pracowici, i sama rozmowa z nimi to przyjemność.

Ale oprócz Olejniczaków w **Waliszewie** jest jeszcze trzydziestu gospodarzy, a pośród nich żywy, chodzący anachronizm cherlawego, zdziwaczałego chłopa, który skonstruował prymitywny wózek i z kosą na ramieniu snuje się nad stawami w **Psarach** jak złowróżbna zjawa, kosi trzcinę, ładuje na wózek, zaprzęga się do niego i ciągnie mozolnie do swej nędznej zagrody. Kiedy mu się proponuje lepsze, opuszczone gospodarstwo koło Bolimowa, wygraża kosą tak samo zresztą reaguje na propozycję wypożyczenia mu konia. Ale bystry jest jak cholera, przebiegły i chytry, gdy nadchodzi poborca, załatwia się bezczelnie w sieni albo wylewa garnek mleka na rozpaloną płytę kuchenną i urzędnik za Boga do izby nie wejdzie. W tym całym swoim wariactwie jest też nowoczesny, a przyczyniła się do tego likwidacja analfabetyzmu, dzięki której facet umie pisać. Pisze więc listy do wszystkich instancji, najwspanialszym zaś jego sukcesem epistolograficznym był list skierowany do naczelnika więzienia w Łęczycy z prośbą, aby go zamknąć, bo z takimi owakimi synami jak w Waliszewie dłużej już nie wytrzyma...

Kiedy ten opuszczony, zagubiony sam w sobie i pośród żyjących, człowiek kosił nad stawami trzcinę, bracia Olejniczakowie rozbierali należące do Państwowego Gospodarstwa Rybackiego w Psarach komórki o drewnianych dachach i murowanych ścianach. Matka oświadczyła na podwórzu, że **Antoni Olejniczak** jest w Łowiczu, wróci wieczorem, wobec czego można będzie pogadać z synami, i skierowała nas na miejsce rozbiórki.

Pracowali przy trzaskającym mrozie, ładując cegły i gruz na przyczepę starego traktora. Byli w jednolitych waciakach i czapkach uszankach, młodzi, zdrowi, podobni do siebie pod każdym względem, ciemnowłosi i niebieskoocy, o silnych rękach i czerstwych, ogorzałych uśmiechniętych twarzach. Sylwester, lat 34, który założył wcześniej rodzinę i przez lata cierpliwie budował od podstaw własne gospodarstwo (dom i budynki inwentarskie) dołączając do niego w pierwszej kolejności (i pierwszy we wsi) pralkę automatyczną dla żony, z czego sąsiedzi się podśmiewali, a teraz już przestali, bo on się z nich śmieje, okazał się „rzecznikiem prasowym" ich familijnej spółdzielni rolniczo-hodowlanej, i zawiózł nas do nowego, wspólnie wznoszonego obiektu, usytuowanego 200 m za wsią, bo bliżej nie chcieli dać planu, co wyszło na lepsze, ponieważ tam w polu, obok starego sadu, ładniej jest, trochę wyżej i nie ma takiego cholernego błota, jak we wsi. W drodze Sylwester zdążył wyjaśnić, że dyrekcja **Państwowych Gospodarstw Rybackich w Łodzi** przesłała do **Urzędu Gminy w Bielawach** ofertę na rozbiórkę komórek w Psarach. Nikt się nie zgła-

Dalszy ciąg na str. 6

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

ŚWIĘTOKRZYSKI SZLAK LITERACKI

Okolica moja — górnolica —
Zaziemiona polami,
Zadrzewiona lasami,
Ułączniona nadwodnie,
Urzeczona przypolnie,
Okolica moja — pagórnica —
Ojczyźnica

Tak pisał o Kielecczyźnie zmarły przed niespełna dziesięcioma laty Stanisław Czernik. Jest w tym fragmencie znanego wiersza umiłowanie kieleckiego krajobrazu i jednocześnie spora doza tęsknoty za ziemią lat dziecinnych i młodzieńczych. I choć obecnie krajobraz kielecki zmienił się nieco, bo pojawiły się w nim różne zakłady przemysłowe, można chyba zacytować w służebnej funkcji motta ów fragment napisany piórem poety uosabiającego poniekąd swego rodzaju arkę przymierza pomiędzy literacką Kielecczyzną, a literacką Łodzią, jako że Stanisław Czernik — nierozerwalnie z naszym miastem złączony — rodem jest właśnie z Ziemi Kieleckiej. Czernikowym niejako tropem podążyli (na przykład Tadeusz Papier i Wiesław Jażdżyński) i podążają liczni następcy — od lat bowiem literackie Kielce ciążą ku Łodzi, poszukując tu przede wszystkim instytucjonalnego wsparcia w oddziale Związku Literatów Polskich oraz w wydawniczej oficynie.

Każde środowisko literackie, bez względu na wielkość i rangę, musi posiadać możliwości publikacji, mieć do dyspozycji prasę oraz wydawnictwa, aby mogło prawidłowo funkcjonować i rozwijać się. Autorzy kieleccy oscylują między Krakowem, Lublinem, Warszawą i Łodzią. Najbliższe kontakty łączą ich właśnie z „ziemią obiecaną".

Wkrótce po rozpoczęciu działalności kieleckiego Klubu Literackiego (powołano go do życia 21 grudnia 1965 roku) pisała „Trybuna Ludu":

„Największym osiągnięciem Klubu jest nawiązanie kontaktów z Wydawnictwem Łódzkim, w rezultacie których należy się spodziewać, że w perspektywie najbliższych lat Klub osiągnie swój cel: przygotuje grunt do powstania oddziału Związku Literatów Polskich w Kielcach".

Cel ten nie został jeszcze osiągnięty (optymiści twierdzą, iż jest to kwestia kilkunastu miesięcy, pesymiści powiadają, że raczej należy liczyć się z oczekiwaniem kilkunastoletnim), sama saś współpraca z wydawnictwem różne przechodziła okresy (bywały na przemian lata chude i tłuste), niemniej jednak jeśli zestawić kielecką bibliografię literacką ostatniego, powiedzmy, piętnastolecia, to okaże się, że absolutna większość pozycji wydana została właśnie w Łodzi: książki Waldemara Babinicza i Ewy Ląbrowskiej-Orzelskiej, powieści i wiersze Ryszarda Miernika, tomiki poetyckie i proza Henryka Jachimowskiego, tomiki Bogdana Pasternaka, szkice historycznoliterackie Stanisława Mijasa, gawędy i opowieści Świętosława Krawczyńskiego, zbiorówki „Ponidzia", utwory z kręgu literatury faktu Bronisława Zapały, Zbigniewa Nosala, Bogusława Rajcherta oraz Agnieszki Barłóg.

Kontakty między kieleckim środowiskiem literackim a Wydawnictwem Łódzkim uregulowane zostały formalnie: 21 lutego 1976 roku dyrektor Wydawnictwa dr Jacek Zaorski i dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach Maciej Kowalczewski podpisali porozumienie, w myśl którego Wydawnictwo Łódzkie przeznaczyło około dziesięciu procent swego planu wydawniczego na książki autorów związanych z regionem kieleckim.

Również sformalizowane są sprawy między Klubem Literackim w Kielcach a Oddziałem Łódzkim Związku Literatów Polskich. Oddział sprawuje opiekę nad pisarzami kieleckimi, a prezes Klubu, Bogdan Pasternak, jest członkiem zarządu Oddziału Łódzkiego ZLP. Pogłębieniu wspomnianych więzów formalnych służył dwudniowy (9—10 września 1977 roku) pobyt pisarzy łódzkich na gościnnej Ziemi Kieleckiej, połączony ze spotkaniem z wszystkimi członkami Klubu Literackiego oraz z adeptami pióra zrzeszonymi w Koresponn-

Dalszy ciąg na str. 9

ZWIERZENIA PRZY CHOINCE

Na spotkaniach autorskich padają różne pytania: łatwe i trudne. Nie można lekceważyć żadnego. Często te pozornie łatwe kwestie wymagają bardzo gruntownej i szczerej odpowiedzi. Na ile zdawałoby się prostych pytań odpowiedziała Maria Dąbrowska w swojej przeuroczej i pięknej „Gawędzie o literaturze".

W godzinnej rozmowie trudno jest odpowiedzieć na wszystkie wątpliwości dyskutantów. Nie wiem czy moje ostatnie wizyty w bibliotekach w Ujeździe i Ozorkowie (spotkanie w Ozorkowie odbyło się przy zapalonej choince, nastrój sprzyjał zwierzeniom) zadowoliło wszystkich słuchaczy. W Ozorkowie odpowiadałem na kwestię jaką rolę w pracy pisarzy odgrywają lektury innych książek, zarówno z literatury pięknej jak i naukowych, czy popularnonaukowych. Przez wiele lat (można już dzisiaj powiedzieć: dziesięcioleci) byłem redaktorem zarówno w pismach społecznokulturalnych jak i ostatnio, do 1974 r. w oficynie wydawniczej. Mogłem więc opowiedzieć, jakie korzyści, jako autor, wyniosłem z tej pracy. Jako redaktor pracowałem nad wieloma tytułami. Wymieniłem między innymi takie pozycje, jak Jana Naumiuka „Robotnicze Kielce", Zbigniewa Nosala „Pieśń o zabiciu", Tadeusza Szewery „Niech wiatr ją poniesie" czy rzecz o poległych za władzę ludową „Za ojczyznę i za lud". Opracowanie każdej z tych książek wymagało dodatkowych studiów, każda dostarczała nowych wzruszeń i wzbogacała to, co nazywamy, nie wiem czy najzręczniej, warsztatem pisarza. W mojej ostatniej książce „Cienie na piaskowej górze" i wcześniejszej książce w „Cichych jeziorach" wiele korzystałem ze śpiewnika Szewery, pomocny był Naumiuk z nowym spojrzeniem na Kielce, niewyczerpanym źródłem okazały się pamiętniki chłopskie, zwłaszcza pamiętniki młodego pokolenia Polski Ludowej, które odbijają najistotniejsze przemiany społeczne i psychologiczne zachodzące na polskiej wsi po wojnie, a są także skarbnicą języka polskiego. Ile zapomnianych, a pięknych słów można odnaleźć na kartach tych wspomnień, porzekadeł, przysłów, ile obrazów obyczajowych.

W pracy pisarskiej nie można pomijać żadnego źródła. W jednej z moich powieści wykorzystałem na przykład opis przedstawienia z czasu wojny, które było wydrukowane w piśmie „Wieś" Autorem tego opisu jest Zygmunt Kałużyński. Mój bohater przyznaje, że ten tekst posłużył mu do odtworzenia dramaturgii i atmosfery przedstawienia, które polecił mu zorganizować jego dowódca. Była zima na przełomie czterdziestego trzeciego i czterdziestego czwartego. Przedstawienie wiązało się ze świętami, a jednocześnie zawierało wątki patriotyczne. Bohater wyznaje: czas okrył mgłą wspomnienie. Nie zachowały się notatki z tego wydarzenia. Nie wiem, czy słowa, które dzisiaj wkładam w usta aktorów, były te same, co drukowane we „Wsi". W każdym razie kwestie były bardzo zbliżone, może się nawet powielały. Albowiem źródła były wspólne: Kolberg, opracowania Schillera.

Bohater książki opowiada: W lesie, za Łysą Górą, w pobliżu jeziora stała pusta szopa. W niej urządziliśmy teatr. Na tylnej ścianie sceny rozwiesiliśmy papier z opakowań, narysowaliśmy na nim grubą krechą kontury Europy i linię frontu, która wtedy biegła już daleko na zachód od Moskwy, wolny był także wielki łuk Dniepru i Ukraina. Tę część mapy rozjaśniliśmy, a nad Moskwą wyklejona była z czerwonego papieru wielka gwiazda. Z lewej strony zbudowaliśmy szopkę. Widać było żłobek wyłożony sianem, prostą ławę. W niej to, w końcowej części przedstawienia, znaleźli schronienie stary Józef i Maria. Przedstawienie zaczynało się wezwaniem:

Silentium, partyzanci, czapki
proszę z głowy,
Przychodzimy tu do was,
orszak kolędowy...
Kto wolności w swem sercu
jasełeczko uczyni,
Ten będzie miał urodzaj w
polu, a skarb w skrzyni!
Kto litośnie żołnierza dzisiaj
przenocuje,

Niechże się już w tym roku o
nic nie turbuje!

Józef i Maria kolejno szukają schronienia u możnych tego świata, wszędzie znajdują odprawę (szlachcic im odpowiada: „Zjedz kata! Kto pozwolił ci, dziadu, witać mnie jak brata?"), aż wreszcie Józef zapukał do chałupy chłopa. Chłop początkowo się wzbrania, ale jego żona krzyczy: „Czyś ty rozum postradał, czy śpisz jeszcze chłopie? Nie ma miejsca w alkierzu, to znajdzie się w szopie. Nie szukajcie już, panie, po mieście gospody, połają was, stukają, miasto dać wygody. Prosimy lichmość państwa do domku naszego. Będziemy wam służyli z serca ochotnego" Przedstawienie kończy się śmiercią złego króla Heroda. A oto ostatnie słowa:

Wszelki, co mieczem jeno, albo
rządzi złotem,

Legnie pokotem!

Wszyscy krzyczeli: legnie pokotem, a miano na myśli jednego tylko purpurata, Hitlera.

W „Cichych jeziorach" jednym z moich bohaterów jest nauczyciel z dalekiej od Łodzi wsi Sufczyce, Józef Kozioł. Kreśląc jego portret opartem się na jego wyznaniach, które spisywał za moją namową. Jemu też dedykowałem powieść. Jest to piękna postać, jeden z działaczy ze starego albumu, który na zawsze zapisuje się w pamięci swojej wsi.

Owe źródła, owe lektury, wspomnienia, pamiętniki, opracowania historyczne, socjologiczne czy też inne teksty literackie pomagają pisarzowi w odtwarzaniu epoki, którą się zajmuje. Ale pomocne są też w kształtowaniu nowego spojrzenia na tę epokę, na nową interpretację minionych zdarzeń czy mitów, które wokół tych zdarzeń lub postaci wyrastają. W ten sposób ocenia powieść Władysława Rymkiewicza „Portret królowej" Hamerliński pisząc o znanym pisarzu, że zastanawia się on, jaką jest geneza narodzin mitu o Jadwidze renesansowej, bada okoliczności jego rozwoju, jego roli. Ale żeby przedstawić spór młodego historyka z grupą adwersarzy, broniących mitu Jadwigi, Rymkiewicz musiał przejrzeć wiele opracowań historycznych. I w tym miejscu, rzec można, zamyka się owo koło pracy pisarskiej. Ale czy rzeczywiście na tym kończy się praca pisarza?

TADEUSZ PAPIER

NA PERYFERIACH LOGIKI

Doświadczenie uczy, że można się uwiecznić w każdej dziedzinie i na każdym polu — ba, nawet na łączce biurokracji. Do takich szczęśliwców należał za panowania Habsburgów pewien prezes Sądu Okręgowego, do którego zgłosił się kierownik kancelarii z nieśmiałą propozycją spalenia akt sprzed lat dwudziestu, pod których ciężarem uginały się półki szaf i pękające w szwach skoroszyty.

— Dobrze — zadecydował po krótkim namyśle luminarz austriackiej palestry. — Ale najpierw sporządzić należy po dwa wierzytelne odpisy każdego aktu...

Ta historia, która wydarzyła się za czasów mego niemowlęctwa, odżyła w mojej starczej pamięci, gdy wtajemniczono mnie w szczegóły pewnego sławetnego zarządzenia nadrzędnych organów Opieki Zdrowotnej, zmuszającego lekarzy i pacjentów do podwójnego, a częstokroć potrójnego wysiłku i straty czasu, jeśli chodzi o zapisywanie i nabywanie nieodzownych leków. Problem tej perełki zrodzonej w odmętach współczesnej biurokracji, był już szeroko omawiany na łamach naszego pisma. Pominięto jednak pewien ważny szczegół: otóż każdy doktor zobowiązany jest kopię wydanej inwalidzie bądź emerytowi recepty przyklejać (sic!) do karty chorobowej pacjenta. Nie trzeba zbyt bujnej wyobraźni, aby uzmysłowić sobie, jaki ta karta po upływie kilku miesięcy przybierze wygląd i czy będzie można z niej cokolwiek odczytać. Ale po co szermować argumentami logiki, skoro racjonalizator, który wymyślił tę innowację, jest w pełni usatysfakcjonowany!

Co do mnie, muszę wyznać, że zapoznawszy się z tym ostatnim „usprawnieniem", udałem się w te pędy do kiosku, aby w porę zaopatrzyć się w parę tubek „Plastusiów". Rozumowałem przy tym, że jeśli wszyscy lekarze będą postępowali zgodnie z nową instrukcją, to może zabraknąć w placówkach handlowych najpowszedniejszego kleju.

Zastrzegam się, że jestem daleki od wszelkiego panikierstwa lub gromadzenia jakichkolwiek zapasów, ale rodzimy nasz Merkury lubi od czasu do czasu płatać swej klienteli przeróżne figle. I tak, przed niedawnym czasem rozległy się w działach miejskich łódzkich gazet reklamowe fanfary, oznajmiające wszem wobec i każdemu z osobna otwarcie specjalnego sklepu wód mineralnych — i to w centrum naszego grodu, przy ulicy noszącej nazwisko naszego nieśmiertelnego Poety. No i co? Zaledwie zdążyłem przytaszczyć do domu dwie butelki tak bardzo potrzebnej moim jelitom „Dąbrówki" i „Wielkiej Pieniawy" — i wnet zabrakło ich w nowo otwartym sklepie i stan ten trwa nieprzerwanie od trzech tygodni...

Przekonałem się natomiast, że wzrosły chyba niepomiernie zapasy naszego papieru i niepotrzebnie wydawnictwa — że się tak obrazowo wyrażę — zaciskają pasa.

Dotyczy to, mościwey kochani Spisu Powszechnego, tego ze wszech miar ważnego wydarzenia w dziejach naszego Kraju i Narodu. Otóż na pięć dni przed rozpoczęciem Spisu podrzucono mi, jako głównemu lokatorowi, „formularz pomocniczy", celem udzielenia dokładnej informacji o powierzchni użytkowej mego mieszkania. W myśl załączonego okólnika proszony byłem o wyszczególnienie wszystkich zamieszkałych przez moich domowników pomieszczeń wraz z przedpokojem, łazienką, śpiżarnią i ustępem(!), podając w metrach oraz liczbach dziesiętnych długość, szerokość i ogólną powierzchnię każdego locum z osobna — nie wyłączając dyskretnego miejsca, do którego sam cesarz zwykł był chodzić piechotą.

Ponieważ nie posiadam ani taśmy, ani składanego metra, a pragnąłem zadość uczynić prośbie organów statystycznych, musiałem nolens volens posłużyć się centymetrem krawieckim — klęcząc na twardych parkietach i nieporównanie twardszych i zimniejszych płytach kamiennych.

A kiedy już dokonałem tej herkulesowej pracy, okazało się, że była ona zgoła niepotrzebna. Zjawiła się u nas bowiem, i to o dzień wcześniej, urocza pani rachmistrz spisowy, nie zwoliła nawet zajrzeć do sporządzonego przeze mnie elaboratu czyli wypełnionego sumiennie „formularza pomocniczego", spytała tylko o ogólną powierzchnię użytkową mieszkania — i cały ten proceder trwał niespełna dziesięć minut.

Po jej odejściu pomyślałem sobie: obeszło się bez dwóch zadrukowanych kartek, które pomnożone o ilość mieszkań w skali krajowej...

Ech, nie gubmy się w lesie cyfr! Widocznie stać nas na to.

HORACY SAFRIN

Kronika kulturalna

* * *

Ukazał się nowy numer „Łódzkiego Numizmatyka", zawierający 121 bogato ilustrowanych stron oraz 35 tablic. W numerze tym znajdą czytelnicy 32 artykuły, wspomnienia, sprawozdania i przyczynki, a nawet fraszki dotyczące numizmatyki, ekslibrisów, ikon itp.

* * *

Na Wieczór w Harendzie — poświęcony X Rocznicy śmierci Marii Kasprowiczowej — żony wybitnego poety, zaprosiło nas Stowarzyszenie Przyjaciół Twórczości Jana Kasprowicza w Zakopanem. Wieczór odbył się 10 grudnia, a wśród wykonawców z przyjemnością odnaleźliśmy nazwiska dwojga studentów łódzkiej PWSFTviT — Darii Trafankowskiej i Krzysztofa Kaczmarka oraz studenta PWSM w Łodzi — Tomasza Bartosika. Uwagę naszą zwrócił również sympatyczny dopisek na zaproszeniu: „Miejsce z kawą lub herbatą mile widziany przez — Muzealny Czajnik".

* * *

Z umiejętności członków Akademickiego Klubu Górskiego SZSP skorzystała ostatnio łódzka Biblioteka Uniwersytecka. Bracia Paweł i Piotr Lipkowie pomagali przy pionowaniu szybu dźwigowego czterdziestometrowej długości. Nowy dźwig znacznie ułatwi (czy również przyśpieszy?) transport książek z magazynu do rąk czytelników...

* * *

W Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego otwarta została w grudniu wystawa pt. „Działalność łódzkiej organizacji KPP w 60 rocznicę powstania partii i odzyskania niepodległości". W gablotach wystawy znalazły się m. in. fotografie działaczy, listy, ulotki, odezwy, plakaty. Filmy archiwalne stanowią uzupełnienie tej interesującej wystawy. Autorami jej scenariusza są Jerzy Langer i Wanda Ptaszyńska, projektu i realizacji plastycznej — Ryszard Kuba Grzybowski i Juliusz Czajkowski.

* * *

Z ogłoszeń drobnych („Express Il." nr 271 z 12.12.78): „Inteligentny, wykształcony, zamożny, kawaler, mieszkanie, wiek średni, uzdolnienia LITERACKIE — pozna panią do lat 40. Cel matrymonialny"...

* * *

W grudniu wyświetlany był w kinach całego kraju plakat filmowy zrealizowany w łódzkim „Se-Ma-Forze" na rocznicę 30-lecia zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego. Film „30 lat PZPR" oparty został na materiałach ikonograficznych z Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi. Reżyseria — H. Ryszka, zdjęcia — G. Świetlikowski.

* * *

Ten sam „Se-Ma-For" jest autorem filmu „Wszystkie dzieci są nasze", który powstał na specjalne zamówienie Komitetu „Cinema for Unicef", utworzonego z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka. Film polski będzie jedną z części składowych 55-minutowego obrazu, zrealizowanego łącznie przez 10 kinematografii. Scenariusz filmu „Wszystkie dzieci są nasze" napisała H. Bielińska, reżyserowali: A. i J. Kotowscy, operatorem obrazu jest G. Świetlikowski.

* * *

Odświętny wygląd przybrała Łódź podczas grudniowych obchodów 60 rocznicy powstania KPP i 30 rocznicy Kongresu Zjednoczeniowego. Projekty dekoracji w czynie społecznym wykonali artyści-plastycy: Juliusz Czajkowski i Jerzy Jędrzejczak. Realizację projektów przyjęło na siebie trzystu plastyków zatrudnionych w zakładach pracy.

* * *

Godny uwagi program artystyczny przygotowało — również z okazji 30 rocznicy powstania PZPR — Stowarzyszenie Muzyki Estradowej w Łodzi. Trzyczęściowy program pt. „Wyrosła z walki", łączący poezję rewolucyjną z pieśniami i muzyką patriotyczną, wyreżyserował S. Rosiak, zaś wykonawcami byli aktorzy Teatru im. Stefana Jaracza.

* * *

Problematyka kulturalna — związana zwłaszcza z realizacją planowanych obiektów, potrzebnych dla rozwoju kultury — była jednym z tematów grudniowego spotkania dziennikarzy łódzkiej prasy, radia i telewizji z prezydentem miasta Łodzi — JÓZEFEM NIEWIADOMSKIM, wiceprezydentami i dyrektorem naczelnym Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej.

* * *

Niedawno otwarta łódzka TRASA W-Z stała się tematem 25 obrazów Józefa Wasiolka, które zgromadzono na wystawie zorganizowanej staraniem Biura Wystaw Artystycznych i Oddziału Łódzkiego NOT. Autor ekspozycji „Budowa Trasy W-Z w malarstwie Józefa Wasiolka" otrzymał z rąk przewodniczącego RN m. Łodzi, I sekretarza KŁ PZPR Bolesława Koperskiego pamiątkowy medal wybity z okazji otwarcia największej łódzkiej arterii.

* * *

Ogłoszono wyniki I ogólnopolskiego konkursu na projekty malarskie gobelinów dla zamków Polski południowej. Pierwsze nagrody otrzymali łodzianie: Benon Liberski za 20 projektów w cyklu „Za naszą i waszą wolność" oraz Helena Tchórzewska za 14 projektów w cyklu „Myślistwo i łowiectwo". Konkursowi patronowało Ministerstwo Kultury i Sztuki. Przyznano w sumie dziewięć nagród i wyróżnień.

* * *

Drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) na ogólnopolskim konkursie na plakat pt. „Oswobodzenie hitlerowskich obozów koncentracyjnych", zorganizowany przez Towarzystwo Opieki nad Majdankiem, ZO ZPAP i ZW ZBoWiD w Krakowie, otrzymał Zbigniew Nitek z Łodzi — za pracę pt. „Oswobodzenie".

* * *

W łódzkim Muzeum Sztuki otwarto wystawę pn. „Francisco Goya y Lucientes — dzieło graficzne ze zbiorów polskich", zorganizowaną z okazji 150 rocznicy śmierci wybitnego malarza i grafika hiszpańskiego. Jest to pierwsza w Polsce wystawa eksponująca niemal całość przechowywanych w naszych bibliotekach i muzeach prac artystycznych. Jak się okazało, w Polsce znajduje się dwie trzecie wszystkich prac graficznych Goyi.

* * *

Sesję popularnonaukową poświęconą łódzkiej sztuce w 60-leciu Polski niepodległej zorganizowały w grudniu Łódzkie Towarzystwo Naukowe i Muzeum Sztuki. Referaty wygłosili: H.: Anders, J. Ładnowska i J. Zagrodzki.

* * *

Na deskach Teatru Wielkiego występował w grudniu w Łodzi jedyny w swoim rodzaju zespół zawodowy — Polski Balet Charakterystyczny, prowadzony przez Mikołaja Kopińskiego. Zespół pokazał cztery balety: adaptację „Halki", oparte na polskich tańcach ludowych „Wesele na wsi", liryczno-komiczny obrazek „Niedziela na Bielanach" oraz humorystyczny obrazek „Umarł Maciek, umarł".

* * *

Zakończył się IV Międzywojewódzki Przegląd Zespołów Artystycznych Związku Nauczycielstwa Polskiego. W czasie finałowego koncertu w ZDK „Chemik" w Tomaszowie Maz. wystąpiło 20 zespołów: chórów, grup wokalno-instrumentalnych i estradowych oraz kapel, skupiających przeszło trzystu uzdolnionych artystycznie nauczycieli z województw: miejskiego łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego.

* * *

Październikowy numer austriackiego miesięcznika „Literatur und Kritik" poświęcony został polskiej literaturze współczesnej. Wśród wielu materiałów odnotowujemy „łodziana": drukowane niegdyś na łamach „Odgłosów" wiersze Zbigniewa Dominiaka w tłumaczeniu Sławy Lisieckiej, recenzję pióra łódzkiego germanisty K. A. Kuczyńskiego oraz przypomnienie działalności łódzkiej grupy poetyckiej „Centrum" (1967—71) w szkicu Zdz. Reszelewskiego o młodej poezji polskiej.

* * *

17 grudnia w Piotrkowie Tryb. zainaugurowano działalność Wojewódzkiego Klubu Literackiego. Klub zrzesza trzydziestu piszących. Patronat nad nim przejął Oddział Łódzki Związku Literatów Polskich. Podczas inauguracji Klubu prelekcje wygłosili łódzcy pisarze — Władysław Orłowski i opiekun Klubu z ramienia OŁ ZLP Tadeusz Chróścielewski. Spotkania dyskusyjne odbywać się będą w piotrkowskim Klubie raz w miesiącu. Udział zapowiedzieli pisarze i literaturoznawcy łódzcy.

* * *

Uroczystą wieczornicę poświęconą związkom twórczości Tadeusza Chróścielewskiego z Ziemią Sieradzką zorganizowały 14 grudnia Klub Młodych Pisarzy i Wojewódzki Dom Kultury w Sieradzu. Prelekcję na temat regionalizmu w literaturze wygłosił T. Chróścielewski. Wydano okolicznościowy druk zawierający „wiersze sieradzkie" autora.

LITERACI U I SEKRETARZA KŁ

22 grudnia 1978 r. I sekretarz KŁ PZPR — Bolesław Koperski przyjął kierownictwo Zarządu Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich. W czasie spotkania przedstawiciele środowiska pisarskiego Łodzi poinformowali I sekretarza o pracy oddziału oraz podejmowanych inicjatywach.

Tow. B. Koperski wyrażając uznanie za dotychczasową pracę pisarzy, podkreślił ważną rolę środowiska literackiego w procesie kształtowania socjalistycznej świadomości społeczeństwa.

KONKURS LITERACKI

Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „UNIONTEX" Zarząd Łódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej — Klub Młodych pisarzy „WIADUKT".

Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego.

Tygodnik Społeczno-Kulturalny „ODGŁOSY" ogłaszają Konkurs Literacki o nagrodę „CZÓŁENKA TKACKIEGO" w trzech kategoriach: — poezji, — prozy, — reportażu.

ZAŁOŻENIA REGULAMINOWE:

— Celem Konkursu jest popularyzacja twórczości literackiej, rozbudzanie talentów oraz stworzenie młodym twórcom warunków do publicznych kontaktów i konfrontacji.

— W Konkursie mogą wziąć udział twórcy niezrzeszeni w ZLP i ZDP, mieszkańcy województw: miejskiego łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego.

— Na Konkurs należy nadsyłać utwory, które do tej pory nie były nigdzie publikowane i nagradzane w konkursach literackich.

— W kategorii poezji każdy uczestnik Konkursu winien nadesłać poemat lub cykl wierszy (minimum 5 utworów) o tematyce dowolnej.

— W kategorii prozy tematyka utworów jest dowolna; objętość ich nie może przekraczać 5 stron maszynopisu.

— W kategorii reportażu prace powinny być tematycznie związane z przemysłem włókienniczym. Organizatorzy Konkursu oczekują reportaży stanowiących artystyczną wizję rozwoju i przemian kulturowych powojennego społeczeństwa polskiego, ukazujących ludzi pracy, a zwłaszcza młode pokolenie Polaków w kontekście najżywotniejszych problemów naszego kraju.

— Nagrody:

— Poezja

I — „Czółenko Tkackie" i 5.000 zł,
II — „Czółenko Tkackie" i 3.000 zł,
III — „Czółenko Tkackie" i 2.000 zł,
dwa wyróżnienia po 1.000 zł.

— Proza

I — „Czółenko Tkackie" i 6.000 zł,
II — „Czółenko Tkackie" i 4.000 zł,
III — „Czółenko Tkackie" i 3.000 zł,
dwa wyróżnienia po 1.000 zł.

— Reportaż

I — „Czółenko Tkackie" i 7.000 zł,
II — „Czółenko Tkackie" i 5.000 zł,
III — „Czółenko Tkackie" i 4.000 zł,
dwa wyróżnienia po 1.500 zł.

— Oceny prac dokona Jury złożone z krytyków i twórców — członków Związku Literatów Polskich oraz przedstawicieli organizatorów. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Prace nadesłane na Konkurs nie będą zwracane.

— Prace konkursowe, oznaczone godłem, należy nadsyłać w 5 egzemplarzach maszynopisu do dnia 31 marca 1979 r. na adres:

— Zakładowy Dom Kultury ŁZPB im. „Obrońców Pokoju" 90—338 Łódź, ul. Przędzalniana 68 z dopiskiem na kopercie: „Konkurs Literacki o Czółenko Tkackie". Do prac należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres autora.

— Rozstrzygnięcie Konkursu i wręczenie nagród odbędzie się w maju 1979 r. podczas uroczystego wieczoru, o czynm Laureaci zostaną powiadomieni.

— Prace nagrodzone zostaną opublikowane w tygodniku „Odgłosy" i honorowane według obowiązujących stawek. Niezależnie od tego zostaną wydane przez ŁZPB im. „Obrońców Pokoju" w jednodniówce literackiej.

— Dodatkowych informacji na temat Konkursu udziela Zakładowy Dom Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju (adres jak wyżej), tel. 673-15.
— Komisarz Konkursu — mgr Józef Gałecki.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF PÓGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

Foto: W. Parys

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NASZE KOMUNIKACYJNE KŁOPOTY

Dzieci mają to do siebie, że pasjami lubią pytać. Powodowani ogólną ciekawością świata, zadają sakramentalne pytanie: dlaczego? Stoi taki brzdąc z mamą na tramwajowym przystanku, ledwie nauczył się cyfry odróżniać i już zaczyna wydziwiać na komunikację miejską.

— Mama — mówi — to jedenastka?

— Tak synku, jedenastka.

— Mama, a to druga jedenastka?

— Tak synku to druga jedenastka.

— Mama, a za nią trzecia jedenastka?

— Tak synku za nią trzecia jedenastka — spokojnie odpowiada mama, choć diabli ją biorą, bo czeka na dwójkę, która jak na złość nie przyjeżdża. Ale brzdąc na tym nie poprzestaje. On musi teraz zadać swoje sakramentalne pytanie: dlaczego?

— Mama dlaczego one jadą w kupie?

— Kto, synku? — mama jest już bardzo zdenerwowana.

— No, te jedenastki — niecierpliwi się mały człowiek

— A te — mówi mama — nie wiem.

— Dlaczego nie wiesz?

— Bo nie wiem.

— A kto wie?

— Tatuś będzie wiedział, zapytasz w domu tatusia — ucieszyła się mama, że znalazła dobre wyjście z sytuacji. Ale małemu to nie wystarcza. Pyta więc dalej: — A pan tramwajarz, taki najważniejszy, który wszystkimi tramwajami w Łodzi kieruje, to on wie?

Musi wiedzieć, bo od początku 1977 roku zaobserwowano w Łodzi

pogarszanie się komunikacji

miejskiej. Wprawdzie w drugiej połowie 1977 roku i w pierwszej połowie 1978 roku komunikacja poprawiła się, ale od połowy 1978 roku znów pogorszyła się. Spowodowało to falę krytyki społecznej. Krytycznie wyrażano się o komunikacji miejskiej w Łodzi w listach do MPK, jak też w listach do redakcji gazet codziennych, co znalazło swoje odbicie na ich łamach. Sytuacja ta zainteresowała nie tylko władze miasta, ale i **Zakład Komunikacji Miejskiej Instytutu Kształcenia Środowiska** który wydelegował do Łodzi specjalistę, docenta dr **Mariana Rataja** a ten sporządził szczegółową analizę stanu komunikacji miejskiej w Łodzi. Miałem okazję zapoznać się z tą analizą, co znajdzie odbicie w niniejszym artykule.

Nie będę tu powtarzał komunałów o znaczeniu komunikcji miejskiej w życiu miasta bo o tym każdy z nas może przekonać się codziennie korzystając z tramwajów i autobusów MPK. Nie będę również powtarzał starej prawdy, że przed wojną mieliśmy mało linii komunikacyjnych, a teraz mamy dużo bo z tego dla obecnego stanu komunikacji absolutnie nic nie wynika. Pasażerów, doświadczających codziennie trudów poruszania się po mieście, nic to nie obchodzi. Są oni raczej ciekawi, dlaczego tak się dzieje i co robi się, aby było lepiej?

Dysponujemy w Łodzi 801 wozami tramwajowymi i 617 autobusami. Dużo to jest, czy mało? Odpowiedź na to pytanie może być dwojaka. Dużo, jeśli porówna się ze stanem toboru z niedalekiej przeszłości. Na przykład w 1970 roku było w Łodzi 780 wozów tramwajowych i 405 autobusów. Ale z tego stwierdzenia również nic nie wynika, bo w 1975 roku MPK miało 821 wozów tramwajowych, a więc więcej niż ma obecnie. I Łódź była wówczas inna. Od tego czasu sporo się w mieście wybudowało i to — co jest bardzo istotne — na jego peryferiach.

Jeśli weźmie się więc pod uwagę rozbudowę miasta, fakt, że właśnie w ostatnich latach nastąpiło wydłużenie się tras komunikacyjnych, że ludzie mają dalej z domu do pracy i z pracy do domu, jeśli weźmie się pod uwagę, że wzrasta ilość ludzi pracujących, że nierównomiernie rozwijają się centra handlowe w mieście i jego poszczególnych rejonach, a więc jeśli weźmie się pod uwagę społeczne zapotrzebowanie, to jasne, że stan posiadania MPK jest mały.

Zróbmy teraz

kilka porównań

mając pełną świadomość, że te porównania są niedoskonałe, ale też mogą mieć charakter pomocniczy. Porównajmy więc na początku ludność kilku tradycyjnie uznanych dużych ośrodków miejskich. I tak:

Warszawa — 1 532,1 tys.
Łódź — 818,4 tys.
Trójmiasto — 728,4 tys.
Kraków — 712,8 tys.
Wrocław — 592,4 tys.
Poznań — 534,4 tys.
Katowice — 350,4 tys.

Z powyższych porównań nic jeszcze nie wynika, gdyż każde dziecko w PRL wie że ŁÓDŹ jest d r u g i m co do wielkości miastem w Polsce. Województwem jest wszakże trzecim. Ilustruje to dokładnie kolejne porównanie. Dotyczy ono liczby mieszkańców poszczególnych województw:

katowickiego — 3 119 tys.
warszawskiego stołecznego — 1 967 tys.
łódzkiego miejskiego — 1 004 tys.
gdańskiego — 989 tys.
poznańskiego — 824 tys.
krakowskiego miejskiego — 796 tys.
wrocławskiego — 745 tys.

Drugie miasto w Polsce jako aglomeracja spada na trzecie miejsce, gdyż jest to jedno z najmniejszych województw w kraju. Wszakże pod względem gęstości zaludnienia wysuwa się na miejsce pierwsze. Oto dane pokazujące liczbę mieszkańców przypadających na km kwadratowy:

łódzkie miejskie — 722,7
warszawskie stołeczne — 587,6
katowickie — 538,0
krakowskie miejskie — 353,6
gdańskie — 175,6
wrocławskie — 166,8
poznańskie — 147,4

A teraz popatrzmy, czym dysponuje to województwo. Ile posiada tramwajów i ile autobusów. Najpierw tramwaje:

warszawskie stołeczne — 935
łódzkie miejskie — 801
katowickie — 563
krakowskie miejskie — 539
wrocławskie — 484
poznańskie — 450
gdańskie — 328

Aliści pod względem stanu posiadania autobusów przedstawia się to zupełnie inaczej:

warszawskie stołeczne — 2 203
katowickie — 1 607
gdańskie — 638
łódzkie miejskie — 617
krakowskie miejskie — 462
poznańskie — 442
wrocławskie — 349

Wszystko to pięknie, ale popatrzmy jeszcze, ile które województwo przewozi średnio w roku:

warszawskie stołeczne — 1 468,9 mln pasażerów
łódzkie miejskie — 787,7 mln pasażerów
katowickie — 731,1 mln pasażerów
krakowskie miejskie — 511,6 mln pasażerów
poznańskie — 436,8 mln pasażerów
gdańskie — 397,1 mln pasażerów
wrocławskie — 346,1 mln pasażerów.

Reasumując

Łódź jest

drugim miastem w Polsce pod względem ilości mieszkańców, ale jednocześnie zajmuje trzecie miejsce w kraju jako aglomeracja i pierwsze pod względem ilości mieszkańców przypadających na jeden km kwadratowy. Pod względem ilości przewozów zajmuje Łódź drugie miejsce w kraju. Dysponuje też największą ilością tramwajów po województwie stołecznym warszawskim, ale pod względem ilości autobusów znajduje się na c z w a r t y m miejscu. Nic więc dziwnego, że autobusy w Łodzi spełniają w komunikacji miejskiej rolę u z u p e ł n i a j ą c ą. Podstawę komunikacji miejskiej, co wynika z danych, stanowią tramwaje. Istnieje wszakże

kilka przyczyn

które uniemożliwiają postęp w tej dziedzinie komunikacji miejskiej.

Po pierwsze — anachroniczny układ komunikacyjny w mieście. Układ ten, tworzony niegdyś dla pojazdów konnych, nie spełnia dziś swojej roli, kiedy na szlakach komunikacyjnych obok tramwajów i autobusów pojawiają się samochody osobowe i ciężarowe. Jeszcze w 1970 roku średnia prędkość poruszania się tramwajów wynosiła 16,3 km na godzinę. Obecnie spadła ona do 15,7 km na godzinę, a w śródmieściu — do 7 km na godzinę. Spada również średnia prędkość poruszania się autobusów poniżej 23,7 km na godzinę.

Obniża się też ciągle współczynnik wykorzystania posiadanego taboru. I tak, jeśli chodzi o tramwaje, to w 1970 roku, chociaż Łódź posiadała tylko 780 wozów tramwajowych, to wykorzystywała je w 36,1 proc., co było wprawdzie niższe od stopnia wykorzystania wozów tramwajowych w 1950 roku, kiedy było ich w Łodzi tylko 536, a kiedy były one wykorzystywane w 87,7 proc. W 1977 roku wykorzystywano je w 83,8 proc. W 1970 roku jeden wóz tramwajowy przejeżdżał 69,4 tys km i to był szczyt, bo już w 1975 roku — 65 tys. km, a w 1977 roku — 66,4 tys. km.

Najpełniej autobusy były wykorzystywane w 1977 roku, bo w 79,2 proc. i nie ma w tym nic dziwnego, gdyż każdy chce podróżować po Łodzi szybko i w miarę wygodnie, a takie warunki zapewniają właśnie autobusy. Ale w 1975 roku jeden autobus MPK przejeżdżał 69,4 tys. km, a w 1977 roku — 68,8 tys. km. W 1978 roku dane te będą niewątpliwie jeszcze niższe, a to dlatego, że brakuje akumulatorów, opon, dętek, i wielu innych części zamiennych. Ogółem — jak stwierdza to raport doc. dr M. Rataja **— brakuje 1 400 różnych rodzajów części zamiennych**. W momencie, kiedy rozmawiałem w MPK na temat stanu komunikacji miejskiej, brakowało 100 autobusów. Stały one po prostu na kołkach, bowiem wymontowano z nich różne części, aby inne mogły wyjechać na miasto.

Po drugie — rozbudowa miasta przy jednoczesnym zbyt powolnym przeobrażaniu dokonującym się w śródmieściu. Do centrum Łodzi więcej dojeżdża ludzi niż tu mieszka. Poza tym większość szlaków komunikacyjnych, łączących peryferie, prowadzi ciągle jeszcze przez śródmieście. Nie przypadkiem więc tutaj właśnie tworzą się korki, które mają wpływ na sprawność komunikacji miejskiej na wielu trasach. Na Teofilowie na przykład pracuje około 35 tys. osób, a mieszka w tym rejonie 60 tys. osób. Ale tylko część mieszkańców Teofilowa pracuje na miejscu, część w śródmieściu, a część na... Dąbrowie lub Nowych Sadach. Dodajmy do tego Radogoszcz, Zgierską-Stefana, Retkinię, Widzew-Wschód, Chojny oraz tereny starej zabudowy, a będziemy mieli pełny obraz komunikacyjnych kłopotów MPK. Nie zapominajmy przecież, że w niedalekiej przyszłości w Radogoszczu będzie mieszkało 45 tys. osób, w Henrykowie — 20 tys., na Widzewie-Wschód — 50 tys., a Retkinia będzie miała około 90 tys. do tego dojdzie Zatorze z około 30 tys. i kłopot przerośnie nasze najśmielsze marzenia i obawy.

Po trzecie — nie oszukujmy się, że fragment wybudowanej trasy „W — Z" rozwiąże kłopoty komunikacyjne w śródmieściu. Ułatwi niewątpliwie komunikację — to pewne. Ale nic poza tym, gdyż dopiero w przyszłym roku rozpocznie się przedłużanie tej trasy na wschód, w kierunku osiedla Widzew-Wschód, Janów, Henryków. Ale prace nad przedłużaniem trasy na zachód rozpoczną się dopiero po 1980 roku. A tu pod wiaduktami w okolicach dworca Łódź — Kaliska występuje „wąskie gardło" i bezapelacyjnie umiejsca korzyść z wybudowanego już fragmentu trasy „W — Z". Przy czym dalszy postęp w zachodniej części tej trasy uzależniony jest od planów przebudowy dworca Łódź — Kaliska. A wiadomo, że PKP z modernizacją dworców w Łodzi ani się nie śpieszy, ani nie traktuje tego zbyt poważnie.

Po czwarte — na stan komunikacji w Łodzi wpływa nieustanny wzrost motoryzacji. Zwykliśmy traktować rozwój motoryzacji tylko i wyłącznie jako postępujący przyrost stanu posiadania samochodów osobowych. Jest to błąd. Wykazują ten błąd dane statystyczne. Otóż w latach 1955—1976 stan posiadania pojazdów mechanicznych kształtował się następująco:

— ilość samochodów osobowych wzrosła z 1,7 tys. do 49,8 tys., czyli 29-krotnie,
— samochodów ciężarowych z 2,8 tys. do 25,8 tys., czyli 9-krotnie,
— motocykli z 4,1 tys. do 38,1 tys. czyli również 9-krotnie.

Aliści zakłada się, że w 1990 roku w Łodzi będzie 180 tys. samochodów osobowych, 32 tys. samochodów ciężarowych, blisko 39 tys. motocykli, co w sposób decydujący wpłynie na ruch uliczny. Jeśli do tego czasu nie nastąpi radykalny postęp w modernizacji szlaków komunikacyjnych, to naszemu ukochanemu miastu grozi permanentny korek.

Wobec tego,

co robić?

Oto jest pytanie. Pytania jednak stawiać łatwo. Odpowiadać na nie znacznie trudniej. Ale interes społeczny wymaga takich odpowiedzi i nie ma od tego ucieczki. Docent dr M. Rataj udzielił odpowiedzi generalnej. Oto jej pełny tekst:

„Doraźną poprawę stanu komunikacji na terenie miasta Łodzi można uzyskać poprzez rozwiązanie problemu dostaw części zamiennych i taboru.
W dalszym okresie, ze względu na narastającą motoryzację tylko poprzez pełne wydzielenie komunikacji szynowej i autobusowej z ruchu na podstawowych ciągach".

Przekładając to na język codziennej rzeczywistości trzeba powiedzieć, że:

— MPK musi otrzymać tyle części zamiennych, aby nie trzeba było pchać autobusów rano i aby autobusy nie musiały stać na krańcówkach z zapalonymi silnikami, bo brakuje akumulatorów, aby nie trzeba było stawiać autobusów na kołkach, kiedy zdejmuje się dobre opony i zakłada tym, które są na chodzie i aby nie stały autobusy z braku innych części zamiennych.

„Życie Warszawy" doniosło 13 grudnia 1978 roku, że stolica otrzyma „Ikarusy", które są bardziej pojemne od „Berlietów" i — dodajmy — bardziej sprawne. A co otrzyma Łódź? Aby pokonać rosnące trudności w miejskiej komunikacji Łódź powinna rocznie otrzymywać 100 wagonów tramwajowych i 200 autobusów. Czy to jest możliwe?

W 1979 roku Łódź otrzyma 75 wozów tramwajowych, ale też spisze na straty 75 wozów tramwajowych. Przyrost równy będzie zeru, aczkolwiek przyrost miejsc będzie większy niż w wozach spisanych na straty, gdyż po prostu nowe tramwaje są pojemniejsze. Docent dr M. Rataj w swoim opracowaniu zakłada wszakże, że do 1980 roku wzrost ilości wozów tramwajowych wyniesie jeden — dosłownie: j e d e n. Ilość autobusów wzrośnie natomiast o 80. W porównaniu do 1977 roku jest to mało, gdyż — jak już wspomniałem — rocznie powinno przybywać Łodzi od 80 do 100 autobusów, czyli w latach 1977—1980 powinno przybyć miastu około 400 autobusów. Ale nie bądźmy jednak marzycielami. Gdyby nawet tak się stało, to stan zajezdni autobusowych i tramwajowych jest taki, że nie ma gdzie stawiać nowego taboru, ani go reperować i konserwować.

Zastępca dyrektora MPK — mgr inż. **Józef Korkosiński** uważa, że gdyby tylko przemysł motoryzacyjny dostarczył brakujących części zamiennych i gdyby 100 bezczynnych autobusów ruszyło na ulice Łodzi, to pasażerowie odczuliby znaczną poprawę komunikacji. Ale jest to tylko domniemanie, gdyż wiadomo, że z o b i e k t y w n y c h przyczyn owych części nie ma i szybko ich nie będzie, a więc i owych 100 autobusów na ulice Łodzi nie wyjedzie.

Czy jest

inna możliwość

przezwyciężenia aktualnych kłopotów MPK? Czy na przykład komunikacji miejskiej nie mogłyby pomóc zakłady pracy, które — jak powszechnie wiadomo — posiadają wcale liczny tabor samochodowy. Inż. J. Korkosiński uważa że spora część tego taboru jest w stanie rozkładu, gdyż wiele fabryk kupiło autobusy od MPK. A były to autobusy wycofane już z eksploatacji.

„Rocznik statystyczny 1978" podaje, że w Polsce jest zarejestrowanych (według danych z 1977 roku) 59,5 tys. autobusów. Z tego w komunikacji miejskiej używa się 12,3 tys. autobusów. Pozostaje poza komunikacją miejską — 47,2 tys. pojazdów. Spora z nich część nie jest rzeczywiście w najlepszym stanie. Ale...

„Trybuna Ludu" z 6 grudnia 1978 roku donosi z Gdańska, że **„gdańskie zakłady pracy mają 350 autobusów"**. Przypomnę, że tamtejsze WPK posiada 638 autobusów **„Na początku 1976 roku** — donosi wspomniana „TL" — **wojewoda gdański wydał decyzję, którą zobowiązał przedsiębiorstwa dysponujące własnymi autokarami do udzielania pomocy komunikacji miejskiej"**. Zdaniem zastępcy dyr. Wydziału Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku — jak donosi „TL" — **„już 60 proc. autobusów zakładowych pomaga złagodzić warunki dojazdu do pracy i powrotu do domu"**. Bowiem **„autobusy zakładowe zostały m.in. wyposażone w tablice informujące pasażerów jaką trasą jadą i dokąd"**.

Ale czy tak się dzieje tylko w Gdańsku?

Nie **„Życie Warszawy"** z dnia 5 grudnia 1978 roku pisało:

„Każdy autobus miejski, PKS lub taw. linii górniczych z tablicą wskazującą kierunek jazdy, zatrzymuje się na przystankach wyznaczonych przez władze miasta".

Tak jest na Śląsku.

Natomiast w Warszawie autobusy Instytutu Badań Jądrowych i Fabryki Kabli w Ożarowie też służą miastu. Z dobrej woli kierownictw tych zakładów. Natomiast inne **„autokary stoją bezczynnie w różnych punktach stolicy"** — pisze wspomniane **„Życie Warszawy"**. A jest ich — jak twierdzi gazeta — połowa tego, czym dysponuje warszawskie MPK. I dowodzi, że nie wszystkie są sterane, zużyte i zniszczone. Nazywa je zresztą: **wycieczkowe autokary — leniuchy"**.

Na Placu Niepodległości w Łodzi jakiś „patriota" dobrze już podochocony tłumaczył równie „czupurnemu koledze":

— Chca abyśmy nasze autokary oddali MPK. N a s z e rozumiesz, za n a s z e pieniądze kupione. Niedoczekanie ich. Niech sobie sami radzą.

N a s z e — jest to pojęcie bardzo szerokie i bardzo wąskie zarazem. Inż. J. Korkosiński tłumaczył mi cierpliwie, że byłaby to tylko pomoc doraźna, na dziś, na obecne kłopoty, ale nie rozwiąże to g e n e r a l n y c h problemów MPK. Racja jest po jego stronie, ale nawet i taka pomoc mogłaby już jutro złagodzić nasze wspólne kłopoty komunikacyjne. Żebyśmy nie musieli denerwować się jadąc do pracy, czy wracając do domu. Jutro i pojutrze nasze kłopoty rozwiąże tylko rozwój przemysłu motoryzacyjnego. A w dalszej przyszłości — m e t r o. Ale na to trzeba będzie cierpliwie poczekać. Korzystajmy więc z wszystkiego, co może nam pomóc.

HUMOR I SATYRA W POEZJI BIAŁORUSKIEJ

Wybrał i przełożył JAN HUSZCZA

JANKA KUPAŁA

CHŁOP I KOŃ

Ciągnął chłopski koń pod górę
Wóz, lecz dalej nie może,
Ustał i nie rusza z miejsca,
Choćbyś zadźgał go nożem!

Chłop próbuje nawet łaski:
„Nuże, proszę waszeci,
Bo napiszą bardzo brzydko
O tobie w gazecie..."

A koń na to: „Niechaj piszą,
Jeśli to w ich naturze,
Byleś tylko ty zaprzestał
Pisać na mojej skórze!"
1913

MAKSIM TANK

FILM BIOGRAFICZNY

— A więc idzie pan
Ścieżką przez las do Pilkowszczyzny...
Że ten las wyrąbano? Nie szkodzi:
Ustawi się dekoracje,
Przesuniemy słońce,
Żeby je podświetlało
Nie z lewej, ale z prawej strony...
Że zima?
Nie szkodzi,
Plener letni nakręcimy w Soczi.
A potem: zza wzgórza
(Usypiemy wzgórze!)
Wyłaniają się wozy z kukurydzą.
A ciągną je wielbłądy,
A za tym wszystkim —
Chłopi z bukietami kwiatów!

Przed kołchozowym klubem —
Wielgachny stół,
Na stole — samowar...
Że co?
Że u was piją coś mocniejszego?
Może choć ten jeden raz
Zgodzą się napić herbaty?
A więc:
Idzie pan drogą...
— Ależ: ja nie pójdę...

— Jak to? Pan nie pójdzie?!
Przecież scenariusz został zatwierdzony,
A my, czyż pan nie wie,
Dokąd będziemy dzwonić?!

JAKUB KOŁAS

SOBIE SAMEMU I RÓWIEŚNIKOM

Gdy się ścigają wydarzenia
I przemija rok za rokiem —
Patrzysz na siebie, jak się zmieniasz,
Gdzież młodości twej uroki?!

Stwierdzasz, że zmarszczek ci przybywa,
Siwizny w dawnych wąsikach...
Kiedyż, godzino niecierpliwa,
Starca zrobiłaś z młodzika?!

Nie ma lekkości, ni zręczności —
Osądzasz grzechy i wzdychasz
Próżno do dawnej niestałości...
Jak wieczór głuchy zacichasz.

Choć nikt przed prawem się nie ustrzegł
Co wszystkich ludzi dotyczy —
To, kiedy zobaczysz się w lustrze,
Przez chwilę zaznasz goryczy...

Z siwizną tą całą do diaska,
Cóż, że się świeci łysina
I że przydałaby się laska —
Myśl, że dwudziestkę zaczynasz!
1936

MAKSIM BAHDANOWICZ

WRONA I CZYŻYK

(bajka)

Przygoda taki przebieg miała...
Czyżyka (a to ptaszyna raczej drobna)
Wrona zapytała:
„Powiedz, czyż nie jestem do orła podobna?"
I widzi czyżyk — nie ma co żartować,
Lepiej na łebku czerń swoją zachować.
„Zupełny orzeł!" — zgadza się czyż
Z wroną, co na klonie siedziała.
„No właśnie... Uważaj, gdyż..." —
Z łaską w głosie wrona zakrakała
I pofrunęła gdzieś tam ku niwie.
Widząc to wszystko, wróbelek się dziwi:
„Braciszku, gdzież ty oczy miałeś,
Jeśli wronę orłem nazwałeś?"
Wstydząc się, czyżyk odpowiada:
„Nie uczyniłem nic złego!
Orła nazwać wroną, ach, biada,
Lecz wronę orłem — co z tego?!"
1915

PIATRUŚ MAKAL

SKARGA ĆWIEKA

Sytuacja moja —
zła!
Próżno marzyć o dobrym słowie,
Na służbie każdego dnia
Nie gładzą, lecz biją po głowie.
Dola ćwieka niesłodka:
Właź, czy chcesz, czy też nie.
Krótka perswazja młotka:
— Łups!
— Buch!
— Bach!
— Po łbie!
A uprzesz się czasem,
z biedy
Zgarbisz się, zegniesz w pałąk,
Zacznie obuch po bokach wtedy
Tak walić, by się odechciało.
Śledztwo. Milcz jak bohater,
Nie zgrzytaj, min nie wyczyniaj.
Przybijaj po łacie łatę
Do starej, skrzypiącej skrzyni.
I ni miłości, ni chwały,
Drewno skrywa mnie przed oczami,
Choć od podłogi do powały
Wszystko złączone ćwiekami...
Sytuacja moja —
zła!
Czyż młotek ją uładzi?!
Na służbie każdego dnia
Biją, a nikt nie pogładzi!

Dobrze jest drzewom w lesie. I poszumieć gromadnie mogą. I pomilczeć. A bywa, że z wichrem wezmą się za bary: wesprą się silnie, staną murem — i nic im niestraszne. Ale zdarza się, że i wśród tych dobrodusznych olbrzymów rozpanoszy się jaki tam szaławiła-chwalipięta, z którym wytrzymać nie sposób. Wtedy mocarze zwierają gąszcze i wnet tylko butwa i próchno stanowić mogą świadectwo, że kiedyś wśród tych statecznych drzew szarogęsił się szczwany wartogłów.

Dobrze jest drzewom w lesie. I poszumieć gromadnie mogą. I pomilczeć. Lecz najbardziej lubią drzewa, kiedy przychodzi do nich stara Eudoksja i szczegółowo opowiada o swoim życiu — mordędze. Od dawna żyje Eudoksja sama jedna. Między jej chatą a najbliższą zagrodą rozciąga się głusz rozległa. Pełna zapadlisk i wyburzałych kęp. Rozciąga się od lewej strony. Z prawej zaś las. A zatem jej chata stoi bliżej lasu niźli ludzkich siedzib. Charakter ma Eudoksja twardy, rosochaty. O taką, jeśli ją niebacznie potrącisz, boleśnie mógłbyś się urazić. Ludzie zachodzą do niej rzadko. Nie przez to, żeby się Eudoksji lękali. Raczej, przez to, że ona za mocno oszczędza słowa. Bywało, że przez rok długi ust do nikogo nie rozwiera.

Wybierała się Eudoksja do lasu raniutkim rankiem. Jeszcze rosy dymią, jeszcze kłoski trawy mlekiem bożym nie omyte. Jeszcze ptak żaden pierza nie uronił... a Eudoksja gdzie już w lesie! Bosa, drobniutka. A trzeba wiedzieć, że niemało ona łez w lata swe młode wylała, aż wreszcie cała wewnątrz jakby wystygła. Zlodowaciała, można rzec.

Dawno temu, kiedy jeszcze młodziuchną była, porzucił Eudoksję jej mąż. Szło jej wtedy na dwudziesty, zaś jej chłopu na czterdziesty rok. Był to człek w obejściu przyjemny, szczygiełkowaty, rzec można, ale ze szmergielkiem. A dokładniej rzekłszy naturka barwna: z takich, co to nie zgadniesz wieczorem, jacy będą, jak zbudzą się rano. Ze śpiewanką czy łzami? Każda inna wolałaby niźli takie życie oczy zawiązać i w topiel skoczyć, a tymczasem ona jeszcze go bardziej z tej przyczyny kochała. Gustowała w jego zbzikowanej niestałości.

Żyła Eudoksja ze swoim chłopem całkiem dobrze. Ciekawie. Oboje jakby się w chowanki ze sobą zabawiali: kto kogo prędzej znajdzie. Aż tu jednego razu ona budzi się — a mężyka nie ma przy niej. Pobiegła do piwniczki: może wzięła go chętka kwasu się napić? Nie ma go. Zawraca do domu — nie ma. Spieszy za wrota — nikogo nie ma. Porzucił ją Wasyli. Na zawsze. Odtąd go nigdy w życiu nie widziała. Gadali potem, że go można było spotkać w mieście. Ale czy to prawda — nie wiedziała. Sama nigdy nie wypuszczała się dalej niż za kraniec wsi, a ludzie mało to plotą różności!

I tak pomalutku zaczął charakter Eudoksji twardnieć. Tak jak bywa z chlebem: im dłużej leży ludziom nieużyteczny, tym staje się twardszy. Z początku nijako było ludziom do Eudoksji zachodzić i przebywać sam na sam z ludzkim nieszczęściem. A potem odwykli. Tym właśnie sposobem nauczyła się Eudoksja samotności. Tyle tylko miała teraz do czynienia z ludźmi, że jej czasami kogoś na kwaterę posłali. Kiedy kto tu drogę zgubił albo po linii delegacji. Wszak to mieszka ona sama jedna, a izbę ma obszerną.

Pewnego razu przywędrowała do ich wioski trójka geologów. A nastała jak raz pora przewlekłej pluchy — nieba nie było widać. Nic jeno szarość i mokrota. W ten właśnie czas skierowano do Eudoksji z sielsowietu trzech takich. Chłopaki młode, tyle że niemożliwie brodate i obsamułane. Kiedy tak wędrowali do niej za wieś, sielsowietnik wszystko im o Eudoksji opowiedział:

— W złote ja was miejsce, najmilsi, prowadzę. Choćbyście trzy lata tam mieszkali, nijakiego od niej słowa nie posłyszycie. Taka cisza. Ja wam tu teraz, że to dobra okoliczność, objaśnię naukowo. Wy tam w tajdze, wiadomo, jeno z jodłowymi gałązkami i szyszkami cedrowymi sobie pogadujecie, od ludzkiej mowy odwykliście. Jeśli by teraz was zakwaterować u ludzi więcej rozmownych, to byłoby to akuratnie tak samo, jakby człeka ze szczętem wygłodzonego nagle nakarmić do syta. Uświerknąłby po godzinie. A wy przecie odrobinę jeno odsapniecie u Eudoksji i ledwie do mowy ludzkiej co nieco tylko wrócicie, już wam mus nazad do lasu. Cyrkulacja. Do Boga będziecie się modlić za to za mnie, za niepijącego. A jeśli na pół literka dać mi za przysługę zechcecie — to cóż, wola wasza.

Deszcze lały. Wszystko w koło stało w wodzie. I ziemia, i niebo. Przez trzy pierwsze dni młodzi spali, jak zarżnięci. Na sianie. Chłopaki zdrowe. To dwóch. Za to trzeci — jakiś nieruchawy. Kiedy już odespali swoje niedospania, ci dwaj zaczęli wieczorami po linii kawalerskiej przepadać. A trzeci nie. Za to nie rozstawał się z kredką i kartonem. A czasem to i farby wyciągał. Rysował wszystko. Drzewa rysował. Na jakąż potrzebę? Zasadź no tutejsze drzewo na papierze, wszak miejsca tam na nim za mało, żeby w korzenie je opatrzeć! Bo i co z tego, że kolor drzewa zielony i pień prosty?... Eudoksja przechodzi bokiem, przystaje za artystą i milczy. Ów mikrus także milczy. Rysuje. I nie doszłoby do tego, by się jedno do drugiego odezwało, gdyby nie przypadek.

Jak raz w czasie trwania tych deszczów wyjrzało słońce. Takie jakieś czyste, jaskrawe, zuchowate. Niczym kogut. I jak raz wtedy spod węgła chaty wynurzył się kogut. Płomienisty, bojowy. Właśnie taki sam jak słońce. No i tak stoją naprzeciw, na jednej linii — kogut i słońce. Patrzą srogo na siebie: kto kogo patrzeniem przemoże? Żadne nie chce ustąpić. Nagle kogut jak zatrąbi: „Precz mi z drogi! Bo jak nie, przekłuję na wylot". I sam to jednym, to drugim skrzydłem ziemię pod sobą zamiata. Stali więc naprzeciw siebie: kogut i słońce. Nie wiadomo, jakby się ta ich sprawa dalej pociągnęła, gdyby znowu nie nadpłynęła czarna chmura. Słońce skryło się, kogut zrejterował i znów było na świecie beznadziejnie szaro, płaczliwie, mokro. Tak jakby przed chwilą wcale nie zdarzyło się owo cudeńko. I już nasz artysta papier rozkłada i maluje. Szybko. Z sensem. Tyle że słońce wymalował osobliwie wielkie, a kogut przy nim mikrus.

Przez cały dzień Eudoksja słowa nie rzekła, koso rzucała okiem na rysunek, aż wieczorem burknęła:

— Cóżeś ty z mojego koguta tak zakpinkował? Bywają to koguty takie kurduple?

Artysta nic nie odrzekł. Z niego był taki sam jak z niej nieodzywek. Dopiero kiedy zbliżała się pora snu, zauważył:

— Nie może być, Eudoksjo Iwanowna, żeby na obrazku wasz kogut był większy niż słońce.

— Czyj nie może, to nie może, a mój może. Do mojego to i pięćset wiorst drogi nakładając kury przywożą wedle ich poznajomienia się. Ot, masz jaka to osoba!

Rano nad łóżkiem Eudoksji wisiał świeżo wymalowany kogut. Wielki, jaskrawopłomienny kur. I równiutkie mu co do wielkości płomienne słońce. Skonfigurowani byli dokładnie naprzeciw siebie. Proporcje na nowym rysunku nic nie zgadzały się z naturą, ale za to sama idea była z tego powodu wyrazistsza. A i on sam wyglądał teraz ciekawiej.

I tym razem nic nie rzekła Eudoksja, ale z jej twarzy można było od razu poznać, że dzieło wzbudziło uznanie starej. Usta na pudową kłótkę miała zamknięte. Można by osądzić, że nie otwierała ich nigdy.

Tymczasem dni biegły, w końcu pora deszczowa minęła i kwaterniey jęli się zbierać do drogi. U obórki Eudoksja wsunęła geologom w ręce węzełki z lepieszkami. Wyznała niespodzianie:

— Nieswojo mi będzie teraz samej jednej. Przywykłam była do was. Wy, przecież, tak czy owak, ale ludzie.

Pomachali jej na pożegnanie rękami i poszli. Obejrzał się artysta, kiedy przebyli już jakie sto kroków: ona wciąż jeszcze tam stała u obórki i pozierała za nimi. Tyle że się z oddali wydawała mniejsza, drobniejsza.

Przeszli coś dwa kilometry w milczeniu, potem posprzeczali się. Widać, każdemu coś innego ciążyło na myśli.

— Ja uważam, że w człowieku wiejskim w podświadomości, poza wolą jego i wiedzą, tkwi zrozumienie dla sztuki. Oto rankiem on wstaje, a dookoła pola, lasy, góry, rzeki, w ogóle wszystko, co świat ma w sobie najpiękniejszego. I spogląda na to dzień po dniu. Od najmłodszych lat. Można rzec, że piękno wdycha wraz z powietrzem, spija wraz z mlekiem...

— Przyznasz chyba, że to jest krowie co nieco piękno. Człowiek w mieście też rankiem wstaje, a dookoła linie strzeliste gmachów, szklane kolosy, auta ludzkim głosem zdają się wprost śpiewać. To jest bracie, piękno. I też go otacza dzień po dniu. Od najmłodszych lat. Och, miasto!

— Tylko miasta zbudowali też ludzie wiejscy.

— I zostali, żeby tam mieszkać już na zawsze...

Tymczasem droga wyprowadziła już ich w tajgę. Jakby ktoś tę tajgę na sznurku ku nim przyciągnął. Wieś całkiem skryła się za drzewami. Trawy po porze deszczowej były teraz bujniejsze, sprężyste.

— Co tam nasza babulka bez nas porabia? Przednia była z niej rozmówczyni!

Eudoksja kręciła się po podwórzu w dziwnym podenerwowaniu. Chmurna jak noc. Wszystko ją drażniło już to nie pod ręką, już to nie na miejscu. Czego nie dotknęła, to cudzego człowieka nosiło zapach. A była na takie rzeczy wrażliwa. I chociaż oni,

SIERGIEJ OSTROWOJ

MADONNA

kwaternicy, odeszli całkiem już daleko, wydawało się Eudoksji, że coś tam u niej zostawili. Coś chytrze utajonego, czego ani w ręce nie pochwycisz, ani z serca nie wyrwiesz.

Mijały dni. Kartka z kalendarza — listek z drzewa. Już i jesień do okna zastukała. Ziemia poczerwieniała, jakby się z czegoś tam zawstydziła. Ale nie, to nie ze wstydu, tylko z nadmiaru krwi tak poczerwieniała, dostała jakby wypieków, schwyciła ją gorączka. Nie upuścisz jej teraz krwi, nie ochłodzisz.

W tym czasie już Eudoksja zaczęła po trosze zapominać o letnich lokatorach. Bywa wieczorkiem tylko wspomni. Z przyczyny samotności. Czas robił swoje. Zaczęła też i z sił opadać. Przez to lęki ją, bywało, chwytały w głuszy nocnej. Jakiś jakby niepokój doskwierał.

Któregoś ranka przybiegła z sąsiedztwa dziewczynka Niuszka.

— Ciociu Duniu, a toć do was przed wieczorem dwa razy zajeżdżał listonosz na rowerze. Jakąś wam przesyłkę poleconą chciał zostawić. Paczkę.

— Czy to ładnie ze starej drwinkować! Jaką by znowu paczkę!

— Ależ to prawda, ciociu Duniu. Czysta prawda!

Wykręciła się do niej Eudoksja plecami i podreptała do lasu...

Dni były teraz szczodre, pełne jagód. Jesień tego roku obrodził mnóstwem wszystkiego. Oto orzechówka szuka już tylko okazji, żeby narwać dziobem jak najwięcej orzeszków cedrowych i poutykać na czarną godzinę we mchu. Ziemia każdą istotę dobrem swym darzy. Grzybami i jagodami. Miodem i ziarnem. Trzeba nam teraz jak najwięcej z grzbietu ziemi ciężaru ująć, żeby nie musiała tyle aż dźwigać.

Wróciła Eudoksja wieczorem do chaty, a tam znowu u wrót czeka na nią Niuszka.

— Ach, wy ciociu Duniu! Nie chcieliście mi wierzyć wczoraj, a dzisiaj znowu do was zajeżdżał ten listonosz. To oto zawiadomienie zostawił i nakazał, żebyście dowód ze sobą wzięli, gdy będziecie odbierać na poczcie w rejonie. Bardzo wielka paczka do was przyszła.

— A gdzie ja tam pójdę, stara baba! Od pięćdziesięciu lat nigdzie na krok się nie ruszyłam, a tu — masz tobie!

— Pójdziecie, ciociu Duniu. Ja z wami pójdę i zaprowadzę was. To mi akurat na rękę. Brat teraz w mieście mieszka. Z moją, naturalnie, bratową.

— Który brat? Kolka? On się już ożenił?! Taki dzieciak?!

— Coście wy, ciociu, A toć już będzie cztery lata, jak się ożenił.

Nazajutrz ruszyły obie równo ze słonkiem. Raźno im się szło po świeżej rosie. Odległość wedle tutejszych długości nie taka znów duża: piętnaście coś kilometrów. Droga łatwa. Miejscami obrzeżona lasem, miejscami wije się na wolnej przestrzeni, niczym rzeczka. Ziemia paruje, dymi...

Na poczcie okazało się, że na imię Eudoksji przyszła nie tyle nawet paczka, co prosto skrzynka. Czarnym mazakiem wypisane na niej było: „Ostrożnie szkło!"

— Cóż, to, babciu, serwis dostaliście? — spytał naczelnik działu przesyłek.

— Pomyłka jakaś. Poplątali mnie z kim innym.

— Tu, babciu, pomyłek żadnych nie ma: tu jest poczta. Zgodnie z okazanym dowodem Eudoksja Iwanowna Czudinowa to wy. Jasne?

— Tak.

— No to proszę odebrać swoją własność, tylko podpiszcie, o tu, w tym miejscu.

Potem naczelnik, mrugnąwszy okiem do swych młodych asystentek zadowolony ze swego konceptu, dodał:

— A teraz, babciu, czy nie macie ochoty zaspokoić, waszej, naturalnie, osobistej ciekawości i przekonać się, co też wzmiankowana skrzynka zawiera. Czy jest, jak to się mówi, postna czy tłusta?

— A popatrz sobie, jeśliś ciekaw.

Z chrzęstem oderwali wierzchnie deszczułki. Najpierw na podłogę osunął się liścik, potem spomiędzy wiórów i gałganów wyciągnęli jakiś jakby obraz. Oprawiony i za szkłem.

— Ikona! Patrzajcie no! ikona! — zachichotały młode asystentki. — Ot i twój serwis! Phi! Warto było wlec się po takie tam!

Eudoksja i Niuszka opuściły budynek poczty w milczeniu. Eudoksja nawet nie chciała spojrzeć na podarek. Tyle się wstydu najadła! Czyż mogła wiedzieć, że o tysiące wiorst stamtąd, w słotny moskiewski dzień, spotkali się jak raz na wystawie plastycznej trzej przyjaciele — geolodzy i jakby nawiązując do ich tam dawnej sprzeczki, postanowili posłać Eudoksji w podarunku oprawioną reprodukcję „Madonny Sykstyńskiej" Rafaela.

Kiedy zbliżały się do domu brata Niuszki, dziewczynka zaproponowała:

— Ciociu Duniu, pozwólcie, że choć przeczytam wam ten list z paczki? Bo jednak szkoda...

I z taką wrodzoną zręcznością, jakby przez całe życie nic innego nie robiła, Niuszka odkleiła brzegi koperty.

„Droga Eudoksjo Iwanowna, nie wiem, czy jeszcze nas pamiętacie. Ten list pisze do Was w imieniu własnym i kolegów ten właśnie, pożal się Boże, plastyk, co to kiedyś bez należnej estymy obszedł się z Waszym kogutem. Teraz w Moskwie leje deszcz. Już drugi dzień. I zaczęliśmy sobie wspominać, Eudoksjo Iwanowna, jak to naruszyliśmy Wasz spokój swoją obecnością. Tedy postanowiliśmy dać o sobie ten oto maleńki znak życia. Jeśli uznacie za stosowne i będziecie mieli chęć do nas napisać, to napiszcie na adres ten: Moskwa, ulica Czernichowskiego 4, m. 51. Przesyłamy Wam serdeczne pozdrowienia i życzymy długich lat życia. Piszcie. Ten podarek niech Was nie krępuje, kupiliśmy go za stypendium. Wasz z całego serca Aleksander Baulin".

— No i widzicie, ciociu Duniu, ludzie was serdecznościami obsypują, dobrze życzą, nic złego nie mają na myśli. Pozwólcie mi jeszcze raz rzucić okiem na tę panią z dzieciątkiem. Widziałam takie miłe dzieci w żłobku. A i w rejonowym przedszkolu. Kiedy ukończyłam szkołę, pracowałam tam przez lato. Ale potem rzuciłam. To skandal, jak mało płacą przedszkolankom! A dzieci, ciociu Duniu, to cała historia.

W drodze powrotnej do domu Eudoksja dwa razy przepakowywała obraz. To ułożyła go twarzą na dół, to do góry. Wracała już sama, ponieważ Niuszka została u brata. Za drugim razem Eudoksja nawet rąbkiem spódnicy przetarła szkło, żeby nie było takie matowe od kurzu. A gdy tylko to uczyniła, pani z obrazu uśmiechnęła się. Może takie odbicie słońca w szkle? Uśmiechnęła się delikatnie, nienatrętnie. Eudoksja do chaty dotarła w południe. Wzięła się za przygotowywanie jadła dla swej żywiny, krzątała się po podwórzu i niemalże już zapomniała, po co szła szmat do rejonu. A choć spraw i obrządków gospodarskich nie było znowu tak bardzo dużo, jak się zaczną o siebie zazębiać, to końca im nie ma. Prosto łańcuch. Długi, nieprzerwany. Dopiero wieczorem weszła do izby. Ale kiedy weszła, z miejsca wydało się jej, że nie tylko ona sama znajduje się w izbie. Nawet miała ochotę zapytać: „kto tu"?

Ale któż tu może u niej być, prócz jej samej oraz owej bosej pani trzymającej na ręku dzieciątko? I na Eudoksję, gdyby życie jej się po bożemu ułożyło, też mogłyby aniołki z takim podziwem spoglądać. Ale jej właśnie nie było dane przeżyć tego babskiego szczęścia... Postawiła Eudoksja obraz w tym poczesnym kącie, gdzie u ludzi święte ikony wiszą i układa się spać. Ale przez to, że dzień był taki uciążliwy, czy że dzisiaj zmuszona była tam w mieście dużo gadać — jakoś nie mogła zasnąć i tylko przewracała się z boku na bok. Już i oczy całkiem do ciemności przyzwyczaiły się... I oto wyraźnie dostrzegła, że bosa pani zeszła z obrazu na ziemię i ostrożnie stąpając, jakby szła po chłodnej kałuży, cicho zbliżyła się do łóżka starej.

— Chłopaczka to ty połóż u mnie na poduszce. Wielka mordęga tak cały czas trzymać na rękach — szepnęła Eudoksja.

— Nie szkodzi. Jestem do tego przyzwyczajona. To przecież moje. Rodzone. Ono mi, wiedz, nie ciąży wcale.

— No, połóż. Nie bój się. Chociaż mi tam własnych dzieci Pan Bóg nie dał, moje ręce nie są głupsze do tych rzeczy niż ręce innych matek. I przewinąć potrafię, i pokołysać. Czy nóżeńki cię nie bolą? Tyś taka piękna, taka młoda?

— A gdzież tam. Takam sama jak i wszystkie. Popatrz lepiej na moje dzieciątko. Prawda, jakie ładne?

— Piękne! Ale czemu je nie ubierzesz. Tylko trzymasz na golaska?

— Chcę, żeby wszyscy ludzie go widzieli, bom z jego piękności dumna.

— A nie boisz się go tak trzymać w nocy? Noce są teraz mroźne, lodowate. Ono przeziębić się może.

— O nie, miła moja, to dziecko silne jest jak mocarz. Ja z nim mogę chodzić i po ziemi, mogę i po niebie. Niczego się przy nim nie lękam.

— A wiesz i ja taka sama byłam. Jako młodziucha. Tylko mi los niańczyć dzieciaka nie zwolił. Posiedź przy mnie z bobaskiem. Proszę jak człowieka.

— Śpij, miła. Mamy moc jeszcze czasu przed sobą. Nagadamy się.

— Jak tak, to idź. Drogę znasz.

Odpowiedzi pani Eudoksja nie dosłyszała. W tej chwili zagarnął ją sen. Głęboki. Zdrowy. Zupełnie jakby pod ciepłym mchem leżała.

Rankiem otoczyły Eudoksję w lesie drzewa:

— Co nowego? Opowiadaj. Zaniedbujesz nas jakoś ostatnio.

Szumią drzewa. Gniewnie. Takie mechate, jakby teraz w zimę baranie tułuby na siebie przywdziały. Ich głosy wśród wiatru zlewają się w jeden ton. Przeciągły. Buczący. Gdzie rzucić okiem — jesień. Chodzi Eudoksja. Wdycha zapach gnijących liści. Niebawem zapadną w zimowy sen, las ogarnie śpiączka. Jakkolwiek nie bała się Eudoksja zim, jednak nie lubiła ich. Bywa, że i człowieka takiego spotkasz: niby schludny i mądrze gada, i nieprzychlebniś, a jednak wieje od niego takim chłodem, że i mówić ci się z nim nie chce. Nic ci nawet złego nie zrobił, a nie lubisz go. Prócz tego las zimą zdaje się żyć za darmochę. Dobro własne przejada.

Do chaty Eudoksja wróciła z pełnym fartuchem szyszek jodłowych. To do samowaru. Herbatę piła zawsze z wielką ochotą i rozeznaniem. Nigdy też ani jednej kropli nie przelała. Potrafiła i na samych koniuszkach palców utrzymać spodeczek, jak cyrkówka. Herbata z samowaru ma swój własny smak, nie wymyślony. Taką herbatę pić to jakby modlitwę odmawiać.

Ilekroć przechodziła Eudoksja w ciągu dnia obok obrazu, za każdym razem nie omieszkała nań popatrzeć. To z boku, to przez przymrużone powieki, to na wprost. I wciąż jej się wydawało, że jeszcze nie wszystko w nim dojrzała. Coś umykało jej uwadze. I to za każdym razem co innego. Spojrzy na panią z dzieckiem, a ta na obrazie stoi, raz płynie, to zaś ulatuje w górę...

Wieczorem, już w łóżku leżąc, Eudoksja znów ją poprosiła, by przyszła:

— Chodź! Nie bój się!

— Nie mam powodu, żeby się ciebie bać, mileńka. Oswoiłam się już z twoim widokiem. Przez cały boży dzień patrzę na ciebie i patrzę.

— Na mnie patrzysz?! A czy to ja Panem Bogiem jestem, żeby patrzeć na mnie? To to samo co byś patrzyła na ziemię: jestem stara i paskudnie pomarszczona. Jak ciebie wołają?

— Maryja.

— Chciałabym zapytać ciebie, Maryś... tylko nie obraź się na mnie starą. Ja przecie może nie według czasu, ale według długości życia jestem starsza od ciebie. Ten stary mężczyzna, który przed tobą klęczy, kto on dla ciebie? Mąż?

— Ależ nie. Co ty? Jakby ci to wytłumaczyć, miła...

— A to nie tłumacz, nie mów, jeżeli ci nie pasuje. Ja tak się zapytałam po próżnicy. Mój to mąż wiedz dwa razy starszy był ode mnie. Ale kochałam go! Jak go kochałam! Chociaż może to nie była wcale miłość, tylko czysta głupota? Pięćdziesiąt już lat od tamtej pory przeminęło. Kto by teraz doszedł, co tam ja wtedy czułam do niego!

— Serce twoje, miła, od tamtej właśnie pory cierpi bez ustanku. Młodam, ale wiem to.

— Tyś taka szczera. W tobie nie ma ani odrobiny chytrości. Gdyby ktoś chciał ci coś ukraść, to ty nawet byś i nie zauważyła.

— Ja nie zważam na takie tam rzeczy jak bogactwo, mileńka. A to wiedz, że precz od ciebie nigdzie nie pójdę. Zostanę z tobą na zawsze. Dobrze mi tu.

— Ależ mieszkaj, mieszkaj. Ja teraz sama, bez ciebie żyłabym w bojaźni wielkiej. Oczy zamknę i oto... już ich nie otworzę więcej. Bo to wiedz kłamią mądrale, którzy mówią, że staremu człowiekowi umierać jest niestrasznie. Na tym świecie, jak się, zważ to, człowiek choćby z jedną osobą rozstaje, to przez całe życie o tym tylko wspomina. Cóż dopiero, kiedy to z całym życiem rozstać się przyjdzie. Okropieństwo!

— Ja będą wtedy przy tobie.

— Dobra z ciebie kobieta. Czym ci się odwdzięczę za tyle dobroci dla mnie? Sama już nie wiem. Może herbatą z malinkami ugoszczę. Z twoim bobasem w koci-łapki będę się bawić. W sam raz zajęcie dla staruchy. I tak razem przebidujemy, dzień za dniem, dzień za dniem...

Tak i zaczęły one obie wiązać wspólnie dzień z dniem jak gałązkę z gałązką. Zimę przezimowały. Samotnej bardzo ciężko by było spędzać te wietrzne wieczory, te wilcze noce. Wiatr przez strzechę na przestrzał tam i z powrotem ganiał. Ściany obstukiwał. Okropieństwo! Zasypiała teraz Eudoksja dopiero nad samiutkim rankiem. Bo i porozmyślać trzeba było. I pogadać. Za wszystkie tamte czasy, kiedy to ust do nikogo nie otwierała. Gdyby ktoś ze wsi mógł posłuchać teraz tych zwierzeń, nie posiadałby się ze zdziwienia.

Wczesną wiosną znowu przybiegła do Eudoksji Niuszka z nowiną:

— Ciociu Duniu, przyszłam się pożegnać z wami. Wyjeżdżam do szkoły agronomicznej. U nas z całej szkoły tylko dwie do agronomówki skierowali. Zamieszkam z początku u brata. Będę się jego dziećmi opiekowała. Potem złożę podanie.

Eudoksja posadziła Niuszkę za stołem jak jaką dorosłą. Z całym respektem. Konfitury postawiła. Białe bułeczki podała.

— Tyś teraz panna godna. I uczona. Chcę ciebie pokornie prosić, Niuszo. Odpisz ty za mnie tym młodym ludziom, którzy mnie, starej, łaskawość wyświadczyli. Jak pojedziesz, to nikogo nie będzie, kogo bym mogła o to poprosić. Będę ci mówić list głośno, a ty moje słowa na papier przeniesiesz. Postaram się, wiesz, o papier, kopertę, znaczek.

Na pożegnanie Eudoksja z ukłonem podała Niuszce rękę, czego przedtem nie miała nigdy zwyczaju robić. I w ogóle Niuszka zauważyła jakąś dziwną odmianę w staruszce. Wypogodniała, stała się naturalna. Jeszcze bardziej uderzyły Niuszkę, i wraziły się w pamięć na całe życie tamte słowa, które jej Eudoksja podyktowała na zakończenie listu:

„Synkowie najmilsi, dzięki Wam stokrotnie! Ja teraz w chacie mimo moich starych lat śpię bez nijakiej bojaźni. Nie jestem ci ja już samotna. Matka jest ze mną, którąście mi przysłali. Jest jakby żywa".

1972

Przełożył:
TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

WSPÓLNOTA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

szał, a że chwycił mróz, robota przy budowie ustała, i oni myślą ekonomicznie, więc zgłosili się i naczelnik dał im tę rozbiórkę nieodpłatnie. Gruzu sporo, zaoszczędzą kupę żwiru i cementu na posadzki.

— No, i popatrz pan, czy to nie wygląda wspaniale! — zachwyca się, ale nie bez racji, inż. Materowicz. — **Przecież te wywietrzniki wyglądają jak wieżyczki na zamku! Ale to, proszę pana, robił prywatny stolarz, sumienny, cierpliwy i dokładny jak szwajcarski zegarmistrz...**

Wzniesione z czerwonej cegły, połączone pod kątem prostym stodoła i obora, pod dwuspadowym, krytym srebrzystą blachą śmigłym dachem, który strzela w niebo na wysokość trzypiętrowego bloku, robi imponujące wrażenie, chociaż wszystko znajduje się jeszcze w stanie surowym. Obiekt jest nietypowy, cieszy oko zgrabną sylwetką i ciekawym, estetycznym rozwiązaniem architektonicznym. Wydaje się, że tutaj powinni się uczyć fachowcy z **„Agroprojektu"**, którzy wykonują cudowne projekty na makietach, a kiedy je się odtworzy na wsi z cegły, pustaków i eternitu, robią wrażenie niskich, koszmarnych kurników, ale oni swego dzieła nigdy nie oglądają, co najwyżej zerkną w przelocie przez szyby samochodu.

Sylwester Olejniczak prowadzi i wyjaśnia z dumą, co, gdzie i jak. Z obory, wzniesionej na zewnątrz z cegły, wewnątrz zaś z lekkich, ciepłych pustaków, która jest wielka, przestronna, dobrze oświetlona i wentylowana, o wymiarach 32 m x 11 m, z szerokim przejazdem w środku dla ciągnika z przyczepą, prowadzą dwa wyjścia dla bydła i dwoje drzwi dla obsługi. Pierwsze drzwi wiodą do pomieszczeń socjalnych, a więc dyżurki, ubikacji i prysznica, pośrodku będzie się znajdować basen na mleko, miejsce dla dwóch elektrycznych dojarek i hydrofor, z prawej magazyn na okopowe i pasze treściwe.

Z drugich drzwi wchodzi się do stodoły, gdzie po drugiej stronie klepiska jest zasklepiony na wysokości dwóch mettrów sąsiek, spełniający rolę piwnicy na buraki i kartofle, które bez wychodzenia na dwór można dowozić do obory.

Wlazimy po drabinie na strych. Stąd stodoła wydaje się maleńka, ale przytłacza swym ogromem strych nad oborą. W ścianach rozmieszczono kilkoro dogodnie zlokalizowanych drzwi, przez które za pomocą dmuchawy będzie się wrzucać słomę i siano, pod kanałami wentylacyjnymi są klapy, tędy paszę można spuszczać wprost do obory. Siano i słoma ocieplą zimą betonowy strop.

— Tę część strychu inżynier Materowicz poradził nam odgrodzić — mówi Sylwester. — **Jest tutaj sucho, przewiewnie, można więc przechowywać ziarno.**

— Ale nie kupujcie elewatorka! — radzi Materowicz. — **Ziarno z klepiska najlepiej transportować tutaj dmuchawką, kosztuje 14 tysięcy, a wygoda jak diabli.**

Materowicz przymyka filuternie oko i zwracając się do mnie mówi tonem zgoła obojętnym, ale pobrzmiewają w nim zaczepne, wesołe nutki:

— Niech pan teraz popatrzy w dół Czy to klepisko nie prosi się do tańca? A to sklepienie piwniczne żywcem przypomina estradę dla muzykantów. Można by tu pohulać, jeszcze dzisiaj wesela urządzają w stodołach...

— Faktycznie — śmieje się Sylwester — **jeden tutaj przebił trzydziestkę i uchował się w stanie bezżennym...**

Grzegorz Olejniczak uśmiecha się z zakłopotaniem, ale zaraz nabiera pewności siebie.

— Ty nie bądź taki cwaniak — mówi do brata — **bo jestem przystojniejszy, a tyś tylko miał więcej szczęścia. On był szybszy** — zwraca się do mnie — **a teraz dziewczyny zrobiły się wybredne. Wiedzą, że w rolnictwie można się szybko dorobić chałupy z wygodami i samochodu, ale cholernie boją się tej ciężkiej roboty. Wolą się pindrować, patrzeć w telewizor i wzdychać do tych wymoczków amantów, a takiej to ja nie chcę.**

Na dole mróz ściska i zawiewa przejmujący wiatr, lecz ze studni bez przerwy płynie czysta, znakomita, źródlana woda. Od tego trzeba było zaczynać budowę. Trafili w najlepsze miejsce z tą studnią głębinową. Woda wydostaje się pod naturalnym ciśnieniem, nazywa się to „samowypływ", woda cieknie strumykiem w zagłębienie terenu za sadem, można wykopać staw, kąpać się i hodować rybki. W studnię wpuszczono pompę, ale na wypadek awarii będzie również hydrofor.

Była woda, ale jak zaczynać budowę bez elektryczności? Prąd potrzebny do betoniarki i do krajzegi, do spawów. Żadne przedsiębiorstwo nie chciało się podjąć założenia linii, bo za krótka. Prywatna firma założyła szybko, za 40 tysięcy.

Jesienią 1977 roku można było wykopać fundamenty i postawić przepisowy drewniany sraczyk, bo tego budowa również wymaga.

Sylwester pokazuje za sadem coś w rodzaju wiaty, w której stoją jałówki. To jest główna przyczyna podjęcia decyzji o budowie nowej obory. A że była to decyzja nagląca, przekonuję się zaglądając do starych, ciasnych, ciemnych pomieszczeń w obejściu za karczmą. W byle jak skleconej szopce gnieżdżą się ostatnie owce (wszystkie zostaną sprzedane, a było kilkadziesiąt), w kojcach po świniach cielęta, w oborze jedna przy drugiej tłoczą się zagnojone krowy.

— Błoto, gnojówka, po kładce trzeba było wchodzić — mówi Sylwester. — **Zaduch, brak czystości, żadnej mechanizacji, wszystko ręcznie, dojenie również. Jak w takich warunkach można było prowadzić hodowlę? Tutaj zostaną tylko kury...**

— I świniak — domaga się mama Olejniczakowa. — **Świniaka lubię trzymać, a to cholerne beczenie owiec to już mi zbrzydło. Ale co z tego, jak teraz krowy będą koncertować. Zostawili tego sporo, żeby było co wprowadzić do nowej obory, tłok się zrobił, jedna krowa z braku miejsca poszła na komorne do sąsiada. Gadam tak, żeby trochę sobie ulżyć, ale wcale nie jestem przeciwna. Co to, to nie! W rodzinie wszystko musi grać, żadnych zgrzytów, tak ich z ojcem wychowaliśmy...**

Wchodzę do tej przesadzistej karczmy staruszki, a w środku wszystko na opak: nowoczesne segmenty, tapczan z narzutą, telewizor, lodówka, dywany. Mama Olejniczakowa krząta się przy kuchni, wznosimy toast za budowę i za przyszły reportaż, i powoli, wyraziście zaczyna się przy stole układać obraz i dzieje rodziny Olejniczaków.

Ojciec, jeszcze młody, 54 lata, pełen energii i pomysłów, z początku nie był taki szczęśliwy jak dzisiaj, bo przed laty nie było w synach tego poświęcenia i miłości do ziemi. Zdradzali ją, ale co mieli robić, kiedy do gospodarstwa trzeba było dokładać? Sylwester pracował jako urzędnik w Zakładach Przemysłu Ziemniaczanego w Głownie i w powiatowym inspektoracie melioracji wodnych, a więc w instytucjach związanych z rolnictwem. Ale kiedy wżenił się w gospodarstwo (dzisiaj 13,30 ha) i gdy dzięki decyzjom partii i rządu przed wsią otworzyły się szerokie perspektywy, urzędnik ze średnim wykształceniem ukończył Przysposobienie Rolnicze III stopnia (Grzegorz tak samo) i poczuł się rolnikiem. Grzegorz jako kierowca mechanik za solidnie zapracowane pieniądze zakupił 6,30 ha ziemi.

— Nauczyłem się psuć maszyny w kółkach rolniczych — żartuje — **to teraz własnych nie zniszczę.**

Ojciec miał pięć hektarów i on właśnie wpadł przed trzema laty na pomysł, żeby założyć **Zespół Rolników Indywidualnych.** Ziemi brakowało, w Psarach było w dwóch kawałkach 4,30 ha, nikt się tym nie interesował, ale gdy Olejniczakowie chcieli kupić, chętnych znalazło się co niemiara. Kupili, chociaż ziemia

Foto: Archiwum

5 lat leżała odłogiem, niedrenowana, trzeba było przeprowadzić pełną rekultywację. Mają więc obecnie prawie 27 ha, ale rozrzucone w wielu kawałkach, jeden, 0,70 ha, w odległości 10 km, strasznie uciążliwa sprawa, ale jest to torfowa łąka, daje 50 q siana z dwóch pokosów, trudno się więc wyzbywać. O komasacji też na razie nie może być mowy, zresztą oni mają ziemię dobrze wynawożoną, głównie w III i IV klasie, więc nie bardzo by się chcieli wymieniać. Pod przyszłą hodowlę będzie potrzeba najmniej 40 ha, liczą, że dokupią, bo w Waliszewie ludzie coraz starsi...

— Proszę pana! — nie wytrzymuje mama Olejniczakowa. — **Pan wie, co było, jak zakładali ten zespół? Śmiali się ludzie, że będzie zwierzyniec, a oni najpierw na najbardziej oddalonej działce zasadzili 5 ha sadu śliwowego. I zaraz do tego krowy, owce, a klacz zarodową to mają jeszcze do dzisiaj. Istny zwierzyniec! Ojciec rządzi, oni robią. Co powie, to zrobią, takie posłuchane, a przecież dorosłe chłopy. Jak przyjdzie robota, to zięć, córka nauczycielka i ta studentka nie wstydzą się złapać wideł. A we wsi był popłoch, że ziemię zabiorą, ludzie bali się kołchozu...**

— Ludziom obcym trudno utrzymać zespół — oświadcza z powagą Sylwester. — **W rodzinie wspólnota interesów jest silniejsza Można się wzajemnie uzupełniać, nikt nikogo nie oszuka. Można wyjechać na wczasy lub wycieczkę, ja np. z żoną i ojcem jadę w grudniu Batorym do Leningradu. Dzisiaj jak ktoś posiada 5 ha, to musi dorabiać na państwowej posadzie. W Waliszewie 30 gospodarzy ma 200 ha ziemi, a powinny być cztery duże gospodarstwa i produkcja byłaby znacznie wyższa...**

Inż. Materowicz powraca do tematu nowej obory.

— Kosztorys na oborę ściółkową był w wysokości 2,4 mln zł, kredytu otrzymali równo 2 mln. Wspólnie doszliśmy do wniosku że bardziej opłacalna, chociaż droższa o 400 tys. zł, będzie obora bezściółkowa. Młode bydło stanie na ruszcie plastikowym, usuwanie obornika odbywać się będzie na zasadzie samospływu do zbiornika na zewnątrz o pojemności 250 m sześc. Nawozu pod uprawy pod dostatkiem. Krowy będą stać na materacach gumowych, z tyłu znajdzie się kanał ściekowy przykryty żelaznym rusztem. Ogółem w oborze po jednej stronie stanie 26 krów dojnych, z drugiej zaś 14 krów i cielnych jałowic, 28 sztuk młodego bydła i sześć cieląt w kojcach indywidualnych...

— To się tak ładnie mówi — wtrąca znów Olejniczakowa. — **A przez tę budowę to ja najbardziej ucierpiałam. Stół długi na cztery metry, gotowania dla dwudziestu ludzi, i jeszcze do roboty w polu musiałam iść. Murarz i stolarz byli dobrzy, ale jak się tynkarzy zostawiło, to za godzinę już leżeli sztywni przy kalfasie z zaprawą. A zbrojarz to wyliczył, ile gwoździ zużyje do umocnienia szalunków pod stropy. I nabił, cholernik, ze sto kilo, ciągnikiem trzeba było rozrywać...**

— Cegłę przywoziłem z województwa płockiego, spod Kutna, 40 km drogi — mówi Grzegorz. — **Drewno też z odległości 40 km. W resztkach Puszczy Bolimowskiej cięli drzewa pod autostradę „olimpijkę", chętnych nie było, chociaż drewno świetne, a ja miałem swój ciągnik, więc wziąłem, ile chciałem. Przyszedł transport z Sandomierza, 30 skrzyń szkła, udało nam się szczęśliwie dostać 2 skrzynie i wszystkie okna mamy zaszklone. Najgorzej było ze stalą, za resztą jeździł po różnych województwach ojciec...**

Mówią, że wiele wyrozumienia okazuje naczelnik gminy w **Bielawach,** że z pomocą i radą przychodzą fachowcy z **Bratoszewic,** szczególnie zaś **inż. Materowicz,** że zawsze mogą liczyć na **Gospodarstwo Rybackie w Psarach,** które wypożycza im maszyny. Ale przy rozwiniętej hodowli bydła konieczne będą wydatki na nowe maszyny i urządzenia. Dojdą trzy silosy przejazdowe, zbudowanie okólnika, bo tyle bydła nie można wypasać; trzeba będzie zakupić dojarki, hydrofor, siewnik zbożowy, ciągnik C-330, dmuchawy do siana i ziarna, wóz asenizacyjny, kopaczkę do ziemniaków, przyczepę samobieżną. Pasz treściwych otrzymują mniej niż hodowcy trzody chlewnej, ale jakoś sobie radzą. Mieli 2 ha buraków cukrowych (z tego są pieniądze, wysłodki i liście na kiszonki), 7 ha ziemniaków, 2 ha kukurydzy, reszta do łąki, sad i warzywa, ale pomidory zgniły.

— Mimo nasilenia pracy — mówi nie bez dumy Sylwester — **sprzedaliśmy państwu 9 ton zboża, 150 ton ziemniaków, 750 q buraków cukrowych i 40 sztuk bydła rzeźnego. Mamy teraz 14 krów i 9 cielnych jałowic, żeby więc należycie „obstawić" nową oborę, trzeba dokupić 15 cielnych jałówek, a to kosztuje nie mniej niż 200 tysięcy...**

Z ołówkiem w ręku wylicza, że 30 krów powinno dać rocznie 100 tys. litrów mleka, odejmując mleko na odchów cieląt. Dziennie przeciętnie 400 litrów po 6 zł, co daje 2400 zł. Trzeba jednak odliczyć robociznę, pasze, prąd, zużycie maszyn itp. Korzyści mimo to będą widoczne, ale zanim do tego dojdzie, przez kilka pierwszych lat będzie się jechać na długach i dokładać do obory.

— Czterysta litrów mleka to jest dwadzieścia ciężkich konwi — zauważa inż. Materowicz. — **Nie ma się więc co zastanawiać, należy zamontować rurociąg, który mleko od każdej krowy odprowadzi poprzez elektryczną dojarkę do zbiornika. Sprawa jest przesądzona, istnieje tylko kwestia zdobycia tego urządzenia...**

Obok obory widać pokaźny zapas materiałów budowlanych Cegła, pustaki, eternit. Bliżej drogi stanie nowy, dwurodzinny dom Nie żaden piętrowy bunkier, ale solidny, parterowy, estetyczny budynek z suterenami, kanalizacją, wodą i dwiema łazienkami. Zamieszkają w nim rodzice i Grzegorz, którego, jak twierdzi żartobliwie Sylwester, ten dom zobowiązuje do założenia własnej rodziny, bo inaczej może się nim zainteresować kwaterunek.

Myślę, że idąc za radą Materowicza, nie popełniłem błędu, odstępując od zasady pokazywania w reportażu zdobywców złotych wiech, bo ciekawsze jest przedstawienie czegoś w trakcie narodzin, w tym rozgardiaszu, napięciu, wytężonej pracy i towarzyszącym trudnościom, które jednak nie załamują ludzi niosących w wyobraźni przyszłe efekty swojego trudu i głęboką wiarę, że wszystko musi się udać. Olejniczakom musi się udać, bo tworzą rodzinę skonsolidowaną, mądrą, pracowitą, połączoną silnymi więzami krwi, wspólnotą interesów i pragnieniem osiągnięcia wyznaczonego celu. Ich sukces zacznie procentować, gdyż na pewno znajdą naśladowców, a to jest chyba najistotniejsze w procesie przeobrażania polskiej wsi.

RYSZARD BINKOWSKI

STATYSTYCZNE STUDIUM O UCZESTNIKACH POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Dla pisarza i pracownika nauki — więc także i dla historyka — wyjazd za granicę jest zwykle okazją do zdobywania interesującej go literatury. Jadąc w początku grudnia na dwa tygodnie do Moskwy sporządziłem sobie długą listę książek, które chciałem tam znaleźć. Nie było jednak na niej pracy o której dziś pragnę napisać. Nie było jej dlatego, że mimo, iż staram się możliwie uważnie śledzić radzieckie publikacje historyczne, dotyczące dziejów Polski, o istnieniu tej pracy po prostu nie wiedziałem. Dlaczego tak się stało? Książka ta ukazała się dość dawno, bo w 1973 roku, w minimalnym — jak na stosunki radzieckie — nakładzie 800 egzemplarzy, na rotaprincie, i nie trafiła do handlu księgarskiego. Otrzymałem ją od autora, którym jest pracownik naukowy Instytutu Słowianoznawstwa i Bałkanistyki, a mój moskiewski przewodnik, historyk Włodzimierz Michajłowicz Zajcew. Praca nosi tytuł (w tłumaczeniu z rosyjskiego): „Społeczno-stanowy skład uczestników powstania 1863 r. Próba analizy statystycznej" i ukazała się nakładem wspomnianego Instytutu.

Monografia W M. Zajcewa jest pracą o doniosłym znaczeniu naukowym. Jak autor zaznacza na wstępie, sprawa społecznego charakteru powstania styczniowego jest przedmiotem żywych sporów w literaturze naukowej. Rozpoczęły się one jeszcze podczas wydarzeń 1863 r. i trwają właściwie po dziś dzień. W tej sytuacji dla ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy byłoby najlepiej, gdyby dało się odnaleźć takie źródła o charakterze statystycznym, które umożliwiłyby szczegółowe obliczenie, jaki był udział w powstaniu przedstawicieli poszczególnych klas i grup społecznych. I właśnie takie źródło, może jeszcze nie w całości obejmujące ludzi, którzy w ten czy w inny sposób związali się z ruchem 1863 r., ale w każdym razie niezmiernie bogate w informacje, dające się opracować metodami badań kwantytatywnych, odnalazł radziecki historyk.

Jest nim zespół 94 akt dawnego Audytoriatu Ministerstwa Wojny, w którym zawarte są — jak podkreśla to W. M. Zajcew — „informacje o najaktywniejszej części uczestników ruchu z całego terytorium, objętego powstaniem". Cały ten materiał składa się z 38 tomów i zawiera 22 i pół tysiąca kart; badaczowi nie udało się odnaleźć jedynie tomu 17 tej ogromnej kolekcji, w którym — jak powiada — znajdowały się wiadomości o 500—600 represjonowanych przez carskie władze uczestnikach powstania. Cały ten ogromny materiał, uzupełniony innymi źródłami rękopiśmiennymi i drukowanymi, posłużył za podstawę dla badań, których rezultaty W. M. Zajcew zawarł w swojej monografii, przedstawiając je w zwięzłej narracji oraz w dołączonych do pracy tablicach statystycznych. Tablic tych — nie licząc różnego rodzaju zestawień, które znalazły się w tekście książki — jest aż 61 i wszystkie zostały samodzielnie zestawione przez autora, który przy swej pracy — jak mi o tym opowiadał — nie korzystał z żadnych udogodnień, jakie stwarzają dziś komputerowe metody przetwarzania danych. Wszystko zrobił sam, we własnym zakresie, ogromnym nakładem ciężkiej, żmudnej pracy.

Ale praca ta, zaiste benedyktyńska, opłaciła się sowicie. Aby się o tym przekonać, wystarczy zaglądnąć do zakończenia pięknej książki W M. Zajcewa, tam, gdzie radziecki uczony przedstawił najogólniejsze wnioski wypływające z przeprowadzonych przez siebie badań. Stwierdził on, że na 20 629 represjonowanych przez carskie władze uczestników powstania 1863 r., na całym obszarze objętym ruchem powstańczym, 26,3 proc., stanowili chłopi, 14,3 proc. mieszczanie, 43,6 proc. szlachta, a zaledwie 2,4 proc. duchowieństwo. Z liczb tych wynika, że powstanie 1863 r. nie było — jak to powiadała oficjalna, carska propaganda — jerynie ruchem szlacheckim i „klerykalnym", chociaż — jak zauważa W. M. Zajcew — „szlachta i duchowieństwo (przede wszystkim katolickie) odgrywały w nim ważną rolę, a na niektórych obszarach stanowiły podstawową masę uczestników ruchu". Dążąc do określenia społecznego składu uczestników powstania radziecki uczony nie poprzestał na globalnych, najogólniejszych wyliczeniach. Skrupulatnie analizował różnice społecznego składu powstańców w poszczególnych regionach: w Królestwie Polskim, na Litwie i Białorusi, wreszcie na prawobrzeżnej Ukrainie. Jest niezmiernie charakterystyczne, że podczas gdy w Królestwie Polskim chłopi i mieszczanie stanowili 61,2 proc. uczestników ruchu 1863 r., to na Litwie i Białorusi już tylko 28,2 proc., zaś na prawobrzeżnej Ukrainie jedynie 13,9 proc. Liczby te dają wiele do myślenia co się tyczy składu społecznego i charakteru powstania...

Włodzimierz M. Zajcew, którego znaliśmy dotąd jako jednego z autorów pracy zbiorowej, ogłoszonej w 1970 r. pod tytułem „Badania historyczno-socjologiczne" (pisaliśmy o niej w swoim czasie na łamach „Odgłosów"), dał nam nadzwyczaj cenne, analityczne studium, poświęcone ważnemu problemowi naszej polskiej historii. Do jego książki odwoływać się też będą wszyscy, którym przyjdzie zajmować się dziejami powstania styczniowego oraz przemianami struktur społecznych w Polsce w XIX stuleciu.

ANDRZEJ F. GRABSKI

KONRAD FREJDLICH

TRYBUN DZIECIĘCTWA

W panteonie laickich świętych naszego stulecia nie może zabraknąć Janusza Korczaka: człowieka który z pełnym przekonaniem poświadczonym własnym życiem głosił wiarę w „białe, jasne, niepokalane dzieciectwo" i domagał się dlań „szacunku, jeśli nie pokory".

Wyjątkowy stosunek do dziecka najlepiej charakteryzuje postępowanie Starego Doktora. To kolejne wcielenie Henryka Goldszmita, który z żółtą gwiazdą Dawida na piersi, niosąc na ręku jednego z wychowanków, pomaszerował na czele gromady dzieci z sierocińca do bydlęcego wagonu, aby wraz z nimi znaleźć koniec w komorze gazowej Treblinki., Legenda mówi o tym że dzieci te niosły zielony sztandar nadziei.

Nadchodził koniec świata, w który Korczak wierzył i wiarę, te szczepił swym wychowankom, ale kiedy zawiodła wiara, to niewzruszona okazała się wierność: sobie, głoszonym przez siebie zasadom, sprawie, która się tyle lat żyło Legenda przyrównuje go do Sokratesa, który dobrowolnie wybrał śmierć z rąk oprawców, ale legenda ta pomniejsza Korczaka. Myślicielowi ateńskiemu wystarczyła wiedza o tym, co jest moralne aby w zgodzie z własną etyką wypić czarę cykuty. Korczak musiał przed śmiercią złamać zasady własnej etyki aby dochować wiary moralności wyższego rzędu. W ostatnim swym podaniu o pracę z 1942 roku w zamian za dwa posiłki dziennie i mieszkanie służbowe napisał przecież: „Szpital pokazał mi, jak godnie dojrzale i rozumnie umie umierać dziecko". I teraz, kiedy dzieci jechały wraz z nim na śmierć pamięć o tym musiała być podwójnie bolesna, bo chcąc im najdłużej oszczędzić cierpień, musiał karmić dzieci złudną nadzieją. Śmierć całej zbiorowości to było doświadczenie, którego się nie można było nauczyć, ani podczas wojny rosyjsko-japońskiej, ani w okopach pierwszej zawieruchy światowej, ani nawet podczas wojny domowej w Rosji. Takiego doświadczenia nie miał też za sobą Sokrates.

Kiedy w roku 1912 Goldszmit jako wzięty lekarz porzucał prywatną praktykę aby przenieść się do Domu Sierot, z którym związał się na zawsze, nie przypuszczał chyba przed jakim los postawi go wyborem. Pedagogika — nie lubił tego słowa — była tylko jednym z jego zainteresowań. „Uważam się za wtajemniczonego — napisze pod koniec życia — w dziedzinie medycyny, wychowania, eugeniki, polityki."

Wbrew tym słowom, w odróżnieniu od ludzi ze swego najbliższego kręgu, nigdy nie brał czynnego udziału w życiu politycznym. Mimo to dwukrotnie znalazł się w więzieniu Pierwszy raz na progu nowego wieku za działalność w czytelniach Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Aresztowanie to nie było dolegliwe. Po raz wtóry znalazł się w więzieniu w roku 1940, Pawiak. Tu już trzeba było niemal cudu, aby uniknąć śmierci, zwłaszcza gdy się było Żydem. A trzeba dodać, że Korczak sam zwrócił na siebie uwagę Niemców, kiedy ubrany w polski mundur majora poszedł do zarządu miasta upominać się o wóz kartofli dla dzieci z sierocińca na terenie getta. Na dodatek oświadczył zdumionym jego „bezczelnością" Niemcom, że nie założy opaski z żółtą gwiazdą jako znaku pohańbienia godności ludzkiej. Jeśli natychmiast nie skończyło się to tragicznie to dlatego, że Niemcy podejrzewali spisek i domagali się wydania wspólników tej demonstracji.

Ten bezprzykładny jak na owe czasy czyn także charakteryzuje Korczaka jako człowieka. Bo umieszczając go w panteonie świętych epoki pieców musimy bronić Korczaka jako człowieka przed jego legendą.

Kiedy się na przykład słyszy słowa pochwał na temat metod pedagogicznych Starego Doktora i jego niewątpliwych sukcesów wychowawczych, to trzeba pamiętać, że o efektach decydowały nie tyle same metody, ile osobowość Korczaka. Słusznie zauważył Igor Newerly, który poświęcił autorowi „Króla Maciusia I" jedną ze swych najgłębszych książek „Żywe wiązanie": „Wychowuje nie metoda, ale człowiek o dostatecznie silnej indywidualności, o takich walorach rozsądku, wiedzy, postawy moralnej, że budzi szacunek, posłuch, zaufanie, chęć naśladownictwa."

Z pracą wśród dzieci zetknął się Korczak w roku 1907 podejmując się obowiązków wychowawcy na koloniach letnich dla żydowskich chłopców. W rok później powtórzy to doświadczenie z chłopcami polskimi Jak musiał silnie przeżyć te prace dowodzi jego decyzja związania się z Towarzystwem Pomocy dla Sierot. To właśnie z jego ramienia, jako działacz zarządu weźmie udział w projektowaniu sierocińca na Krochmalnej w Warszawie i przyjmie nadzór nad jego budową. Z Domem Sierot zwiąże się na całe życie. Pod koniec, w getcie kiedy zacznie spisywać wspomnienia zauważy: „Rzuciłem szpital dla Domu Sierot. Mam poczucie winy... Szpital dał mi tak wiele, a ja mu, niewdzięczny, tak mało. Brzydka dezercja."

Jeżeli była to rzeczywiście dezercja, to nie po to, aby się dekować gdzieś na tyłach. W jednej chwili znalazł się przecież Korczak na pierwszej linii frontu walki o godność dziecka. I rzucił wyzwanie pisząc demaskatorskie książki, w których oskarża. W imię „Prawa dziecka — do szacunku":

„Rośnie nowe pokolenie, nowa wznosi się fala. Idą z wadami i zaletami, dajcie warunki, by wzrastali lepsi. Nie wygramy procesu z trumną chorej dziedziczności, nie powiemy chabrom, aby były zbożem.

Nie jesteśmy cudotwórcami — nie chcemy być szarlatanami. Zrzekamy się obłudnej tęsknoty do dzieci doskonałych.

Żądamy: usuńcie głód, chłód, wilgoć, zaduch, ciasnotę, przeludnienie.

To wy płodzicie chore i ułomne, wy stwarzacie warunki buntu i zarazy: wasza lekkomyślność, nie rozum i brak ładu."

Po dwóch latach pracy w Domu Sierot, który stał się także jego domem krystalizuje się dalsze poglądy Janusza Korczaka (już Janusza Korczaka) na istotę dzieciectwa. Nie ma w nich ani odrobiny rozczulania się, które było mu z gruntu obce jak wszelka czułostkowość. Jest za to pogłębiona, ostra w swojej wymowie refleksja:

„Jeśli podzielić ludzkość na dorosłych i dzieci, a życie na dzieciectwo i dojrzałość, to tego dziecka na świecie i w życiu jest bardzo, bardzo dużo. Tylko, że zapatrzeni we własną walkę, własną troskę nie dostrzegamy go, jak dawniej nie dostrzegaliśmy kobiety, chłopa, uciemiężonych warstw i narodów. Urządziliśmy się tak, by nam dzieci najmniej przeszkadzały, najmniej domyślały się czym istotnie jesteśmy i co istotnie robimy."

Wojna światowa, ta pierwsza, kiedy mimo zbrodni Verdun życie ludzkie ma mimo wszystko swoją cenę, przerywa studia Korczaka nad dziećmi, chociaż na krótko. Z dywizyjnego szpitala zostaje oddelegowany do pracy w przytułkach dziecięcych: chłopcy ukraińscy, dzieci polskie. W Kijowie pozna osobę owianą nimbem bohaterstwa i legendą, bliską współpracownicę Piłsudskiego Marynę Rogowską-Falską. Po śmierci swego męża Leona, Falska bez reszty poświęci się pracy dla dzieci prowadząc drugi korczakowski sierociniec, tym razem dla dzieci polskich: Nasz Dom. Pod jego nieobecność żydowski Dom

Sierot prowadzi inna „fanatyczka" sprawy dziecięcej Stefania Wilczyńska, która będzie towarzyszyć Korczakowi także w ostatniej drodze, na stracenie.

Kontynuując swoje poszukiwania koncepcji wychowawczej Korczak dochodzi do swoistej formuły umowy społecznej jaką dorośli zawierają z dziećmi. Dała im wyraz Maryna Falska w przedstawieniu celów Naszego Domu:

„Przymus zastąpić przez dobrowolne i świadome przystosowanie się jednostki do form życia zbiorowego. Nie słowo, nie morał: konstrukcja internatu taka, żeby dzieci ceniły pobyt w nim, żeby zależało im samym na wydobyciu z siebie jak największego wysiłku, by się opanować i przezwyciężyć, dostroić i zastosować do wymagań i potrzeb środowiska."

Stąd niedaleko już do utopii „Króla Maciusia I", który powołuje dziecięcy sejm i ściśle wprowadza w życie korczakowski podział „na dzieciectwo i dojrzałość". Zresztą te utopie zdają egzamin zarówno w Domu Sierot jak i w Naszym Domu, gdzie panuje daleko idąca samorządność. Rada Samorządowa ma chyba nawet uprawnienia dalej idące niż prawdziwe ciało ustawodawcze, jak o tym świadczy zachowane podanie jednego z wychowanków „Naszego Domu": „Upraszam Radę Samorządową o przyznanie mi prawa do zrehabilitowania się. I o przyznanie na opiekuna Józika H."

Korczak snuje społeczną baśń zarówno w kierowanych przez siebie domach jak i w beletrystyce, które tendencyjnie nosi równie baśniowo-socjalne treści. Ale rzecz wielce znamienna i charakterystyczna: sztandarowe postaci powieści Korczaka ponoszą klęski. Dotkliwą klęskę ponosi dziecięcy monarcha Maciuś I zdradzony przez najbliższego przyjaciela Felka, głupich ministrów i tchórzliwych poddanych. Nie wystarczy postanowienie Maciusia: „Wy będziecie się zajmowali dorosłymi, a ja będę królem dzieci. Jak będę miał dwanaście lat, będę rządził dziećmi do lat dwunastu, jak będę miał piętnaście, to — do pietnastu. A sam, jako król mogę robić, co chcę. A reszta niech będzie po staremu. Ja jestem sam mały i wiem, co jest potrzebne dla malców." — tak i zostanie wypędzony na bezludną wyspę jako niebezpieczny szaleniec i buntownik, który zagraża egzystencji innych monarchów.

Poniesie także bankructwo mały Dżek, tytułowa postać innej korczakowskiej baśni społecznej. Niech nas nie zwiodą z pozoru amerykańskie realia tej powieści: w gruncie rzeczy mimo angielskich imion mamy tam do czynienia z bohaterami wcześniejszych utworów Korczaka: Mośkami, Joskami, i Srulami oraz Józkami, Jaśkami i Frankami. I tu także zaufanie chłopca zostało ciężko nadużyte, w rezultacie czego słuszna sprawa ponosi fiasko.

Czyżby była to osobista niewiara Korczaka w proponowane przez siebie reformy wychowawcze, które tak doskonale sprawdzały się w kierowanych przez niego placówkach? Raczej chyba chodzi o uprzytomnienie czytelnikowi, często czytelnikowi z bezpośredniego kręgu korczakowskiego, że sprawa nie jest bynajmniej taka prosta. Stary Doktor musiał sobie przecież zdawać sprawę, że za murami sierocińca życie jest o wiele bardziej bezwzględne i brutalne, i że chroniąc sieroty osłabia zarazem ich instynkt samozachowawczy. Altruizm i wzniosłe ideały sprawdzające się doskonale w czterech murach sierocińca mogły nie sprawdzić się poza tym wyjątkowym układem. Przyszedł tego dowód tragiczny w postaci okupacji i getta, choć nawet w tych nienormalnych warunkach Korczak długo nie dał odczuć swym podopiecznym, że na świecie coś się zmieniło. W porównaniu z głodem całego getta sieroty, którymi opiekował się Korczak chodziły niemal syte. Nie potrafił ich tylko uchronić przed tym przeznaczeniem, na które ani on sam, ani nawet silniejsi od niego nie mieli już wpływu. Do końca jednak, jak to celnie podkreślił Stefan Wołoszyn w publikacji o Korczaku, pozostał niezawodnym wychowawcą zgodnie z tym co sam postulował pisząc o działalności Fabre'a: „Genialny entomolog francuski Fabre szczyci się, że poczynił epokowe obserwacje nad owadami nie uśmierciwszy żadnego. Badał ich lot, ich zwyczaje, troski i radości. Przyglądał im się bacznie, gdy weselily się w promieniach słońca, walczyły i ginęły w walce, poszukiwały pożywienia, budowały schroniska, robiły zapasy. Nie oburzał się; mądrym wzrokiem śledził potężne prawa natury w ich ledwo dostrzegalnych drgnieniach. Był nauczycielem ludowym. Badał golym okiem. — Wychowawco, bądź Fabrem świata dziecięcego."

I takim na zawsze pozostanie w naszej pamięci, jako człowiek który przekroczył granice własnej legendy stając się nieśmiertelnym symbolem. Tylko niewielu historia obdarowała tak szczodrze.

Foto: J. Czecz

FILM O KORCZAKU

W Wytwórni Filmów Oświatowych powstał film zatytułowany „Korczak" i poświęcony sylwetce tego wybitnego humanisty. Scenarzysta i realizator w jednej osobie Leszek Skrzydło, autor głośnego cyklu „Biblia", podszedł do trudnego tematu wcale nie rocznicowo i w rezultacie powstała propozycja żywa, ambitna, otwarta. Niezbędne dane biograficzne oparte o skąpe, ocalałe ikonografie wprowadzają nas w środowisko, z którego pochodził i w którym działał Henryk Goldszmit jako lekarz i jako pedagog. Ale jest to rzeczywiście tylko introdukcja stanowiąca wraz z przejmującą sekwencją końcową wędrówki po obozie zagłady w Treblince ramę artystyczną, w której tym wyraźniej prezentują się idee wychowawcze Starego Doktora.

Reżyser Leszek Skrzydło powiedział do dziennikarza Interpressu z okazji nagrody na XXI Festiwalu Filmów Krótkometrażowych i Dokumentalnych w Lipsku:

„Miałem zamówienie na film biograficzny, ale po zapoznaniu się z nielicznymi materiałami ikonograficznymi postanowiłem podjąć próbę pokazania Korczaka poprzez jego system pedagogiczny, w oparciu o książki o starym doktorze, a zwłaszcza o znakomitą, moim zdaniem, książkę Igora Newerlego. Po wnikliwej lekturze dzieł Korczaka byłem zdecydowany co do kształtu filmu, budując go w formie cytatów, kładąc tym samym większy nacisk na stronę literacką niż obraz. Mając do dyspozycji tak niewielki materiał archiwalny w postaci zdjęć warstwę obrazową filmu oparłem na portretach ludzi współczesnych. Wydaje się, że to zderzenie narracji z przeszłości z obrazem współczesnym nadało Korczakowi i jego myślom wymiar ponadhistoryczny."

Film jest rzeczywiście taką próbą adaptacji obrazu do korczakowskiej idei dziecka jako człowieka. Jednocześnie Skrzydło stara się nie tyle zilustrować, co zinterpretować Korczakowskie metody wychowawcze, chociaż pozornie ani razu nie wychodzi poza dosłowne fragmenty pism „Starego Doktora" — wyjątek uczniony został jedynie dla „Żywego wiązania" Igora Newerlego, który jako osobisty sekretarz Korczaka najwięcej potrafi o nim powiedzieć jako o człowieku. Obraz będący egzemplifikacją idei korczakowskiej nie stara się przecież niczego dokumentować: zostało tu przyjęte na gorącym uczynku samo życie i ono dostatecznie zaświadcza, czy Stary Doktor miał racje. Co prawda są wyjątki. Właśnie dokumentalne. Z niejakim wzruszeniem oglądamy za pośrednictwem filmu archiwalne numery nieosiągalnego niemal dzisiaj „Małego Przeglądu" gazety, z inicjatywy Korczaka, redagowanej przez dzieci dla ich rówieśników. W paru sekwencjach widzimy wnętrza korczakowskiego sierocińca i wychowanków, którzy obecnie mieszkają w „Naszym Domu", ale o tym informacja w komentarzu czytanym z dużym wyczuciem przez Zbigniewa Zapasiewicza nie pada jako nieistotna dla myśli przewodniej filmu.

Oczywiście można by się pokusić o obraz bardziej nasycony korczakowskimi realiami, a zwłaszcza zawierający wywiady z ludźmi, którzy Korczaka znali osobiście, albo nawet jak Igor Newerly blisko z nim współpracowali. Nie stawiam Skrzydle zarzutu, że tak nie uczynił — jako recenzent pragnę tylko zasygnalizować pewien mój niedosyt. Czasem przecież warto zmącić formalną czystość obrazu, na rzecz wartości, których może już wkrótce w ogóle nie będzie można zarejestrować jako że od śmierci Korczaka minęło 36 lat.

Ale nawet z tymi niedostatkami film Skrzydły z nastrojowymi zdjęciami Janusza Czecza jest propozycją, nad którą nie można przejść obojętnie. Nic też dziwnego, że „Korczak" otrzymał w Lipsku nagrodę Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej.

JERZY DARNAL

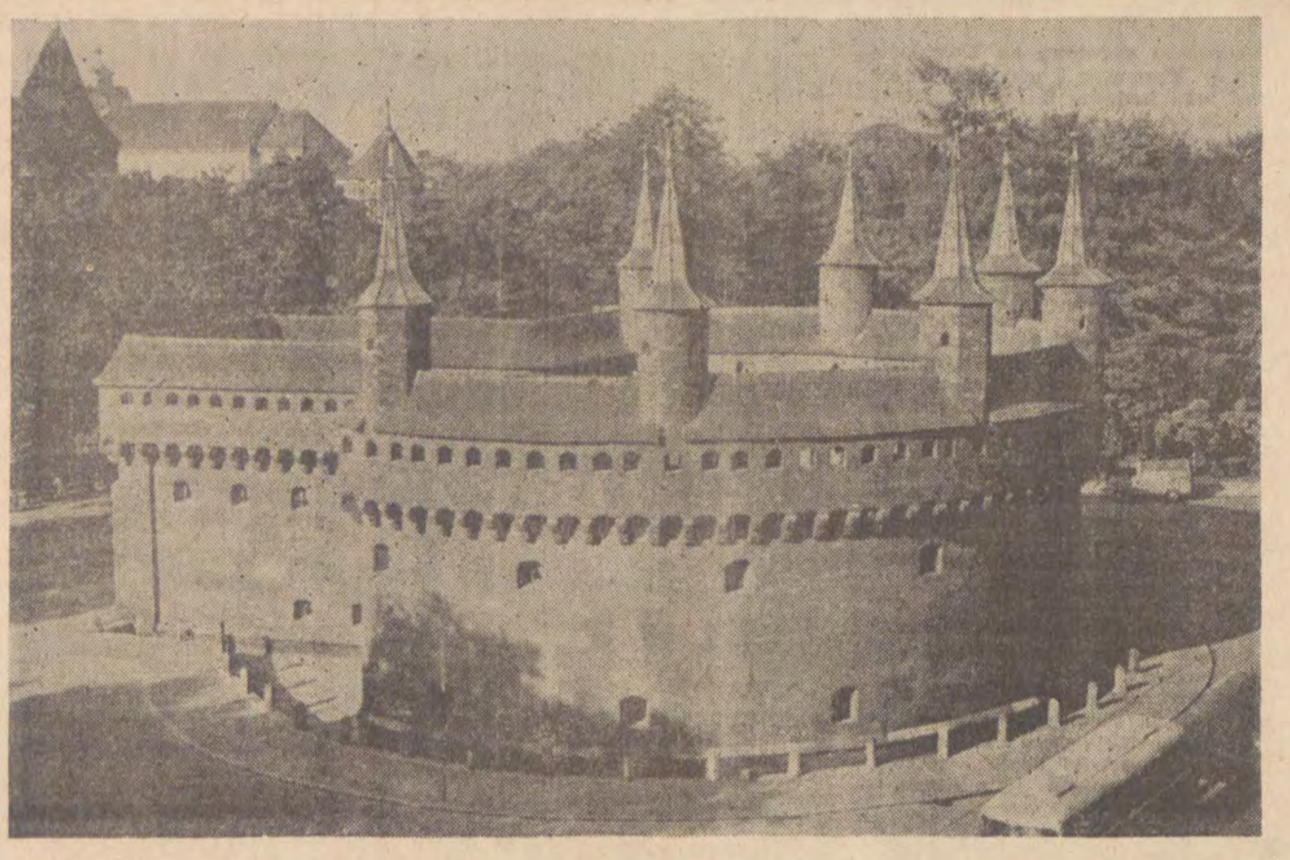

Fot: Archiwum

TOMASZ SOLDENHOFF

POZA SCHEMATEM

Dwie były wielkie KUŹNICE w dziejach naszego narodu: Kuźnica Kołłątajowska, o której uczą już w szkole i „Kuźnica" marksistowska, o której w szkole uczyć się powinno. Kuźnica — to dawna nazwa huty, hamerni z dymarką i młotem, patronowała zawsze myśli o postępie, była i jest symbolem lewicy w myśleniu i działaniu.

Przyjmując przed trzema z górą laty nazwę „KUŹNICY" partyjni twórcy i działacze z Krakowa opowiedzieli się za kontynuacją, ciągłością. Wobec tradycji: tej dalszej, osiemnastowiecznej i tej najbliższej — powojennej.

1.

Być może zarzucą mi towarzysze z Krakowa, że nazbyt pospiesznie umieszczam ich w szeregu encyklopedycznych haseł. Powiedzą:

— Czas przestać traktować nasze istnienie, istnienie „Kuźnicy", w kategoriach fenomenu, który — jak gdyby przez sam fakt swej unikalności — zasługuje na aplauzy, zaszczyty i miejsce w encyklopedii.

Powiedzą też — bowiem zwykło się tam mówić szczerze, choć odpowiedzialnie — że oduczyliśmy się w Polsce takich sposobów dyskusji o naszej rzeczywistości, jakie proponuje **„Kuźnica"**. I że **„Kuźnica"** nie chce (i nie powinna) być pierwsza i ostatnia — bowiem potrzeba ożywienia ruchu intelektualnego wśród partyjnych twórców i działaczy istnieje nadal. I sama **„Kuźnica"** tej potrzeby nie załatwi.

Patrząc z perspektywy trzech lat na istnienie **Krakowskiego Klubu Twórców i Działaczy Kultury** można stwierdzić, że udało się nam przełamać pierwsze lody nieufności, jakie towarzyszyły jego początkowym działaniom. Co więcej, suma dokonań **„Kuźnicy"** jest tak ważka i cenna, że może stać się wzorem dla innych. I z wolna — staje się.

Powstanie krakowskiej **„Kuźnicy"** wywołało reakcję łańcuchową. Świadczą o tym nie tylko echa prasowe. W wielu środowiskach myśli się i dyskutuje o stworzeniu podobnych stowarzyszeń, czy nawet **filii „Kuźnicy"**. Zainspirowany przez nią ruch umysłowy wewnątrz partii rozszerza się.

2.

Idea powstania **„Kuźnicy"** wyszła z kręgu kolegów i przyjaciół skupionych wokół **Tadeusza HOŁUJA** — znanego prozaika, poety, dramaturga, działacza społecznego i politycznego. Ludziom tym wyszedł naprzeciw Komitet Wojewódzki PZPR w Krakowie.

Oto co o powstaniu **„Kuźnicy"** mówi po trzech latach jej istnienia współzałożyciel i przewodniczący klubu:

— Od początku zdawaliśmy sobie sprawę, że proponujemy coś, co jest poza schematem. Pierwsze rozmowy nie były więc łatwe, nawet w instancjach partyjnych. Istnieją u nas stowarzyszenia i związki twórcze, które mają swoje kluby często również o charakterze interdyscyplinarnym. Jednakże, głównym tematem dyskusji są w tych stowarzyszeniach sprawy zawodowe, organizacyjne, bytowe. Żaden klub — również w Krakowie — nie integrował dotąd twórców wszystkich dziedzin sztuki na płaszczyźnie ideowo-politycznej...

Cała nasza teoria sprowadza się do przekonania, że trzeba próbować, jeżeli coś jest zaniedbane, jeżeli z tym czymś jest źle. Po prostu nie można opuszczać rąk. A może znajdzie się trzystu ludzi, którzy chcieliby coś zrobić, ożywić środowisko? „Kuźnica" zaczęła, ale smutny to fakt, że niektórzy piszą o nas jako o rewelacji. Nasze istnienie powinno być czymś naturalnym.

„7 kwietnia 1975 roku Komitet Wojewódzki PZPR w Krakowie sformułował „Dyrektywę w sprawie klubu „Kuźnica" stwierdzającą, iż inicjatywa partyjnych środowisk twórczych przekształca się z idei w rzeczywistość..." — czytamy w kronice, zamieszczonej w pierwszym numerze **„ZDANIA"** — Wydawnictwa **„Kuźnicy"**. 8 kwietnia — już w pomieszczeniach klubu w odnowionej zabytkowej kamienicy przy Rynku Głównym nr 25 — odbyło się Zebranie Założycielskie Stowarzyszenia. Wybrano Radę Klubu — organ kierujący stowarzyszeniem między kolejnymi Walnymi Zebraniami, Komisję Rewizyjną i Sąd Koleżeński, który wszakże do tej pory nie miał nic do roboty. Sformułowano statut i program.

Zgodnie z przyjętym statutem **„Kuźnica"** skupia na zasadzie dobrowolności twórców i działaczy kultury będących członkami partii oraz osoby bezpartyjne stojące na gruncie ideologii marksistowsko-leninowskiej. Po drugim Walnym Zebraniu **„Kuźnicy"** — w kwietniu 1978 roku — rozszerzono jednak możliwość wstępowania do stowarzyszenia dla osób nie będących bezpośrednio związanymi z działalnością artystyczną i kulturalną. Otwarto również szerzej drzwi dla bezpartyjnych, angażujących się razem z partią w realizację jej ideologii i polityki.

Są dzisiaj w klubie artyści wszystkich dziedzin: pisarze, plastycy, ludzie teatru, muzycy, filmowcy. Ci, którzy w swojej twórczości inspirują się socjalizmem i ci, którzy u siebie — w związku — dyskutują tylko o sprawach zawodowych, tacy, których trudno byłoby podejrzewać, że zawodowo, w swej twórczości, są zainteresowani polityką. Są w stowarzyszeniu zawodowi działacze kultury (ale nie tylko dyrektorzy domów kultury), są jednak także ludzie nie związani profesjonalnie z kulturą.

— Siłą rzeczy klub przekształca się w klub twórczy lewicowej inteligencji — mówi Tadeusz Hołuj. — **Nie każdy z początku potrafi powiedzieć, jak rozumie i traktuje swoje zaangażowanie. Ale nawet takie „przypieranie do muru" w czasie wieczorów autorskich w „Kuźnicy" ma swój sens. Tego nie robi się w środowisku ani w POP. Żaden malarz nie zaatakuje kolegi-malarza, ponieważ się boi, że tamten zaatakuje potem jego. Żaden dyrektor teatru nie skrytykuje repertuaru innego teatru: wszystko jest „cacy". Natomiast u nas, w „Kuźnicy", się atakuje, ba! — często nawet obraża panów i towarzyszy. Zdarza się, że po krytyce niejeden z nich przez parę miesięcy nie przychodzi do „Kuźnicy". Jeżeli dyskusja ma być szczera, nie może być jednostronna. Nie jest powiedziane, że będziemy bronić każdego zjawiska w kulturze, nawet jeżeli jego walory estetyczne są oczywiste...**

3.

Ze statutu „Kuźnicy" wynotuję cele stowarzyszenia. Są nimi:

— skupienie ideowego aktywu działającego w dziedzinie kultury,

— stworzenie ośrodka integrującego działania partyjnych środowisk w tejże dziedzinie, kształtującego ideową opinię o zjawiskach i problemach socjalistycznej kultury, inspirującego twórczość i działalność w duchu idei komunistycznej,

— upowszechnianie linii ideowo-politycznej partii w dziedzinie kultury i sztuki,

— uczestniczenie w kształtowaniu tej linii w tworzeniu planów rozwoju życia kulturalnego oraz pomoc w urzeczywistnianiu tychże,

— umożliwianie stałego kontaktu między twórcami, działaczami i środowiskami.

Wszystkie spotkania, wieczory autorskie, narady, pokazy, wystawy i wydawnictwa są jedynie fragmentami żywej, nieustającej dyskusji **„Kuźnicy"** nad współczesnością. Nie ma w **„Kuźnicy"** dyskusji o sztuce w ogóle ani o wartościach estetycznych — osobno. A jeżeli na forum klubu pojawia się konkretna książka, film czy spektakl teatralny — to pełnią one rolę „zapłonów". Jeśli dyskutuje się o książce komunisty — byłego sekretarza Komitetu Partii, to przedmiotem roztrząsań jest przedstawiona w niej epoka, a nie pamiętnik sam w sobie. Jeżeli dyskutuje się o powieści Władysława Machejka — to dlatego, by ocenić jak autor — po marksistowsku — widzi rzeczywistość i na ile to widzenie jest wspólne z widzeniem pozostałych kuźniczan.

To niektóre przykłady, bowiem rozpiętość gatunku owych „zapłonów" jest ogromna: od zjawisk artystycznych i wydarzeń kulturalnych przez aktualne wydarzenia polityczne, społeczne i gospodarcze po fakty z tradycji i historii. Przy czym — co warto podkreślić — materiały do dyskusji dostarczane są zawsze z pierwszej ręki: nie od krytyka-recenzenta filmu, ale od jego twórcy, uczestniczącego wraz z członkami **„Kuźnicy"** w projekcji (często jeszcze przedpremierowej) filmu; nie od lektora, ale od ministra, który przy tej okazji ma możliwość zapoznania się z opiniami partyjnych twórców i działaczy, ze zdaniem **„Kuźnicy"**.

Częstymi gośćmi są w **„Kuźnicy"** towarzysze z Warszawy; przyjeżdżają również przedstawiciele innych partii komunistycznych, postępowi pisarze, aby przybliżyć polskim towarzyszom problemy polityki kulturalnej w swoim kraju, polityki kulturalnej, w szerokim zresztą rozumieniu: nie tylko wobec dzieł artystycznych, ale np. Kościoła, innych ruchów społecznych itd. Byli zatem w **„Kuźnicy"** Rosjanie i Chilijczycy, byli towarzysze z NRD i Kuby, Włosi, Anglicy, Portugalczycy, Hiszpanie, Węgrzy, Rumunii i Czesi, którzy swoim filmem o dramatycznych wydarzeniach najnowszej historii wywołali jedną z najbardziej wspominanych w **„Kuźnicy"** dyskusji.

Do **„Kuźnicy"** nie przychodzi się jak na uniwersytet. Przekonałem się o tym sam, uczestnicząc 5 grudnia 1978 r. w dyskusji na temat **„swobodnej wymiany informacji"** zainspirowanej przez pracownika UJ, socjologa i prasoznawcę Tomasza Gobana-Klasa. Nikt się w **„Kuźnicy"** nie wykręci referatem, nikt nie ucina dyskusji w najgorętszym momencie. Kuźniczańskie „posiady" potrafią kończyć się i o czwartej nad ranem...

Tadeusz Hołuj:

— Zostaje już tylko dziesięciu, a jeszcze gada. Ale to dobrze! Ludzie mają miejsce, gdzie mogą wypowiedzieć się do końca.

O tym że nie są to rozmówki akademickie świadczą choćby te dyskusje, które w pierwszych numerach **„ZDANIA"** udostępniła **„Kuźnica"** szerszym odbiorcom. W dyskusjach tych można znaleźć odbicie ocen i poglądów społeczno-politycznych panujących w **„Kuźnicy"**. Można odnaleźć w nich również tę atmosferę, której główne tony nadaje poczucie współodpowiedzialności intelektualistów za świat w którym żyją, wybór marksizmu-leninizmu jako światopoglądu i metody, chęć stosowania go w praktyce.

I tak w dyskusji na temat: **„Uczyć marksizmu"** mówi się nie o podręcznikach i rozkładzie godzin w uniwersyteckiej „siatce", ale o związku marksizmu z rzeczywistością, o jego faktycznej obecności w świadomości Polaków, to mówi się szczerze, bez zaokrąglania kantów, w tonie nieuładzonym. Ten sam sposób widzenia przebija w dyskusji pt. **„Sztuka i rzeczywistość"** (w nr 2 „Zdania"), a także w rozważaniach na temat: **„Polityka a moralność"** (znajdą się one w numerze trzecim kwartalnika „Kuźnicy"). O tradycjach ruchu robotniczego i komunistycznego dyskutuje się w **„Kuźnicy"** tak, by określić co z wnoszonych przez nie wartości jest dla nas, na dziś, aktualne. Kuźniczański wieczór poświęcony Leninowi miał charakter niecodzienny, niemal „masoński". Zamiast wygłaszania referatu wstawali członkowie **„Kuźnicy"** i czytali wybrane przez siebie fragmenty z dzieł Lenina, te, które uznali za najbardziej aktualne i inspirujące dzisiaj.

Próbą przeciwstawienia się lakiernictwu — jako metodzie upiększania rzeczywistości oraz ograniczaniu się w twórczym działaniu do bezpiecznych obszarów, a przy tym zwróceniem uwagi na te dzieła, które cechują się odwagą w podnoszeniu ważnych i trudnych problemów naszej współczesności, są nagrody **„Kuźnicy"** — przyznawane nieperiodycznie **„KOWADŁA"**. Otrzymali je dotąd: **twórcy serialu telewizyjnego „Dyrektorzy", W. Loranc** — specjalista w zagadnieniach kultury socjalistycznej i publicysta, **T. Łomnicki** — dyrektor Teatru Na Woli, działającego w środowisku robotniczym, prof. **J. Szczepański** — publicysta i socjolog, **R. Frelek, W. T. Kowalski i R. Wionczek** — twórcy telewizyjnych widowisk o historii współczesnej, **E. Osmańczyk** — publicysta (za książkę „Rzeczpospolita Polaków"), a także **Dom Kultury w Oświęcimiu** — inicjator akcji upowszechniania marksizmu-leninizmu wśród robotników. Szczegółową motywację nagród **„Kuźnicy"** znajdą czytelnicy w I tomie **„Zdania"**.

W marcu 1979 roku rozstrzygnięty zostanie konkurs na scenariusze widowisk o polskich rewolucjonistach patronach wielkich zakładów pracy. W intencji organizatorów: **„Kuźnicy"** i CRZZ ma konkurs ten mieć nie tylko organizacyjną, ale i inspiratorską rolę. Te prace które spełnią warunki konkursu zostaną wydane w osobnym tomie, zaś według scenariuszy nagrodzonych zrealizowane zostaną widowiska, które na taśmach magnetowidu rozpowszechniane będą w zakładach pracy.

W ponad trzystuosobowej dziś grupie **„Kuźnicy"** skupiają się między innymi filozofowie, wykładowcy marksizmu, historycy. W 1978 roku już po raz trzeci — w oparciu o ten właśnie potencjał — prowadziła **„Kuźnica"** systematyczne szkolenie dla środowisk twórczych Krakowa — ponad półtysięcznej rzeszy członków partii — artystów i działaczy kultury.

4.

Odwiedzając krakowski **Klub Twórców i Działaczy Kultury** szukałem odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu inspiracyjna działalność **„Kuźnicy"** ma również sens praktyczny, czy i jak wpływa na politykę kulturalną partii i na samych, w tym i bezpartyjnych, twórców. Interesowało mnie, na ile przedsięwzięcia **„Kuźnicy"** przyczyniają się do przełamywania tabu, błędnych mitów i stereotypów myślenia na temat „tego co wolno" i „tego co nie wypada" w naszej kulturze. Statut **„Kuźnicy"** stawia przecież przed jej członkami jako jeden z celów obowiązek „kształtowania ideowej opinii o zjawiskach i problemach socjalistycznej kultury".

Na ile więc jest **„Kuźnica"** ośrodkiem opiniodawczym i to nie tylko wobec środowiska twórców i działaczy Krakowa? Czy działania **„Kuźnicy"** mają również znaczenie praktyczne, pomagają w sprawach wątpliwych, kontrowersyjnych i interwencyjnych, usiłują coś „załatwić"? Odpowiadając na to pytanie trzeba pamiętać o genezie, założeniach i zasięgu działalności klubu.

Po pierwsze — **„Kuźnica"** jest stowarzyszeniem, ma więc charakter zamknięty. Powstała w Krakowie, z inicjatywy krakowskich twórców i działaczy oraz instancji partyjnej; nie ma zatem ambicji ponadlokalnych, ogólnopolskich. **„Kuźnica"** nie dąży do wytworzenia sieci organizacyjnej, do przedzierzgnięcia się w ogólnopolską organizację z zarządem głównym, zarządami oddziałów itd. Klub nie chce dublować istniejących związków twórczych.

Większość działań **„Kuźnicy"** zwrócona jest do wewnątrz; mają one zaktywizować przede wszystkim członków stowarzyszenia. Nie znaczy to, że wokół **„Kuźnicy"** panuje atmosfera konspiracji: swoją siedzibę — w historycznym budynku przy Rynku Głównym (tu mieścił się pierwszy Komitet Wojewódzki PPR, tu pracowały i pracują do dziś redakcje szeregu pism) stowarzyszenie dzieli z młodzieżowym klubem twórczym „Forum", o innym zresztą statusie (z klubem tym **„Kuźnica"** współpracuje); do klubu tego można zresztą po prostu przyjść na kawę...

Po wtóre — na zebraniach **„Kuźnicy"** panuje swoboda wypowiedzi. Nikt tu nikogo nie rozlicza z poglądów, ani nie podsumowuje, ale trudno też powiedzieć, by trzystu członków **„Kuźnicy"** zachowywało pełną jednomyślność. Gdyby tego od członków **„Kuźnicy"** żądać — nie byłoby przecież wcale dyskusji! Mimo różnic w poglądach, nicią zespalającą wszystkich kuźniczan jest wspólne poczucie odpowiedzialności i wspólna inspiracja marksitowsko-leninowska, zarówno w myśleniu, jak i w działaniu.

Na spotkaniach w **„Kuźnicy"** nie podejmuje się żadnych rezolucji ani uchwał, nie wyciąga się nawet żadnych wspólnych wniosków, które można by przegłosować. A jednak poglądy **„Kuźnicy"** mają opiniodawczy charakter. Na przykład dlatego, że członkami **„Kuźnicy"** są przedstawiciele kierownictwa Komitetu Krakowskiego partii, którzy dzięki temu niemal na co dzień obcują z miarodajną, międzyśrodowiskową opinią. W gronie **„Kuźnicy"** znajdują się także członkowie władz politycznych kraju, kierownicy ważnych instytucji kulturalnych i centralnych czasopism. Spośród warszawiaków—członków stowarzyszenia wymienię **Józefa Bareckiego, Stanisława Bębenka, Andrzeja Czyża, Wita Drapicha, Ryszarda Frelka, Michała Misiornego, Lucjana Motykę, Bohdana Porębę, Mieczysława F. Rakowskiego, Romana Wionczka.**

Wydawany przez **„Kuźnicę"** kwartalnik (w charakterze swym zbliżony bardziej do książki, nie czasopisma) — **„ZDANIE"**, ma nakład trzech tysięcy egzemplarzy i zasięg ogólnopolski. **„Zdanie"** chce mieć wyróżnik marksistowski, co nie oznacza, że do jego współtworzenia nie będą zapraszani „ludzie z zewnątrz". **„Zdanie"** adresowane jest zwłaszcza do tych członków Frontu Jedności Narodu, którzy nie potrafili jeszcze określić własnych zadań, wartości i celów, którymi się kierują. **„Wspólny marsz jest możliwy, ale pod warunkiem istnienia przynajmniej minimum wspólnych poglądów"** — zdają się powiadać inicjatorzy książki. Czy **„Zdanie"** ułatwi to samookreślenie? Sądzę, że tak, jeżeli zachowa swój — obecny w trzech pierwszych tomach — dyskusyjny ton.

A co o pragmatycznej stronie działalności **„Kuźnicy"** sądzi jej przewodniczący?

— Żadnych konkretnych spraw „do załatwienia" nie bierzemy na siebie — odpowiada Tadeusz Hołuj. — **Od tego są związki twórcze. Jeżeli jakaś książka, film czy spektakl budzi wątpliwości z punktu widzenia polityki kulturalnej, to — rzecz jasna po zapoznaniu się z dziełem — możemy również i my wyrazić swój pogląd, bronić go lub atakować. Nie**

możemy jednak ustawiać się w roli instytucji odwoławczej dla reżyserów czy pisarzy; są do tego celu specjalne komórki w ZLP i Związku Filmowców. Natomiast naszą ambicją jest, by twórca wcześniej — w trakcie pracy nad dziełem — przychodził do nas, żeby przedyskutować wątpliwości jakie mu towarzyszą w pracy. Nie jest to naturalnie sprawa prosta, bo który ambitny autor zgodzi się na to? Ze swojej zaś strony nie chcemy się narzucać...

A jednak jest sprawą oczywistą, że dyskusja w **„Kuźnicy"** — gromadzącej przecież specjalistów — może być dla twórców w czasie pracy nad książką czy filmem pouczająca. W **„Kuźnicy"** zmierza się do tego, by organizować dyskusje przed — a nie popremierowe, zwłaszcza w przypadku utworów kontrowersyjnych. Autorytet krakowskiej **„Kuźnicy"** rośnie, toteż właśnie dyskusje przed ukazaniem się książki, a zwłaszcza filmu, stwarzają szanse przygotowania właściwego odbioru dzieła, również przez krytyków i recenzentów.

5.

„Kuźnica" ogranicza nabór swoich członków głównie do terenu Krakowa również dlatego, że chce być stowarzyszeniem pracującym **stale**, a nie okazjonalnie. **„Kuźnica"** nie jest „kolegium wykładowym", a w tej chwili wyraźnie ukierunkowuje swą działalność. Pracuje już kilka niezależnych zespołów, które wymagają stałej obecności swych członków pod Wawelem. Są to zespoły do współpracy z wybranymi ośrodkami robotniczymi, z filmem, radiem i telewizją oraz — z wybranymi ośrodkami młodzieżowymi.

Szczególnie interesująco przedstawia się — rozkręcana właśnie — **współpraca z młodzieżą.** Dla młodzieży licealnej prowadzą kuźniczanie wykłady z literatury estetyki i filozofii marksistowskiej, zagadnień ideologii. Wraz z kuratorium planuje **„Kuźnica"** powołanie pisma redagowanego przez krakowskich licealistów.

Jednocześnie wchodzi **„Kuźnica"** w środowisko młodzieży pracującej i uczącej się, do liceów dla pracujących, które gromadzą przecież „ludzi od warsztatu", przyszłą kadrę kierowniczą zakładów pracy. Żywa, obustronna wymiana istnieje już także między **„Kuźnicą" a nowohuckim Technikum dla Przodujących Robotników.**

W programie pracy z młodzieżą artystyczną, ułożonym przez Komitet Krakowski PZPR, przypadła **„Kuźnicy"** inspiracyjna rola wobec istniejących już klubów młodych twórców.

— Tymi klubami i kołami powinny opiekować się podstawowe organizacje partyjne w związkach twórczych, ale się nie opiekują — mówi Tadeusz Hołuj. **— Część z tych klubów skupia się w „Forum" pod patronatem ZSMP, ale tylko na zasadzie automatycznej. Nam zaś — również w stosunku do najmłodszych twórców — chodzi o inspirację ideową. Niejeden też młody twórca jest już członkiem „Kuźnicy".**

Wbrew pozorom siły „Kuźnicy" są jednak bardzo ograniczone. Tak się składa, że grupują się w niej ludzie, którzy mają akurat najmniej czasu. Bo jak ktoś jest aktywny, to oprócz obowiązków zawodowych ma tuzin innych, społecznych, i swój cenny czas musi dzielić. Na działalność w **„Kuźnicy"** przypaść więc może tylko jego część. Czas jest jednak potrzebny i bez niego upadnie nawet najbardziej znakomity pomysł.

— Powinniśmy się w „Kuźnicy" zajmować nie tyle organizacją, co inspiracją — mówi Tadeusz Hołuj. **— Na razie jednak to trochę tak wygląda, że gdy my coś proponujemy wszyscy kiwają głowami, a... potem to i tak na nas spada. Tymczasem my nie jesteśmy w stanie tego wszystkiego organizacyjnie unieść. Są przecież specjalnie powołane instytucje i organizacje.**

Kłopoty te nie osłabiają jednak rozmachu poczynań „Kuźnicy" (Oby jednak inicjatywa nie wyczerpała się w ogranizacyjnej krzątaninie!)

Wielu polskich twórców czerpie z bogatego dziedzictwa ideowego socjalizmu, z kontaktu z tradycją robotniczą, z ideami komunizmu. **„Kuźnica"** jednak — że zacytuję tu opinię publicysty „Trybuny Ludu" **Michała Misiornego — „jako ciało zbiorowe, jako stowarzyszenie, nie ma odpowiednika. I dlatego jej doświadczenia są cenne, dlatego się liczą".**

Liczą się — dopowiedzmy — również jako pewien wzór do naśladowania. Z tymi którzy pójdą śladem myślowej inspiracji „Kuźnicy", krakowscy twórcy i działacze podzielą się chętnie swoim bogatym doświadczeniem.

PS. Zainteresowanym czytelnikom podajemy adresy łódzkich księgarń, w których można nabyć wydawnictwo **„Kuźnicy" — „ZDANIE":** Al. Kościuszki 106/116, Piotrkowska 11, Piotrkowska 47/49, Piotrkowska 86.

Foto: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

dencyjnym Klubie Młodych Pisarzy (sprawozdanie z tego pobytu przedstawił Andrzej Makowiecki w 40 numerze „Odgłosów" z ubiegłego roku). Wtedy też zrodził się pomysł pokazania problemów kieleckiego środowiska pisarskiego oraz zaprezentowania części dorobku jego członków na łamach „Odgłosów".

O pisarskiej teraźniejszości Kielecczyzny niepodobna mówić bez najmniejszego choćby odniesienia do tradycji, żywotnej w tym regionie jak mało gdzie indziej, tradycji, do której współcześni twórcy często i chętnie nawiązują. „Najstarszym poetą tej ziemi Jest Dąb Bartek" — napisał w programowym wierszu „Civitas Kielcensis" Ryszard Miernik i w obrazowym tym stwierdzeniu zawarł całą istotę „świętokrzyskiego szlaku literackiego". Historyk literatury polskiej profesor Juliusz Nowak Dłużewski w jednej ze swych prac („Udział regionu kieleckiego w kulturze narodu") nazwał region ów kolebką naszej literatury. Stąd pochodzi przecież jeden z najstarszych zabytków języka polskiego — „Kazania świętokrzyskie", w tym regionie znajdują się Nagłowice i Czarnolas, siedziby Mikołaja Reja i Jana Kochanowskiego. A potem następuje długi rejestr nazwisk wybitnych ludzi pióra aż do Stefana Żeromskiego — najbardziej wyrazistego chyba i najpowszechniej znanego pisarskiego symbolu tej ziemi (uhonorowanego zresztą Muzeum Lat Szkolnych Żeromskiego, mieszczącym się przy ulicy Świerczewskiego).

Jak zaś wygląda sytuacja dzisiaj? Zarówno wydany przed pięcioma laty informator „Współcześni pisarze Kielecczyzny", jak i opublikowana niedawno przez Wydawnictwo Łódzkie książka Stanisława Mijasa „Ojczyzna w ojczyźnie" stosują kryterium bardzo szerokie, zaliczając w poczet twórców Kielecczyzny również autorów tam urodzonych lub też o ziemi tej piszących. Znaczne to i doborowe grono, ale w zdecydowanej większości rozproszone po Polsce, w samych zasię Kielcach tworzy obecnie około czterdziestu adeptów pióra, spośród których do Związku Literatów Polskich należy czterech Sylwester Banaś, Henryk Jachimowski, Ryszard Miernik i Bogdan Pasternak (dwaj ostatni są członkami Oddziału Łódzkiego). O przyjęcie w poczet członków ZLP w najbliższym czasie mogą ubiegać się następujący twórcy Agnieszka Barłóg („Walkowa pani", „Przystanek Agata"), Jerzy Bieniek („Życie jest piękne"), Henryk Kawiorski („Ojcowizna"), Stanisław Mijas („Świętokrzyskie szlaki literackie", „Ojczyzna w ojczyźnie"), Zbigniew Nosal („Święty Krzyż", „Pieśń o zabiciu", „Komu duża, komu mała ta wojna"), Stanisław Nyczaj („Przerwany sen", „Gry z naturą", „Najcichsza odwaga"), Stanisław Pająk („Opowieść o Mariannie"), Bogusław Rajchert („Śpiew czarnego koguta", „Dwa lata po północy"), Stanisław Rogala („Modlitwa o grzech", „Zreczaki"), Bronisław Zapała („Piegowate życie"). Nieco odleglejsza droga do zdobycia legitymacji literata pozostaje przed Zdzisławem Antolskim, Markiem Dudzińskim, Markiem Gosudarskim, Leszkiem Kumańskim, Adamem Ochwanowskim, Januszem Stępniem. Podobnie z mieszkającymi w Sandomierzu, a poczuwającymi się do więzi z Kielecczyzną, Bolesławem Garbosiem i Ryszardem Zamojskim.

W ten sposób doszliśmy do problemu numer jeden, nurtującego kieleckie środowisko pisarskie. Jest nim bezsprzecznie sprawa powołania samodzielnego oddziału Związku Literatów Polskich. Sprawa ciągle żywa, dyskutowana, postulowana. Dziennikarz „Słowa Ludu" pisał przed miesiącem:

„Brak oddziału świadczy o stanie posiadania. Wprawdzie to stwierdzenie można odwrócić, ale sytuacja na tym nie skorzysta, ani ulegnie zmianie. Pozostanie ciągle ten sam fakt i ten sam kompleks; środowisko nie mające oddziału jawi się, w swoich oczach przede wszystkim, na podobieństwo obrazu pozbawionego ram, które nie są dla dzieła najważniejsze, ale nadają mu oprawę organizującą i nobilitującą płaszczyznę płótna. Zamysł ujęcia się w ramy zrodził się na gruncie literackim Kielecczyzny już bardzo dawno, zaś powstała w 1960 roku grupa «Ponidzie» miała być lokomotywą ciągnącą adeptów pióra do literatury. Minęła epoka grupy, po której zostało kilka tomików i kilku literatów, natomiast oddziału jak nie było, tak nie ma..."

Oddział może powstać wówczas, gdy w środowisku znajdzie się co najmniej dziewięciu członków ZLP. Podjęto więc w pewnym momencie kroki zmierzające do „importu" pisarzy. Nie jest to jednak przedsięwzięcie ani łatwe, ani proste. Nic więc dziwnego, że i tym razem zabiegi owe nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Naturalną jest przy tym sprawą, że co jakiś czas zmieniają adresy autorzy kieleccy. Nie są to przypadki częste, niemniej jednak wywołać mogą w środowisku pewne zniecierpliwienie. Dowodem poetycka ironia Henryka Jachimowskiego:

poezja potrzebuje perspektywy
wyjechać
do stolicy ach stolica
to jest dopiero dla poety obszar
to jest dopiero ściek

Zanim więc powstanie oddział przyjrzyjmy się działalności Klubu Literackiego (jej ślady rejestrowane są między innymi w kronikarskich zapiskach w kolejnych numerach „Zeszytów Kieleckich"). Można powiedzieć, że aktywność Klubu zmierza w trzech kierunkach. Pierwszy da się określić stereotypowo jako domena spraw organizacyjnych, w których zmieściły się takie imprezy jak na przykład organizowanie Ogólnopolskich Zjazdów Młodych Pisarzy, doprowadzenie do spotkania pisarzy „pochodzących z Kielecczyzny" w związku z obchodami IX wieków istnienia miasta, urządzanie Dekad Literatury Kieleckiej czy innych okazjonalnych przedsięwzięć. Od roku odbywają się systematycznie Kieleckie Spotkania Poetyckie (w drugą sobotę miesiąca). Jest to impreza przeznaczona przede wszystkim dla twórców młodych, przed debiutem. Obok kielczan biorą w niej udział młodzi poeci mieszkający w sąsiednich województwach. Zwycięstwo w turnieju jednego wiersza nagrodzone zostaje „Świętokrzyską Lirą Poezji". Do tej pory była to nagroda symboliczna, niebawem ma się przekształcić w nagrodę pieniężną. Kieleckie Spotkania Poetyckie mają na celu ożywienie ruchu młodoliterackiego, prezentację nie drukowanych utworów, zdobywanie czy też pogłębianie wiedzy warsztatowej. Wiąże się z tym drugi kierunek działalności Klubu, koncentrujący się wokół zagadnień warsztatowych i polegający na prowadzeniu literackiego „studium". Dyskutują więc członkowie Klubu między sobą, ale co pewien czas zapraszają przedstawicieli innych środowisk literackich kraju. Na tej zasadzie gościli w Kielcach między innymi Jan Błoński, Ernest Bryll, Ireneusz Iredyński, Jacek Kajtoch, Piotr Kuncewicz, Witold Nawrocki. Przed niespełna rokiem odbyło się spotkanie ze znanym pisarzem jugosłowiańskim Miodragiem Bulatoviciem. Trzeci wreszcie kierunek polega na szeroko pojętej popularyzacji zarówno własnych osiągnięć twórczych, jak i dorobku całej współczesnej literatury polskiej. Celowi temu służą Świętokrzyskie Dni Kultury, a także różnego rodzaju sympozja i biesiady literackie (organizowane, trzeba przyznać, z zadziwiającą konsekwencją i regularnością). W obręb tego nurtu działalności włączyć trzeba również konkursy literackie, w organizowaniu których kielczanie wykazują znaczną prężność. Z ostatnich konkursów wymieńmy „Ziemię Stefana Żeromskiego" (rok 1975), w którym to konkursie nagrody otrzymali między innymi Ryszard Miernik za „Dożynki w mieście", Henryk Jachimowski za „Mgłę", Tadeusz Papier za „Ogrodnika i Pannę", Rena Marciniak za „Krwiobieg". W 1977 roku rozstrzygnięty został konkurs pod hasłem „Robotnicy", w którym zwyciężyli Ryszard Miernik i Stanisław Rogala. Wkrótce ogłoszony zostanie kolejny konkurs, jego wyróżnikiem będzie szeroko pojęty temat: „Rodzina polska".

Dorobek tego środowiska jest dość znaczny i zróżnicowany, poezja stanowi wszakże obszar najczęściej i najchętniej odwiedzany, zwłaszcza przez najmłodszych. Publikuje więc Klub Literacki ich wiersze w Kieleckich Arkuszach Poetyckich, w cyklicznym almanachu poetyckim „Bazar" oraz w swoistej formie „plakatu poetyckiego". Arkusze poetyckie zamieszcza na swych łamach miesięcznik „Przemiany".

— Zależy nam bardzo na szybkim rozwoju środowiska literackiego — powiada dyrektor Kowalczewski. — Jeśli zaistnieje potrzeba, dofinansujemy każdą książkę kieleckiego autora. I dotrzymuje słowa. Niebawem ukażą się dofinansowane przez Urząd Wojewódzki tomiki Bolesława Garbosia i Stanisława Nyczaja.

Sporo w tej twórczości regionalnej tradycji, wspomnień, problematyki wojennej i partyzanckiej, której nadmiarowi przeciwstawiał się kiedyś Bogdan Pasternak:

Jeżeli w Kielcach
chcemy mieć współczesność
to lata dawne dajmy do muzeum
a nowy dzień oczyśćmy z pleśni

Owo oczyszczanie dnia z pleśni zapowiada twórczość wstępujących. Na przykład Marek Dudziński pisze:

Młodzi gniewni nie klękają
cynizm nazywają zdrowym
rozsądkiem
upadek — ucieczką
lubią burzyć nie lubią budować
są zawieszeni między wykształceniem a głupotą

Wyraźna to zapowiedź podejmowania problematyki moralnej i obyczajowej.

Kieleccy literaci od dłuższego już czasu mają obiecane locum w remontowanym romantycznym pałacyku Zielińskich. Póki co spotykają się w Klubie Związków Twórczych, mieszczącym się w piwnicach Teatru im. Stefana Żeromskiego przy ulicy Sienkiewicza 32. To, co się tam dzieje, przypomina, że cyganeria artystyczna nie wyginęła jeszcze kompletnie — raz górę biorą dyskusje i rozmowy o sztuce i życiu, innym razem alkohol i czarna kawa. Przed kilkoma dosłownie tygodniami rozpoczął działalność Ośrodek Rzeźbiarski „Wietrznia" przy ulicy Wojska Polskiego. Obok różnych pracowni artystycznych znajdą w nim częściowe pomieszczenie również literaci.

Kielce liczą obecnie prawie dwieście tysięcy mieszkańców i w niczym nie przypominają znanego z książki Żeromskiego Klerykowa. Po wojnie miasto stało się silnym ośrodkiem przemysłowym, węzłem komunikacyjnym, siedzibą wyższych uczelni (Politechnika Świętokrzyska, Wyższa Szkoła Pedagogiczna). Odnotujmy przy okazji, że z humanistami zatrudnionymi w WSP kieleccy literaci chętnie współpracują.

Właśnie, środowisko literackie nie działa przecież w próżni. Istnieje w Kielcach silne środowisko plastyczne. Okręgowy Związek Polskich Artystów Plastyków zrzesza ponad stu członków. Posiada kilka sekcji malarsko-graficzną, sekcję rzeźby, tkactwa, konserwacji. Organizuje plenery malarskie i rzeźbiarskie, targi plastyczne, cykliczne wystawy pod nazwą „Przedwiośnie". Salonem wystawowym i miejscem sprzedaży dzieł sztuki jest Dom Sztuki „Piwnica" przy ulicy Leśnej. W Kielcach mieści się także Zarząd Okręgu Świętokrzyskiego Związku Polskich Artystów Fotografików, posiadający własną galerię przy ulicy Rewolucji Październikowej. Kieleccy fotograficy specjalizują się w artystycznym utrwalaniu krajobrazu. Działają dwa teatry: Państwowy Teatr im. Stefana Żeromskiego oraz Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Kubuś", działa Państwowa Filharmonia im. Oskara Kolberga. Istnieje Kieleckie Towarzystwo Naukowe. Muzea, archiwa, domy kultury uzupełniają obraz najważniejszych instytucji kulturalnych miasta.

Współczesny świętokrzyski szlak literacki wiedzie w różne strony. Przede wszystkim w stronę naszego miasta. W ożywieniu literackiej współpracy między Łodzią a Kielcami dostrzegają kieleccy twórcy szansę przybliżenia realizacji ważnej dla nich sprawy — utworzenia samodzielnego oddziału Związku Literatów Polskich.

ŚWIĘTOKRZYSKI SZLAK LITERACKI

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Walentyn Chodow z Palecha...

BARBARA WRZESIŃSKA

BRZOZOWA GAZETA

Kiedy wysiadłam na Dworcu Białoruskim skojarzył mi się on natychmiast ze znakomitym filmem pod tytułem „Dworzec Białoruski", który oglądaliśmy w Polsce na dużych i małych ekranach. Pamiętacie, było to spotkanie po latach towarzyszy broni i jakże żywe wspomnienia o tych, co się już nie odliczyli. Wtedy nie przeczuwałam nawet, że i mnie, podczas tego właśnie pobytu w Związku Radzieckim, trafi się temat niecodzienny, sięgający lat Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, zazębiający jednocześnie o dni współczesne.

Na peronie, najspokojniej w świecie oglądałam architekturę dworca, nie troszcząc się wcale, że nikt mi nie wyszedł na spotkanie, a z Moskwy do Iwanowa — celu mej podróży — jak strzelił prawie 280 kilometrów. Wiedziałam jednak, że przyjdą. Znam przecież od lat gościnność swych radzieckich przyjaciół, serdeczność i uwagę z jaką odnoszą się nawet do nie znanych sobie ludzi. Myślałam, że zjawi się któryś z dziennikarzy, przebywający już na wymianie w Łodzi. Nie było z nich nikogo. Wreszcie moją uwagę zwróciła miotająca się od wagonu do wagonu, przystojna, ubrana w modną zamszową kurtkę dziewczyna. Kiedy mignęła gazetą z nagłówkiem mojej macierzystej gazety — wszystko było jasne.

Swieta Szarapowa — dziennikarka „Raboczewo Kraja" poczęła się sumitować: — **wybaczcie, ja myślałam, że nasza, ruskaja.** Rozbawiło mnie to ogromnie — ruska, nie ruska, ale słowianka. Po chwili Swieta, jakby uważając, że popełniła niezręczność, zaczęła mi szybko i dokładnie opowiadać, co słychać u mych iwanowskich znajomych. W pewnej chwili zagadnęła: — **a Witię Sierdiuka znasz — prawda?**

— No jakże — mówię — prawie dziesięć lat. Był u nas w Polsce już trzykrotnie i za każdym razem się z nim widziałam.

— **Jest teraz bardzo zajęty** — mówi Swietlana — **znalazł znakomity temat do kolejnej książki i wiele nad nim pracuje, krótko mówiąc brzozowa gazetę.**

— Jak to?

— **No tak; w czasie wojny jedna z partyzanckich brygad, z braku papieru wydawała gazetę na specjalnie wyprawionej korze brzozy. Normalnymi drukarskimi czcionkami, nawet fotografie wychodziły na niej ostre, dobre. Niewiele więcej wiem na ten temat. Poczekaj on ci sam opowie.**

Witalij Sierdiuk

A właściwie **Witia**. Tak go nazywają koledzy, tak mówią do niego i o nim nawet dalsi znajomi. Może na tę bezpośredniość wpływa chłopięcy typ jego urody: drobny, szczupły, jasny blondyn o oczach koloru przezroczystej, morskiej wody. A może — jego sposób bycia? Serdeczny i otwarty. W każdym razie Witia — to Witia. Swoją zawodową profesję zaczynał jak wielu radzieckich dziennikarzy — od pracy w gazecie młodzieżowej — „Leniniec". Potem był dziennikarzem **„Roboczewo Kraja"**; w tym też okresie zaczął wydawać swoje pierwsze książki. Ale ponieważ robota w redakcji nie zawsze idzie w parze z działalnością pisarską, z uwagi na jej dużą czasochłonność — otrzymał etat w iwanowskim wydawnictwie książkowym. Jest także członkiem prezydium oddziału pisarzy Iwanowa.

Jak już wspomniałam **Witia Sierdiuk** był w Polsce trzykrotnie. Po raz pierwszy w roku 1969 — w ramach wymiany dziennikarskiej, po raz drugi w roku 1973, kiedy to wygrał konkurs na najlepszą publikację o Polsce — nagrodą była wycieczka i po raz trzeci w roku 1976, poszukując autorów i materiałów do książki, której osnową są związki między Iwanowem a Łodzią. Współautorem tejże książki jest mieszkający w Łodzi poeta **Wasyl Koczanow.**

Dorobek pisarski ma już Witia Sierdiuk bogaty. Pierwszą jego książką były wydane w 1964 roku opowiadania pod wspólnym tytułem „Nieobyknowienna" (Niezwykła). W roku 1969 czasopismo „Młoda Gwardia" rozpoczęło druk jego powieści, której bohaterem jest dziennikarz. Po jej ukazaniu Witalij Sierdiuk został przyjęty do Związku Pisarzy Radzieckich. W 1975 roku, w 30 rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem to samo czasopismo wydrukowało jego kolejną powieść o **Mikołaju Majorowie** poecie Iwanowa, który zginął w lutym 1942 roku — nosi ona tytuł „Ponad śmierć". W rok później, nakładem moskiewskiego „Sowriemienika" wyszła książka „A niebo sine, sinieje", którą również niebawem, po przetłumaczeniu, ma wydrukować Wydawnictwo Łódzkie. Dzięki temu iwanowski pisarz stanie się znany również łódzkiemu czytelnikowi. Obecnie Witia Sierdiuk oczekuje „Ziemi ojców", która ma się ukazać jeszcze w roku bieżącym. Są to eseje o pisarzach i artystach jego ojczystego kraju. Wiele tam miejsca poświęcił autor słynnym na cały świat twórcom miniatur w Palechu.

Pytam Witię co u niego w domu, jak żyje, czy dorobił się już samochodu?

— **Jerunda** (głupstwo, nonsens) — huczy Witia (a ja myślę — skąd u człowieka tak drobnej postury takie potężne głosisko).

— **Nie będę obrastał w rzeczy** — — mówi tymczasem Witia. — **Mam do wyboru — uganianie się za przedmiotami, płacenie za nie rat, bądź wolność. Wolność jest mi potrzebna. Chcę pisać, pisać... Tyle jest ciekawego do przekazania ludziom. Są sprawy wprost niezwykłe...**

— Właśnie — wpadam w słowo — brzozowa gazeta.

— **Skąd wiesz?** — pyta Witia już udobruchany.

I nadludzkie jest możliwe

Kiedy pracowałem jeszcze w gazecie „Leniniec" — co było dawno i nieprawda, kokietuje troszeczkę Witia, poprosiliśmy o współpracę młodego i zdolnego poetę **Genadija Sieriebriakowa** (już po wydaniu pierwszej książki został on członkiem Związku Pisarzy — co jest u nas raczej niecodzienne). Z czasem zaprzyjaźniliśmy się. I nieraz w rozmowach wspominał, że jego ojciec był w czasie wojny dowódcą jednej z brygad partyzanckich. Nie zwróciłem na to większej uwagi. Tysiące ludzi ma u nas znakomitą partyzancką przeszłość. Aż któregoś dnia, późnym latem tego roku Genadij powiedział mi, że otrzymał zaproszenie na zjazd byłych partyzantów z brygady jego ojca. Zaproponował wspólny wyjazd. Pojechałem.

Spotkanie odbyło się z okazji 35-lecia wyzwolenia Briańszczyzny, ziemi, na której brygada ta działała. Z różnych stron kraju zjechało się 60 chłopa. Cóż to była za uroczystość. Zwłaszcza jej druga część — rozmowy „po duszam". Oczywiście, najwięcej miejsca poświęcono w nich poległemu dowódcy **Wiktorowi Sieriebriakowowi** — człowiekowi, dla którego, jak się okazało i nadludzkie było możliwe.

Całe jego życie było związane ze służbą wojskową. Zaczął ją od Dywizji Czapajewskiej, później ukończył szkołę oficerów pogranicza. W chwili wybuchu wojny ojczyźnianej służył w Czortkowie na Zachodniej Ukrainie, w randze kapitana. Ale wojna zastała go w rodzinnym Palechu, dokąd pojechał wraz z żoną Klaudią na urlop. W Czortkowie zostawili czworo dzieci: najstarszego syna **Eugeniusza**, który miał lat 16, **Jurija** — średniego w obozie pionierskim i 4-letniego **Genadija**, pod opieką przybranej córki **Karoliny**, dziewczynki polskiego pochodzenia, której losów do tej pory nie udało się W. Sierdiukowi ustalić.

22 czerwca 1941 roku, jak pamiętamy hitlerowcy napadli na ZSRR, a już 25 czerwca Sieriebriakowowie wrócili z Palecha do Czortkowa. Jak tego dokonali trudno powiedzieć. Były to setki kilometrów, a przebijali się „pod prąd". Trwała przecież wielka ewakuacja z zachodu na wschód. Ale czy są rzeczy niemożliwe dla śmiertelnie przerażonych rodziców? Na szczęście wszystkich zastali na miejscu. No, niezupełnie. Najstarszy syn zdążył już wstąpić do oddziału walczącego z sabotażystami. Wtedy ojciec postanowił zostawić go przy sobie, a żonę wraz z pozostałą trójką odesłać do Palechu.

Odjechali ostatnim pociągiem i było to ich rozstanie ostateczne. Matka wróciła do rodzinnych stron i pracowała tam najpierw jako brygadzistka, a później przewodnicząca kołchozu, a ojciec wraz z najstarszym synem zgłosili się do miejscowego pułku. Walki były krwawe. W jednej z nich zginął dowódca pułku i wtedy jego miejsce zajął Wiktor Sieriebriakow. Niejeden raz wyprowadził pułk z okrążenia aż doszli do miasta Humań. Dostali się tu w ciężki bój. Jeden z batalionów wraz z synem dowódcy został okrążony, dwa pozostałe znowu wyszły z okrążenia. Eugeniusz — kontuzjowany dostał się do niewoli. W czasie transportu do jednego z obozów w Polsce, już na polskim terytorium, uciekł z pociągu, dostał się do polskich partyzantów, a po wyzwoleniu tych terenów wrócił do Armii Czerwonej. Dziś jest kierownikiem oddziału w jednej z fabryk miasta Arzamas, miasta w którym urodził się słynny pisarz Arkadiusz Gajdar.

Bezdrożami

Po wyjściu z kolejnego okrążenia Wiktor Sieriebriakow chciał koniecznie, jak najszybciej, doprowadzić dwa pozostałe bataliony do większego zgrupowania radzieckich sił. Wieczorem wyruszył wraz z kilkoma żołnierzami na dowódczy zwiad. Wpadł w zasadzkę, został ranny odłamkami w obie nogi. Spod obstrzału wynieśli go żołnierze i dotransportowali do jakiegoś rejonowego szpitala. Nocą na szpital napadli Niemcy, zaczęli rozstrzeliwać rannych. Ostatkiem sił wypełzł przez okno. Kiedy był już w pobliżu lasu, dosięgły go kolejne strzały — znów dostał w nogi. Na szczęście — nie dobili. Myśleli widać, że już nie żyje. Przed świtem spotkał jeszcze jednego niedobitka (jak mówi Witia — takiego samego połzuna) starszego sierżanta **Żołtouchowa.** I tak czołgając się dobrnęli do wsi Mała Smielanka, w której użyczyła im miesięcznego schronienia **Wiera Tracenka.**

Rannymi zajął się felczer z sąsiedniej wsi **Taras Kozubienko,** który z braku medykamentów leczył ich okładami z ziół. Kiedy obecność ich zaczęła zagrażać gospodyni i jej dwóm małym córeczkom sporządzili sobie laski i kule, i wyruszyli na poszukiwanie radzieckich oddziałów. Zanim je znaleźli — przeszli na tych kulach, niemieckimi tyłami, około 1000 kilometrów. Nieprawdopodobne. Jak zdołali przebyć ten szmat drogi nikt nie potrafi zrozumieć. Las to las, ale przecież grodziły im drogę rzeki i jeziora, dokuczał głód, kto im udzielał pomocy, schronienia?

— **Zanim zabiorę się do tej powieści** — mówi Witia — **muszę sam przebyć ten szlak, zobaczyć, inaczej nigdy wiernie nie oddam tego bezmiernego trudu i siły woli choćby najniezwyklejszego człowieka.**

Wreszcie, będąc już u kresu sił ranni dotarli do Diatkowskiej Partyzanckiej Brygady. Po sprawdzeniu ich w boju Wiktor Sieriebriakow został wkrótce szefem jej sztabu. Wykazał ogromny talent. Jeszcze zimą z 1942 na 1943 rok brygada rozwinęła działalność w promieniu 200 kilometrów, rozbijając wiele niemieckich garnizonów. W czerwcu 1943 roku W. Sieriebriakow został mianowany dowódcą Brygady Bydgoskiej i wezwany do Moskwy. Otrzymał tam Order Czerwonej Gwiazdy. W drodze powrotnej, kiedy samolot wiozący dowódcę szedł już do lądowania, zestrzelił go Messerschmit. W pobliżu samolotu znaleziono już tylko Order Czerwonej Gwiazdy i czapkę dowódcy.

Dusza u nich szeroka

— **Zostały po nim jeszcze inne pamiątki** — ciągnie Witia. — **Listy, które otrzymała już pośmiertnie rodzina.**

Pisał je przed poszukiwaniem partyzantów, a wysłała je po wyzwoleniu tych ziem Wiera Tracenka i portret namalowany przez **Tatianę Kuzniecową,** 17-letnią partyzantkę Diatkowskiej Brygady. Tatiana jest obecnie plastyczką, mieszka na Krymie, a portret znajduje się w Państwowym Muzeum w Kijowie. Przepięknym był mężczyzną. Wysoki, wcześnie posiwiały, o surowym spojrzeniu, ale w pamięci podwładnych zachował się przede wszystkim jako człowiek niezwykłej dobroci i wielkiego serca. Dotąd kochają go bardzo i całą tę miłość przelewają na jego najmłodszego syna Genadija.

— **Na tym partyzanckim spotkaniu** — opowiada Witia — **starali się go ująć czym mogli. Jeden z uczestników pytał — Giena, a ryby łowić lubisz? — Lubię. — odpowiedział Gienia. — To przyjeżdżaj, przyjeżdżaj. Mamy parę hektarów wody, spuścimy i ryb sobie nałowisz ile zechcesz. — Widzisz, partyzancka dusza szeroka.**

— Ale wreszcie pora nam dojść do brzozowej gazety.

— **Jeśli pora, to pora. To było na tymże samym spotkaniu. W pewnej chwili podszedł do mnie jeden z jego uczestników. Okazało się, że był on typografem partyzanckiej gazety — P. Kiriuszyn i powiedział, że pragnie mi podarować swoją najcenniejszą pamiątkę. Pokazał zwitek cieniutkiej brzozowej kory. — Widzicie — mówił — kiedy ewakuowaliśmy miasto Diatk zabraliśmy ze sobą czcionki i wszystko co potrzebne do wydawania gazety, ale papieru nam zabrakło. Wtedy wpadliśmy na pomysł, wyprawienia kory. A powiem wam jeszcze, że jedna z tych brzozowych gazet dotarła do Wissarionowicza Stalina. Opowiadano nam, że jak ją zobaczył pociągnął swoim zwyczajem fajkę, pospacerował i powiedział — no tak, okazuje się, że jest wyjście z każdej sytuacji. Pociągając dalej fajkę dodał — no, ale żeby Niemcy nie pomyśleli, że jest z nami aż tak źle, i że papier nam się kończy trzeba wysłać partyzantom belę papieru. Otrzymaliśmy.**

Biorę delikatnie zwitek brzozowej kory, gdyż gdzieniegdzie jest już naderwana i czytam nagłówek: **„Narodnyj Mstitiel"**, Organ Diatkowskowo Okrużkoma i Rajkoma WKP(b) No 75. Ten numer nie znaczy jednak, że tyle wydano gazet na brzozowej korze. Po prostu utrzymano normalną kolejność partyzanckiej gazety. Sądząc już tylko z tytułów gazeta zawierała bogaty zestaw informacji. Były w niej wiadomości z frontów Wojny Ojczyźnianej, a nawet doniesienia z zagranicy. Była także informacja o zdemaskowaniu szpiega i nieznanymi ścieżkami przemycony list z faszystowskiego obozu. Taka gazeta niewątpliwie pomagała walczyć, dodawała hartu i woli zwycięstwa.

— **Zanim powstanie książka o Wiktorze Sieriebriakowie i Diatkowskiej Brygadzie** — mówi Witia — **jeszcze przede mną wiele roboty. Ale powstanie na pewno. Dodaje mi bodźca wielu ludzi np.** Siergiej Szczeprow. **W czasie wojny był on szefem zwiadu Diatkowskiej Brygady — obecnie jest on kandydatem nauk historycznych i wykłada w Moskiewskim Instytucie Archiwistyki. Utrzymuje ze mną stały kontakt, oferuje pomoc w gromadzeniu materiału faktograficznego. Trudno zawieść takich ludzi.**

Zresztą widzi mi się już kolejny temat, ciągle niedopełniony temat o związkach Polaków i Rosjan. Np. Karolina, polska dziewczynka zaadoptowana przez rodzinę Sieriebriakowych — dlaczego, co się stało z jej krewnymi, jakie były koleje jej losu po wojnie? Albo Eugeniusz Sieriebriakow — wiem, że uciekł z transportu jeńców na terytorium Polski — Polacy udzielili mu więc pomocy i schronienia, skontaktowali z polskim oddziałem partyzanckim. Co się teraz dzieje z nimi? Przecież to jest pasjonujące?

A mnie się wydaje, że to wszystko o czym opowiedział mi W. Sierdiuk jest pasjonujące. Może wpływa na to jego sugestywny dar przekazu, może przeświadczenie, że nie wolno nam zapomnieć straszliwych doświadczeń lat 1939—1945. Jedno jest pewne — takie dzieła literackie są potrzebne, są ciągle jeszcze potrzebne w świecie, w którym pewne grupy polityczne lansują zaostrzenie zimnowojennej polityki czy przedawnienia hitlerowskich zbrodni.

Fotokopia partyzanckiej gazety wydrukowanej na korze!

TIZERY HENRYKA CZYŻA

nych dzisiaj artystów, którzy z jednakowym niemal powodzeniem uprawiają różne odmiany sztuki. Znany jest przede wszystkim jako wybitny dyrygent, ale jego twórczość literacka zasługuje ze wszech miar na uwagę. Oto nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazała się jego kolejna książka pod intrygującym tytułem: „Serkal i inne tizery".

Jest to zbiór ściśle ze sobą powiązanych humoresek, ale humoresek dość swoistych, dlatego też — gwoli zaznaczenia odrębności — określił je autor jako tizery, biorąc nazwę „od angielskiego tease drażnić, podniecać, nabierać (...) Można by to przetłumaczyć na drażniciowce. Gdy trudno wzruszyć, próbujmy choć podrażnić". Owo podrażnianie czytelnika, a raczej jego wyobraźni i emocji, uzyskuje Czyż przy pomocy zupełnie nieskomplikowanego zabiegu. Oto rozmaite momenty z życia, które można umownie nazwać lirycznymi, takie jak wzruszenia miłosne, wstrząsy wywołane niespodziewaną, a groźną chorobą, rodzinne spotkania, dostarczają okazji do zadumy, do chwili refleksji, do stawiania pytań, na które trudno znaleźć jednoznaczną odpowiedź. I właśnie między wspomniane sytuacje, a wywołane nimi refleksje, włącza autor „Serkala" niespodziewany, lecz niezwykle istotny element — mianowicie dowcip, i to dowcip dwojakiego rodzaju: sytuacyjny i językowy. Myślę, że dowolny nawet przykład zachęci do lektury tej książki, ozdobionej dodatkowo przez autora zabawnymi rysunkami piórkiem.

Na początek teza: o wyższości naszej kultury erotycznej świadczy rozwój języka. Odrzucić należy różne kiss, küssen, baiser, besa, lipaj, wykazując, iż niezwykły, pełen galanterii i rycerskości kochanek posługuje się pocałunkiem, który to pocałunek wywodzi się etymologicznie od przymiotnika cały — „dopiero cała para całych kochanków tworzy pełną całość". Bujny rozkwit erotyki wywołuje westchnienie starszych: — „O tempora, o bezamores!". Zwłaszcza wówczas, gdy mają bardzo dużo czasu, czekając na kelnera nazwiskiem Godot.

Foto: J. Mendychowski

Jak więc widać, w podrażnianiu czytelniczej wyobraźni autor posługuje się chętnie aluzjami. Wywodzą się one z kręgu literatury, filozofii, psychologii, parapsychologii, psychoanalizy, muzyki. Niekiedy rzeczywiście zaskakują czytelnika — prostotą, łatwością kojarzenia i niecodziennością wymowy. W większości przypadków jest to oczywiście zabawa inteligentnego obserwatora życia, który pod powłoką codzienności dostrzega coś więcej niż nam ona oferuje. Ale nie tylko. Czyż kpi bowiem z bezmyślności, wyśmiewa stereotypy i przyzwyczajenia, zarówno w skali jednostkowej, jak i społecznej. Niepostrzeżenie anegdoty „Serkala" nabierają ostrości satyry wymierzonej w negatywne przejawy życia społecznego: w bezduszność urzędników, przerost biurokracji, w nadmierną wiarę w statystyki i sprawozdawczość. Bohaterowie tizerów bronią się przed tym przy pomocy humoru, lecz śmiech nie zawsze tu przecież wystarcza.

recenzje

Trawestując jedną z rozmów bohaterów tej książki — Sulpicjusza, docenta i pani doktor — stwierdzić można, iż autor, jako muzyk, powinien być uczulony na kompozycję i przedstawić rzecz doskonale skonstruowaną. Tymczasem konstrukcja „Serkala" nie jest spójna. Znajduje to jednak proste wytłumaczenie: tizery naśladują przecież życie i jako swego rodzaju notatki, obserwacje i skojarzenia muszą być nieco poplątane — „jak w życiu, głupim życiu".

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

H. Czyż, Serkal i inne tizery, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978, s. 126, nakład 10 000 + 300 egz., cena zł 10.—

W STRONĘ WSPÓŁCZESNOŚCI CZYLI WAGARY W WAŁBRZYCHU

Gdzieś tak na przełomie listopada i grudnia, cokolwiek znużony przydługą, a i nie najciekawszą niestety serią łódzkich premier, zebrałem się w com tam miał i pojechałem na wagary, czyli na sesję Klubu Krytyki Teatralnej do Wałbrzycha. Pozornie zdaje się to głupie uciekać z teatru do teatru, wyjazdowa sesja ma jednak ten wdzięk, że człowiek nie musi potem z pracowitością mrówki opisywać wszystkiego, co widział, a może wybrać — rzekłbym — temat dowolny, zdecydować się na jakieś tam nieobowiązujące dywagacje.

Wałbrzych przyjął nas opadami żwawo topniejącego, lecz ospale uprzątanego śniegu, co krajobraz miasta czyniło dziwnie znajomym i swojskim, a że dyrektor **Andrzej Maria Marczewski** — nb. absolwent Wydziału Reżyserskiego PWSFTviT, znany łodzianom z kilku interesujących inscenizacji na scenie Teatru Powszechnego — okazał się człowiekiem nad wyraz gościnnym, przeto sesja przebiegała przyjemnie, acz diablo pracowicie.

Osiem spektakli w trzy dni, dyskusje, spotkania, pośpieszne zwiedzanie przepięknego zamku w Książu, nadto jakieś tam nocne szaleństwa, których niestety nie zakosztowałem zmagając się z zaziębieniem i nawrotami kataru.

Katar katarem, a do Wałbrzycha jechać było warto. Teatru tego nie da się oczywiście przyrównać do żadnej z łódzkich scen stacjonarnych — prowadzi ogromny objazd, zaledwie dwudziestoosobowy zespół łata adeptami, którzy szykują się dopiero do eksternistycznego egzaminu aktorskiego, zaś o stanie macierzystego gmachu lepiej w ogóle nie mówić, wręcz woła on o remont kapitalny, na czas którego baza stanie się zapewne pobliska Świdnica.

Mimo to Andrzej Maria Marczewski — dyrektorujący w Wałbrzychu niespełna dwa lata, a więc czas raczej krótki — prowadzi swoją placówkę w sposób zadziwiająco ambitny. Na godziwą realizację wielkiej klasyki, co sam szef przyznaje uczciwie, zespołu jeszcze nie stać, teatr nie sięga przeto ani po Szekspira, ani po Słowackiego, starając się natomiast przedstawiać w zamian widzom propozycje trojakiego — rzekłbym — typu.

Nurt pierwszy to realizacje klasycznych bądź współczesnych sztuk w oparciu o gościnne występy wybitnych aktorów, co satysfakcjonuje zarówno publiczność, jak i w swoim trzonie bardzo jeszcze młodziutki zespół.

I tak **Jadwiga Chojnacka** wyreżyserowała „Celestynę" Rojasa, obejmując równocześnie rolę Tytułową. **Hanka Bielicka** wystąpiła w komedii Skowrońskiego „W czepku urodzona", następnie zaś — co aż nie do wiary — po raz pierwszy w życiu zagrała Dulska w „Moralności pani Dulskiej". W „Murze" Tettera oglądałem głośna przede wszystkim ze swoich filmowych ról **Małgorzatę Pritulak**, w „Nowych cierpieniach młodego W" Plenzdorfa — obok miejscowego wykonawcy — występowali również w roli Edgara **Jerzy Bończak** i łódzki aktor **Bronisław Wrocławski**.

Nurt drugi nazwijmy umownie musicalowym. Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu dysponuje bardzo dobrą aparaturą nagłaśniającą, zaś kierownikiem muzycznym jest utalentowany kompozytor i piosenkarz w jednej osobie, autor i wykonawca pamiętnego „Zegarmistrza światła" — **Tadeusz Woźniak**. Wspólnie z **Bogdanem Chorążukiem** (teksty piosenek) oraz **Andrzejem M. Marczewskim** (scenariusze) tryskający inwencją tercet przygotował muzyczną adaptację **„Lata Muminków"**, uroczej książki dla dzieci pióra Tove Jansson, a także z rozmachem zakrojonego **„Posła"**, będącego zarazem setną premierą wałbrzyskiej sceny.

O obu spektaklach pisałem już na łamach macierzystego „Głosu Robotniczego", nie chciałbym tedy powtarzać się zbyt natrętnie, przypomnę jedynie, że „Lato Muminków" zdało mi się spektaklem bardzo interesującym i bardzo ładnie zagranym (młodość zespołu okazała się tu po prostu atutem, nie zaś słabością), natomiast „Poseł" grzeszył wyraźnymi brakami dramaturgicznymi, których nie mogło zrekompensować kilka ładnych piosenek i parę brawurowo zagranych scen. A przecież oparta na głośnym reportażu Janusza Rolickiego historia podającego się za posła samozwańczego kontrolera radomszczańskiego PKS-u, była doprawdy doskonałym musicalowym tematem!

Obok dużych widowisk muzycznych oglądaliśmy również „Elegię", recital **Marcela Noveka**, który z towarzyszeniem fortepianu śpiewał i recytował wiersze Baczyńskiego, Gajcego, Borowskiego i Trzebińskiego. Wykonanie nie bezbłędne, ale sama propozycja bardzo interesująca, może Dom Środowisk Twórczych zechciałby to nam pokazać w Łodzi?!

Wreszcie — współczesność. Możemy sobie mówić co chcemy, ale gdzieś i kiedyś trzeba startować na scenie, zaś narodziny każdego dramaturga muszą być okupione dziesiątkami klęsk, których będzie zaznawał on sam, bądź jego koledzy po piórze.

I tu Marczewski postanowił zaryzykować, postanowił szeroko otworzyć scenę przed debiutantami dając im jeszcze dodatkową szansę tworzenia teatru autorskiego, reżyserowania swoich własnych sztuk. Zagrał „Życiorys" Kieślowskiego, zagrał „Mur" Tettera, dał prapremiery „Końca półświni" Kajzara i „Tamy" Falka, zaś w przygotowaniu znajdują się prapremiery kolejne: „Ściana" Srokowskiego i „Więcej niż przetrwanie" Urbankowskiego. Doliczając prawykonania „Posła" i „Lata Muminków" — bilans doprawdy imponujący, choć efekty artystyczne są, na początek, raczej skromne.

„Końca półświni" Helmuta Kajzara — mimo solidnej roboty aktorskiej **Jana Pyjora** — prawdę powiedziawszy nie udało mi się rozgryźć, albo wydziwione jest to i manieryczne, albo po prostu nasilał mi się katar, co jak wiadomo fatalnie wpływa na zborność myślenia... Przy **„Tamie" Feliksa Falka** z katarem było lepiej, dlatego jestem zupełnie pewny, że ta młodzieńcza sztuka utalentowanego reżysera filmowego jest najzwyczajniej kiepska i jedynie kokietuje pewnymi pozorami odwagi, nie dając się sensownie odczytać ani dosłownie, ani metaforycznie. Dowód też mógłbym na upartego przeprowadzić, „...ale to będzie bolało", jak rzekł był Toszira Mifune w moim ukochanym filmie „Straż przyboczna". Więc już zmilczę raczej.

Natomiast **„Mur" Jana Tettera** — uprzednio grany przez Teatr „Wybrzeże" w Gdańsku i Teatr Nowy w Zabrzu, a tu w przeredagowanej formie wyreżyserowany przez autora — możemy śmiało zaliczyć po stronie dokonań, ta trzyosobowa zaledwie sztuka o narastaniu faszystowskiego obłędu jest chwilami doprawdy przejmująca.

Rachunek zresztą z grubsza się zgadza, takie mniej więcej musza być proporcje, jeżeli teatr zdecyduje się na otwarcie w stronę współczesności i na otwarcie w stronę debiutantów. Ktoś musi płacić cenę ryzyka i młodemu dyrektorowi młodego wałbrzyskiego teatru mogę co najwyżej szczerze pogratulować odwagi.

Sympatyczny to zresztą teatr i jeżeli tylko będę mógł z przyjemnością przyjadę za rok na jego piętnastolecie...

JERZY PANASEWICZ

FRANCISZEK RYBKA — POSTAĆ MAŁO ZNANA

W połowie XIX wieku Łódź rozwinęła się już w spore, fabryczne miasto, liczące około 30.000 mieszkańców. Polacy stanowili niespełna połowę. Życie kulturalne w ówczesnej Łodzi przedstawiało się niezmiernie ubogo. Przewaga żywiołów narodowościowo obcych i wrogie ustosunkowanie się władz carskich do Polaków stwarzały nieprzychylną atmosferę dla polskiej działalności kulturalnej. Przy tym grono inteligencji polskiej i spolszczonej, będącej motorem poczynań kulturalnych, było w Łodzi nieliczne: 6 lekarzy, 3 aptekarzy, 1 rejent, kilkunastu nauczycieli i tyleż urzędników. W większości stanowili oni element napływowy, słabo zakorzeniony w środowisko, w którym dane mu było żyć i pracować.

Miasto w owym czasie nie posiadało ani teatru, ani własnego pisma. Nie miało także drukarni i księgarni. Jedynym miejscem, w którym w jakiejś mierze rozwijało się życie umysłowe, była powiatowa szkoła realna. Zatrudniała ona garstkę nauczycieli, wykazujących pewne aspiracje kulturalne. Do nich należał Franciszek Rybka.

Niewiele wiemy o tej postaci. Rybka urodził się w 1820 roku w Lublinie i tam zapewne pobierał nauki. Do Łodzi przybył w 1845 roku, gdzie też w nowo założonej powiatowej szkole realnej otrzymał posadę nauczyciela matematyki. Jego życiową pasją był jednak teatr. Każdorazowy przyjazd do Łodzi wędrownej trupy akstorskiej stanowił dla Rybki głębokie przeżycie artystyczne. Niestety, występy zawodowego teatru należały wtedy w Łodzi do rzadkości. Bywało, że upłynęło kilka lat, zanim jakiś objazdowy zespół teatralny zawitał do miasta. Brak stałego teatru zawodowego w Łodzi próbowały zastąpić amatorskie zespoły dramatyczne. W ruchu amatorskim pokaźną rolę odgrywał właśnie Franciszek Rybka, który był jednym z twórców sceny amatorskiej w mieście. Działalność jego na tym polu uwidoczniła się szczególnie we współpracy z innym teatromanem łódzkim — Fryderykiem Sellinem.

Sellin osiadł w Łodzi w 1851 roku. On to na zapleczu swojej cukierni przy ul. Piotrkowskiej nr 91, w dość sporym ogrodzie wystawił teatrzyk letni, przeznaczony na występy amatorów. Wydaje się, że uczynił to pod niemałym wpływem Rybki, który zajął się artystyczną stroną imprezy Sellina. Rybka był duszą zespołu amatorskiego, reżyserem, aktorem i nauczycielem młodych ludzi stawiających na scenie pierwsze kroki. Sellinowi przypadło administrowanie teatrzykiem, chociaż i on niekiedy występował w roli aktora.

Teatr amatorski Sellina pod artystycznym kierownictwem Franciszka Rybki stał na niezłym poziomie. Przewyższał nawet niektóre zawodowe zespoły dramatyczne. Wśród aktorów — amatorów wyróżniały się talentem scenicznym i nieprzeciętną urodą siostry Skrudzińskie, córki miejscowego nauczyciela. Trzeba tu nadmienić, że córką Rybki, Franciszka, zaraziła się od ojca bakcylem teatru i w latach późniejszych została zawodową aktorką.

Zainteresowanie się Rybki teatrem znalazło swój wyraz także w innej formie. Około 1858 roku począł on pisać korespondencje do „Gazety Codziennej" i „Kuriera Warszawskiego", w których to wiele miejsca przeznaczał na omawianie przedstawień teatralnych, jakie odbywały się w Łodzi. Zawierają one sporo informacji dotyczących dziejów sceny łódzkiej.

Z postacią Franciszka Rybki niektórzy badacze przeszłości Łodzi łączą powstanie pierwszego pisma w naszym mieście. Podobno już w 1860 roku jakiś nauczyciel, nie wymieniony z nazwiska, uczynił próbę wydawania w Łodzi pisma w języku polskim, które jednak po ukazaniu się kilku numerów upadło. W żadnym ze znanych dokumentów nie ma na to potwierdzenia, jednakże mogła być taka możliwość, choćby z uwagi na zainteresowanie się Rybki pracą dziennikarską. Dodatkowym argumentem, umacniającym ową tezę, może być fakt, że w tym czasie warszawianin, Feliks Gotz, założył pierwszą w Łodzi drukarnię, w której być może tłoczono wspomniane pismo.

Następnego roku drukarze Józef Czaczkowski i Jan Petersilge otworzyli drugą drukarnię w mieście. Wystąpili oni do Rady Miejskiej o zezwolenie na wydawanie pisma periodycznego, „obejmującego wszelkie ogłoszenia i wiadomości, odnoszące się do handlu i przemysłu miejscowego". Na podstawie późniejszych wydarzeń rodzi się przypuszczenie, że w pewnej mierze inspiratorem tego wystąpienia był Rybka. Niestety, Rada Miejska nie wyraziła zgody na ofertę drukarzy, postanawiając, że „interes ten pozostawia się późniejszemu czasowi".

Dopiero pod koniec 1863 roku Petersilge uzyskał zgodę władz na wydawanie polsko-niemieckiej gazety pod tytułem: „Łódzkie Ogłoszenia — Lodzer Anzeiger". O zaangażowaniu Rybki w to przedsięwzięcie świadczy fakt, że został on redaktorem polskiej części dwujęzycznej gazety. Po zmianie tytułu pisma na „Lodzer Zeitung", Rybka nadal redagował polski dodatek do wspomnianego dziennika.

W 1869 roku, niespełna w ćwierćwiecze swego pobytu w Łodzi, Franciszek Rybka przeniósł się do Warszawy. Dalsze losy tego niezmiernie interesującego człowieka, mającego spore zasługi dla rozwoju kultury polskiej w bawełnianym grodzie, nie są nam znane.

WACŁAW PAWLAK

„CĘKALSKI, BOHDZIEWICZ, MUNK"

30-lecie istnienia PWSFTviT w Łodzi zainspirowało jej absolwenta i pracownika — reżysera Władysława Wasilewskiego do zrealizowania filmu poświęconego trzem nie żyjącym pedagogom Szkoły. *)

Ogarnąć w jednym średniometrażowym filmie sylwetki trzech twórców o różnych osobowościach, dorobku i latach życia — to zadanie równie ambitne co niełatwe. Słusznie więc postąpił reżyser, wydobywając nie to co różnicowało twórców, lecz to co było im wspólne — niepospolita pasja twórcza i głębokie przekonanie, że film — to sztuka na wskroś społeczna, rozwijająca osobowość zbiorowości i jednostki, doskonaląca ich życie, przekształcająca świat. Ów światopogląd filmowy niewątpliwie najbardziej filmowy odzwierciedlił się w twórczości Munka, lecz przecież z równą, jak u niego, siłą był obecny w myśleniu, działaniu twórczym i dydaktycznym Cękalskiego i Bohdziewicza. Mimo iż film Wasilewskiego sprawia wrażenie trochę niedopracowanego koncepcyjnie i dokumentacyjnie, a zawarty w nim zasób informacji o każdej z trzech postaci jest nierówny, to jednak sugestywnie przybliża sylwetki twórców, przypomina je, a to znaczy już wiele.

A więc Eugeniusz Cękalski — współzałożyciel postępowego, lewicowego Stowarzyszenia Miłośników Filmu „Start", którego był głównym mózgiem, motorem — jak oświadczają w filmie inni „Startowcy" — Wanda Jakubowska i Stanisław Wohl. Wprawdzie nie zdołał Cękalski w swej twórczości fabularnej w pełni wyrazić swych zasad programowych to przecież pozostawił trwały ślad w postaci licznych filmów dokumentalnych, (m. in. „To jest Polska", „Biały Orzeł", „Odbudowa Warszawy", „Bronek z Widzewa", „Feliks Dzierżyński") zwłaszcza z zakresu II wojny światowej (trochę za mało uwagi poświęcił temu Wasilewski), w pracach publicystycznych i naukowych oraz w żywej pamięci licznych współpracowników, przyjaciół, uczniów.

Druga część filmu jest poświęcona Antoniemu Bohdziewiczowi. Myśląc dzisiaj o jego spuściźnie twórczej, sądzę, że to co było w nim wartością największą, a więc miłość do człowieka, uczciwość, odwaga, żarliwość przeżywania pracy i życia oraz przekonanie o wielkiej roli wychowawczej filmu — wyrażało się przede wszystkim w jego programie i metodzie pracy dydaktycznej. Dlatego słuszna wydaje się sugestia Wasilewskiego, że najciekawsze pokłady swej osobowości realizował i zostawiał Bohdziewicz w Szkole Filmowej, w wykładach, dyskusjach i w zwyczajnych rozmowach ze studentami i pracownikami. Wśród jego filmów fabularnych („Za wami pójdą inni", „Trzy opowieści", „2 x 2", „Szkice węglem", „Zemsta", „Kalosze szczęścia", „Dziewczyna z dobrego domu", „Rzeczywistość", „Wilczy bilet") nie ma dzieł arcywybitnych, ale nie ma też chybionych. A był ponadto Bohdziewicz dokumentalistą (m. in. kroniki z powstania warszawskiego) i żarliwym publicystą.

I wreszcie trzecia część filmu poświęcona Andrzejowi Munkowi. Celnie wydobył tu Wasilewski to, co stanowiło o niepowtarzalności i wielkości reżysera. Z wypowiedzi uczniów (Krzysztof Zanussi) i współpracowników (Krzysztof Winiewicz, Aleksandra Śląska) wyłonił się nie tylko wielki talent, ale i ogromna dyscyplina, której wymagał Munk, od siebie i od studentów, potrafiąc przy tym brać to co najlepsze z aktorów, operatorów i innych współtwórców swych sukcesów. Zilustrowawszy owe sukcesy fragmentami kilku filmów Munka („Eroica" „Zezowate szczęście", „Pasażerka") zamknął Wasilewski swój film sekwencją egzaminu wstępnego na wydz. reżyserii w PWSFTviT. Widzimy w niej niezwykle mozolną próbę wydobycia przez egzaminatorów wiadomości o Munku z kilku kolejnych kandydatów. Młodzi ludzie z dużą nieporadnością myślową, „drewnianym" językiem wypowiadają pewne skąpe dane o wybitnej indywidualności polskiego filmu. Jest to wiedza werbalna, wzięta z książek, lub zasłyszana, nie podbudowana znajomością filmów, osobistymi poglądami, próbą oceny.

Smutna ta scena skłania do głębszej zadumy nad tym, jak trudno opowiedzieć osobowość twórczą nawet niepospolicie barwną i wybitną.

JADWIGA ŁUŻYŃSKA-DOROBOWA

*) „Cękalski, Bohdziewicz, Munk" — film zreal. w WFO w 1978 r. reż. W. Wasilewski.

Foto: Archiwum

ANDRÉ DEGON

KATASTROFY NA MORZU

W Londynie u Lloyda, na tradycyjnie najbogatszym rynku ubezpieczeniowym i jeszcze dziś światowym centrum wszelkich wiadomości o statkach, wisi dzwon z fregaty „Lutine", który służy do obwieszczania ważnych doniesień: raz dźwięk oznacza złą, innym razem dobrą wiadomość. Ten dzwon, symbol niebezpieczeństwa i zmiennych kolei losu żeglugi, pochodzi z zatopionego statku. W 1799 roku zatonęła 900-tonowa fregata angielską „Lutine" w czasie rejsu z Yarmouth do Cuxhaven na wybrzeżu holenderskim. Jej ładunek, ubezpieczony u Lloyda, składał się ze sztuk złota o wartości ponad jednego miliona funtów. Późniejsze próby, przede wszystkim w latach 1857–1861, odzyskania utraconego ładunku pozwoliły wydobyć oprócz koło jednej dziesiątej zatopionego skarbu i innych szczątków także dzwon okrętowy.

Niezliczone nieszczęścia spotykały statki na morzu i przez ponad 120 lat dzwon okrętowy „Lutine" obwieszczał o tym, a przecież były one zaledwie znikomą częścią wszystkich tragedii, jakie rozgrywały się od tysięcy lat na rzekach, jeziorach i morzach. Z niezmierzonej liczby znanych katastrof opowiedziano tu tylko kilka.

TRAGEDIA „SEMILLANTE"

Niedaleko portowego miasta Bonfacie na południowym wybrzeżu Korsyki w Cieśninie Bonifacio znajduje się mała, szczelinowata wyspa skalna Lavezzi. Drobniutka jest to wysepka, ale jej nazwa zapisana została grubymi zgłoskami w annałach katastrof morskich. Jeszcze obecnie można przeczytać na wygładzonym nagrobku kamiennym:

„Tu leży G. Jugan, kapitan fregaty, dowódca „Semillante", katastrofa statku 15 stycznia 1855 r. Lavezzi, 15 marca 1855".

15 lutego 1855 r. w Cieśninie Bonifacio szalała burza o takiej sile, jakiej od niepamiętnych czasów nie przeżyli mieszkańcy Południowej Korsyki i Północnej Sardynii. Aby tylko nie znalazł się żaden statek w cieśninie, myśleli mieszkańcy, którym burza pozrywała dachy domów. Kilka dni później odkryto tu i ówdzie szczątki i przedmioty, które mogły pochodzić tylko z katastrofy statku. Powiadomiono francuską admiralicję, która przysłała na miejsce nieszczęścia łódź patrolową, aby wyjaśniła ona tajemnicę. Wkrótce stało się jasne, że chodzić może tylko o francuską fregatę „La Semillante", która wypłynęła 14 lutego 1855 roku z Tulonu w celu przetransportowania oddziałów i materiałów zaopatrzeniowych na wojnę krymką. Wraz z załogą na pokładzie znajdowało się 800 osób.

Kiedy rozpętała się burza, „Semillante" wpłynęła właśnie w Cieśninę Bonifacio. Nikt nie mógłby powiedzieć, jak doszło do nieszczęścia. Jedno było pewne, że fregata została rzucona przez burzę na ostre skały Wyspy Lavezzi. Marynarze z łodzi patrolowej zostali wysadzeni na małej wyspie. Znaleźli oni około 250 zwłok najczęściej pozbawionych okrycia i zmasakrowanych nie do poznania. Jedynie po strzępach munduru i szlifów został zidentyfikowany kapitan Jugan. Po pozostałych 550 ofiarach katastrofy nie znaleziono żadnego śladu — może stało się ich mogiłą, jak i wielu ludzi przed nimi, którzy się znaleźli podczas burzy na pełnym morzu lub w pobliżu niebezpiecznych skał.

TRATWA Z „MEDUSE"

Jeden z najsłynniejszych obrazów Gericaulta nosi tytuł „Tratwa Meduse" i przedstawia rozbitków statku, którzy wyczerpani śmiertelnie oczekują ratunku. Historia „Meduse" uchodzi za jedną z najstraszliwszych tragedii, jakie rozegrały się na morzu.

17 czerwca 1816 roku z portu La Rochelle wypłynęła w morze francuska flotylla składająca się z czterech okrętów wojennych, wśród których znajdowała się wyposażona w 44 działa fregata „La Meduse". Celem podróży był port Saint-Louis w Senegalu, który Francja odzyskała właśnie od Anglii. Na pokładzie znajdował się gubernator kolonii wraz z kolorową mieszaniną innych pasażerów, składającą się z mężczyzn i kobiet, których wspólnie z załogą było 400 osób. Fregata, jak i cała wyprawa, znajdowała się pod dowództwem arystokraty, który powrócił niedawno do kraju i od 25 lat nie dowodził żadnym okrętem. Podróż do Teneryfy przebiegała z drobnymi przygodami, a 2 lipca, około 60 mil od wybrzeża afrykańskiego, „Meduse" znalazła się na mieliźnie. Nadal nie byłoby źle, gdyby szybko wyrzucono za burtę dostateczną ilość balastu i w ten sposób ściągnięto okręt z mielizny. Ale gubernator wzbraniał się poświęcić część swojego ładunku mąki, a dowódca nie chciał się rozstać z żadnym ze swoich 44 dział. Tak więc okręt mocno osiadł na mieliźnie. Następnego dnia morze się wzburzyło. Kil złamał się na pół, coraz więcej wody napierało na kadłub.

Po trzech dniach opuszczono wrak. Ale szalupy mogły zabrać nie więcej niż 250 osób spośród 400. Zdecydowano więc zbudować tratwę 19 metrów długą i 7 metrów szeroką, na której chciano dociągnąć do brzegu przy pomocy łodzi pozostałe 150 osób. Wsiadłszy zaledwie do łodzi gubernator i dowódca przestali interesować się ratowaniem pozostałych i polecili wiosłować w kierunku brzegu. Przeciążona tratwa ciężko zanurzyła się w wodzie — już po dwóch milach oficer łodzi, której wioślarze ledwie ciągnęli tratwę, miał dość i odciął linę holowniczą. 150 osób z przerażeniem patrzyło na zniszczony i pozostawiony bez masztu, steru i wioseł pojazd.

Wtedy zaczęła się katastrofa. Na tratwie znajdował się tylko jeden dziesięciokilogramowy worek sucharów, parę beczułek z wodą pitną oraz kilka beczek z winem. Suchary zostały zjedzone zaraz następnego dnia. W czasie pierwszej nocy morze było niespokojne, a rankiem drugiego dnia na mocno uszkodzonej tratwie znajdowało się już tylko 126 rozbitków. Druga noc była jeszcze gorsza od pierwszej, pod wpływem wina wśród żołnierzy wybuchł bunt. Na trzeci dzień na tratwie pozostało przy życiu zaledwie 67 osób — i ci coraz bardziej zbliżali się do stanu, kiedy przestawali być ludźmi. Niektórzy głodni nie obawiali się już ludzkiego mięsa martwych towarzyszy. Znowu doszło do buntu, na szósty dzień przy życiu pozostało już tylko 27 ludzi. Sytuacja stawała się coraz bardziej wątpliwa, głód bardziej doskwierający a tratwa coraz bardziej uszkodzona. Dni w upalnym tropikalnym słońcu ciągnęły się bez końca. Dwunastego dnia na tratwie znajdowało się jeszcze 15 osób, prawie bliskich śmierci, z wyczerpania, głodu, pragnienia i zwątpienia. Nikt nie wierzył tego dnia, 17 lipca 1816 roku, w ratunek, ale pojawiły się żagle zbliżającego się okrętu. Był to bryg „Argus" należący do flotylli pod dowództwem „Meduse", który został wysłany z Saint-Louis na poszukiwanie tratwy. Dla pięciu rozbitków pomoc przyszła i tak za późno, zmarli oni wkrótce po wylądowaniu w Dakarze. Rozbitkowie do końca życia nie zapomnieli okropności, jaką przeżyli, ale tylko dwaj, były chirurg Savigny i mierniczy Ceorerard opublikowali w 1817 roku relację z najstraszliwszych godzin ich życia.

OGIEŃ NA POKŁADZIE

Wskutek fatalnego przypadku zapalił się i zatonął w 1825 roku „Kent". Należący do Kampanii Wschodnio-Indyjskiej statek znalazł się w Zatoce Gaskońskiej w swoim rejsie do Indii i wiózł na pokładzie prawie 600 osób, wśród których znajdowało się wiele kobiet i dzieci. Gdy zaczęła się zbliżać burza, kontrolowano czy ładunek jest dobrze rozmieszczony. Jeden z oficerów sprawdzał z lampą naftową pomieszczenie ładownicze wypełnione beczkami z wódką i polecił marynarzowi lepiej umocować jedną z beczek. W tym momencie statkiem wstrząsnął silny szkwał, oficer stracił równowagę, lampa wypadła mu z ręki — w tej samej chwili beczka upadła, otworzyła się, a płynąca wódka zapaliła się od knota lampy. Szybko całe pomieszczenie stanęło w płomieniach. Kapitan polecił otworzyć najniższe luki, aby ugasić pożar płynącą wodą, ale i to nie pomogło, ogień pod pokładem rozszerzał się nadal. Wśród pasażerów wybuchła ogromna panika, bowiem w wypadku dotarcia ognia do prochowni „Kent" musiałby eksplodować.

Wtedy dostrzeżono jakiś okręt. Kapitan natychmiast polecił wystrzelić z armat i wywiesić flagę sygnalizującą znajdowanie się „Kenta" w niebezpieczeństwie. Angielski bryg „Cambria" był wkrótce na miejscu, ale w obawie przed ogniem nie przybił do burty, lecz trzymał się w odpowiedniej odległości. Mimo to na obu okrętach podjęto natychmiast akcję przetransportowywania pasażerów. Akcja ratownicza była utrudniona ze względu na dużą falę, wielu ludzi nie mogło się utrzymać i wpadło do morza, przede wszystkim kobiet i dzieci. Trzy spośród sześciu szalup ratunkowych zatonęły. Ale heroiczne wysiłki obu załóg okrętów pozwoliły uratować większość pasażerów „Kenta". Kapitan odpłynął ze statku ostatnią łodzią i zaledwie stanął na pokładzie „Cambria" prochownia wyleciała w powietrze i „Kent" pogrążył się w falach morskich.

We wrześniu 1858 roku podobny los spotkał parowiec „Austria", który również zapalił się na pełnym morzu. Miał on na pokładzie, oprócz załogi, 400 pasażerów, z których przeżyło tylko 89 uratowanych przez statki francuski i norweski.

MGŁY

Przed wynalezieniem radaru mgła była największym wrogiem marynarzy na najruchliwszych trasach żeglugowych. W październiku 1854 r. amerykański statek pocztowy „Arctic" zderzył się z francuskim parowcem „Vesta", w wyniku czego zginęło 300 ludzi. Naprowadziło to jednego z oficerów amerykańskich na pomysł zaproponowania w ruchu atlantyckim odrębnych marszrut dla statków płynących w kierunku wschodnim i zachodnim. Zmniejszyło to wprawdzie niebezpieczeństwo kolizji, ale nie mogło ich w pełni wykluczyć.

28 maja 1914 roku „Empress of Ireland", transatlantyk o wyporności 15 tys. ton należący do towarzystwa Canadian Pacific, rozpoczął swoją podróż z Quebeku do Liverpoolu, zabierając na pokład 1367 pasażerów. O godzinie dziesiątej rzeka św. Wawrzyńca zatonęła we mgle, o północy widoczność nie przekraczała 100 metrów. O pierwszej kapitan polecił zatrzymać maszyny, statek ostrożnie poruszał się z prądem rzeki i coraz to rozlegały się jego syreny. Gdzieś z oddali odpowiedziała inna syrena. Nagle z mgły wynurzyły się światła pozycyjne, a następnie olbrzymi cień i dziób norweskiego parowca „Storstad" uderzył w sztymbork „Empress of Ireland", odskoczył do tyłu i zniknął we mgle. Tragedia statku pasażerskiego trwała zaledwie dziesięć minut, zatonął w głębinach rzeki i pociągnął za sobą 1030 istnień ludzkich — niewielu znalazło czas, aby założyć kamizelki ratunkowe. „Storstad" popłynął do następnego portu, gdyż jego kapitan był przekonany, że jego statek jest znacznie silniej uszkodzony niż „Empress of Ireland".

KTO WINIEN?

„Princess Alice" był eleganckim statkiem spacerowym pływającym po Tamizie. 3 września 1878 roku, w blasku porannego słońca w Londynie na pokład statku weszło 700 wesołych turystów, rozkoszowali się jazdą do ujścia Tamizy i po zwiedzeniu Graveseng w dobrym nastroju popłynęli w górę rzeki, w drogę powrotną. Widoczność była bardzo dobra i statek trzymał się środka rzeki, gdy około ósmej z przeciwnego kierunku nadpłynął właśnie środkiem rzeki o wiele wyższy i cięższy statek węglowy „Bywell Castle". Krzykami i znakami dawano sobie wzajemnie znać, aby się wyminąć, ale żaden z obu statków nie zmienił kursu. Węglowiec wbił się w statek wycieczkowy i przeciął go na dwie części. Na „Princess Alice" zapanowała panika, ponieważ przednia część statku zaczęła gwałtownie tonąć. Katastrofa „Princess Alice" pociągnęła za sobą 600 ofiar. Zginął również kapitan statku wycieczkowego i w związku z tym średztwo prowadziło do jednoznacznego wyniku: kapitan „Bywell Castle" stwierdził, że jego nieszczęśliwy kolega zmienił w ostatniej chwili kurs i przyczynił się tym samym do zderzenia.

Jeszcze bardziej niejasną pozostała kolizja włoskiego transatlantyku „Andrea Doria" ze szwedzkim statkiem pasażerskim „Stockholm" 25 lipca 1956 r., niedaleko amerykańskiego brzegu. Wprawdzie panowała mgła, ale oba statki były wyposażone w radar i obaj oficerowie wachtowi rozpoznali się wzajemnie na ekranie radarów; znajdowali się w odległości 15 mil morskich od siebie. Nie mogło się więc wydarzyć, że trasy obu statków, „Andrea Doria" z 1708 pasażerami na pokładzie i „Stockholm" z 666 skrzyżują się w tej sytuacji. A jednak się wydarzyło: statki zderzyły się ze zsumowaną szybkością 110 km/godz. „Andrea Doria" była nie do uratowania i zatonęła następnego dnia przed południem, gdy wszyscy pasażerowie i załoga we właściwym czasie zostali ewakuowani na łodziach ratunkowych i helikopterach. Tak przynajmniej myślano, ale gdy dokładnie policzono, musiono przyznać, że 52 osoby zginęły. Dlaczego jednak oba statki, mimo kontroli radarowej, popadły w kolicję? Ponieważ oficerowie wachtowi widzieli różnie swoje pozycje, albo różnie interpretowali wskazania radarowe, bowiem Włoch wierzył, że wyminięcie nastąpi z prawej burty podczas gdy Szwed był przekonany, że wyminięcie musi nastąpić z bakburty.

REJS PO BŁĘKITNĄ WSTĘGĘ

Zatonięcie „Titanica" 15 kwietnia 1912 roku pozostanie chyba najsłynniejszą katastrofą morską nie tylko ze względu na wielką liczbę ofiar, lecz także ze względu na okoliczności zewnętrzne. Olbrzym oceaniczny o 46 tys. ton wyporności był nie tylko największym statkiem ówczesnych czasów, ale również najpiękniejszym, najbardziej luksusowym, najszybszym i najpewniejszym, jaki został dotychczas zbudowany jako „niezatapialny" i znajdował się w swoim dziewiczym rejsie z Southampton do Nowego Jorku. Wielu bogatych i wybitnych ludzi przełożyło i odłożyło swoje podróże, aby móc uczestniczyć w tym wspaniałym dziewiczym rejsie, podczas którego „Titanic" i Linie White Star miały ustanowić nowy rekord szybkości i zdobyć „Błękitną Wstęgę Oceanu".

„Titanic" opuścił Southampton 10 kwietnia, zatrzymał się na krótki postój w Cherbourgu i wystartował 11 kwietnia o godz. 13.20 z portu Queenstown do swojej pierwszej podróży przez Atlantyk. Nikt z 2224 osób na pokładzie nie myślał o tym, że szalupy ratunkowe statku mogą ogółem pomieścić 1178 osób, bowiem temu „najbezpieczniejszemu statkowi świata" nie mogło się nic przydarzyć. Przebudzenie z tego snu było okrutne. Gdy „Titanic" w nocy 15 kwietnia o 23.40 zderzył się z górą lodową, która rozerwała kadłub statku na długości 100 metrów, tak że masy wody wdarły się do 6 z 12 wodoszczelnych grodzi, kiedy stało się jasne, że jednak olbrzym nie jest „niezatapialny", lecz zostanie zatopiony — na statku zapanował tak wielki bałagan, że łodzie ratunkowe zabrały tylko 711 osób, o 467 mniej niż mogłyby były uratować.

Zatonięcie „Titanica" pociągnęło za sobą śmierć 1513 ludzi, m. in. dlatego że „Californian", który był najbliżej „Titanica" i mógł przyjść z szybką pomocą, nie zauważył w ogóle wezwania SOS. Kapitanowi nieszczęsnego statku zarzucano szczególnie ten fakt, że mimo ostrzeżeń o bliskiej obecności góry lodowej otrzymanych z innych statków nie zmniejszył on szybkości, która wynosiła 22 węzły i nie wzmocnił wachty. Ambicja, aby być najszybszym statkiem świata, była większa niż ostrożność.

(NEUE ZUERCHER ZEITUNG)

Foto: Archiwum

U PRZYJACIÓŁ

W pierwszej dekadzie grudnia na Węgrzech trwały „Dni teatru i muzyki polskiej".

Choć polsko-węgierskie stosunki kulturalne przybierają i w codziennym trybie różnorakie formy, o równie bogatych treściach, jednak w kronikach naszych kontaktów w tej dziedzinie próżno do tej pory szukać wzajemnych prezentacji o podobnym zasięgu i rozmiarach. Miarą rozmachu, jaki gospodarze nadali „Dniom teatru i muzyki polskiej", było ponad 80 imprez odbywających się w 21 miastach. Jednoczesna obecność na Węgrzech trzech naszych teatrów, kilku zespołów muzycznych, dyrygentów i solistów, premiery teatralne zrealizowane przez naszych inscenizatorów, złożyły się w sumie na wszechstronny i reprezentatywny pokaz dorobku polskiej kultury w tej dziedzinie. I choć poszczególni uczestnicy „Dni" reprezentowali różny poziom sztuki wykonawczej, to ogólny obraz poszukiwań repertuarowych i inscenizacyjnych zademonstrowanych przez naszych twórców stał się godną wizytówką polskiej sztuki teatralnej i kultury muzycznej.

Każda z części składowych „Dni" toczyła się dwoma nurtami: były to występy polskich zespołów i solistów oraz utwory naszej dramaturgii i muzyki w interpretacji węgierskich artystów.

W dziedzinie teatru rangę polskiej prezentacji wyznaczyły przede wszystkim występy Teatru Powszechnego z Warszawy. Otwierające cykl spotkań węgierskich widzów i słuchaczy z naszą twórczością i wykonawstwem przedstawienie „Sprawy Dantona" Stanisławy Przybyszewskiej, w inscenizacji Andrzeja Wajdy, wywołało w sali Vigszinhazban w Budapeszcie owację, jaka według węgierskich gospodarzy jest udziałem niewielu goszczących tam zespołów. Podobnie gorąco przyjęto „Barbarzyńców" Gorkiego w reż. Aleksandra Bardiniego i zrealizowany przez Władysława Kowalskiego wieczór jednoaktówek Sławomira Mrożka. Teatr Powszechny powtórzył swój budapeszteński sukces później w Miszkolcu.

Zgodnie z tradycją współpracy zespołów artystycznych obu miast, Teatr Polski z Poznania odwiedził Pecs, gdzie wystąpił z dwiema całkowicie odmiennymi propozycjami repertuarowymi. „Kordian" Słowackiego okazał się bardzo bliski tamtejszej publiczności, która nie mniej żywo przyjęła też „Dno nieba" Jarosława Abramowa — (oba utwory w inscenizacji Romana Kordzińskiego). Trzeci z goszczących ostatnio na Węgrzech naszych teatrów — im. Norwida z Jeleniej Góry przedstawił z kolei na scenach kilku miast „Nadobnisie i koczkodany" Witkacego w reż. Krystiana Lupy.

Niezależnie od obecności naszych zespołów, wiele pozycji polskiej dramaturgii — niejednokrotnie w inscenizacji polskich twórców — miały w tym czasie na afiszu również sceny węgierskie: np. w Veszprem wystawiono „Mazepę" J. Słowackiego w reż. Aliny Obidniak, w Szeged „Żegnaj Judaszu" I. Iredyńskiego w inscenizacji Marka Okopieńskiego. Węgierscy widzowie oglądają także dramaty Kruczkowskiego i Gombrowicza, Grochowiaka, Osieckiej, Mrożka, Choińskiego i in...

Wszystkie wykonawstwa i różne formy twórczości złożyły się na część muzyczną „Dni". Tu na pierwszy plan wysuwa się tournee orkiestry Filharmonii Wrocławskiej pod batutą Tadeusza Strugały i Marka Pijarowskiego. W czasie zamykającego „Dni" koncertu budapeszteńskiego wrocławskich filharmoników, z udziałem solistek: Stefanii Woytowicz (sopran) i Lidii Grychtołówny (fortepian) publiczność zmusiła wykonawców do kilkakrotnych bisów, równie gorąco przyjmując dzieła Chopina, co Góreckiego i Kilara.

W przedstawieniu „Aidy" Verdiego w Operze w Budapeszcie triumfy święcili dyrygent Antoni Wicherek oraz solistki. Teatru Wielkiego z Warszawy Hanna Rumowska-Machnikowska i Krystyna Szostek-Radkowa. Uznanie węgierskich melomanów wzbudził też kunszt warszawskiego kwartetu im. Grażyny Bacewicz.

Nie mniej ważnym akcentem „Dni teatru i muzyki polskiej" na Węgrzech były spotkania dyskusyjne z udziałem przedstawicieli środowisk twórczych obu krajów. M. in. na wspólnym sympozjum w Budapeszcie ludzie teatru Polski i Węgier ocenili wzajemną znajomość tej dziedziny sztuki w obu krajach oraz możliwości rozszerzenia kontaktów w przyszłości.

Przejawem znaczenia, jakie węgierscy gospodarze przywiązali do polskich „Dni", było ofiarowanie pamiątkowych medali grupie najbardziej zasłużonych dla organizacji imprezy naszych twórców i działaczy kultury. Wręczając symboliczne plakietki, wiceminister Kultury WRL Dezsoe Toth wyraził przekonanie, że „Dni" teatru i muzyki polskiej" nie były jednorazowym wydarzeniem, lecz uwieńczeniem dotychczasowej współpracy dwóch zaprzyjaźnionych narodów.

OBCE KAPITAŁY PENETRUJĄ USA

Cudzoziemcy wykupują Amerykę. A „zakupy" opłacają się teraz nie z tytułu przeróżnych ulg, uchylania się cudzoziemców od płacenia podatków czy innych niezliczonych kombinacji. Korzystnych transakcji dokonuje właściciel hoteli z Bawarii, któremu wkłady oszczędnościowe w zachodnioniemieckim banku przyniosłyby zaledwie 3,5 procent rocznie. Transakcje przynoszą dochody angielskiej kampanii „British Airways", która kupiła centrum handlowe w Huston. Irańczycy, a wśród nich siostra szacha, wykupili w Baverly Hills ekskluzywnej części Hollywoodu, taką moc luksusowych nieruchomości, że miejscowi mieszkańcy przezwali tę dzielnicę Zatoką Perską.

Międzynarodowe kompanie w Sztokholmie i Stuttgarcie wygarniają z seifów petrodolary — dochody z eksportu do USA — i wykupują oraz uruchamiają przedsiębiorstwa na amerykańskiej ziemi. Niemcy Zachodnie produkują „Volkswageny" w fabryce w Pensylwanii. Japończycy rozlewają coca-colę w stanie New Hampshire, hodują bydło w stanie Utah i produkują olej z soji w stanie Wisconsin.

Ogromna fala kapitałów, która 10 lat temu odpłynęła ze Stanów Zjednoczonych, teraz zawróciła. Jest to częściowo związane z dawną i powolną erozją dolara na rynkach walutowych. Na przykład Niemiec z RFN płaci za dolara mniej niż 2 marki, a w USA za ten sam dolar można kupić więcej niż w RFN za 3 marki. Ruch ten wywołały częściowo postępowe prądy społeczne i polityczne w zachodniej Europie, a z drugiej strony przekonanie, że Stany Zjednoczone są najpewniejszym w świecie sejfem. Ale przede wszystkim przypływ kapitałów do USA jest wyrazem wiary, iż mimo inflacji, deficytu handlowego i trudności energetycznych, amerykańska ekonomika jest jednak nadal najsilniejsza w świecie zachodnim. Faktem jest, iż cudzoziemcy wydzierżawili 60 procent ekskluzywnych sklepów na wytwornej Fifth Avenue w Nowym Jorku.

Nikt dokładnie nie wie, ile pieniędzy lokują cudzoziemcy w amerykańskiej ekonomice. Nikt nie liczy domów, które kupują, ale sami tylko Kanadyjczycy ulokowali w nieruchomościach na Florydzie 450 milionów dolarów. Nikt nie wie, ile wynosi powierzchnia skupowanych posiadłości ziemskich, ale komisja do spraw gospodarki rolnej Izby Reprezentantów Kongresu USA podała do wiadomości, iż cudzoziemcy kupują niemal piątą część wszystkich farm przechodzących obecnie z rąk do rąk. Nikt nie bada zagranicznych inwestycji w sferze usług, ale przeprowadzony przez redakcję „Los Angeles Times", w październiku ub. roku, przegląd kupna i sprzedaży drobnych przedsiębiorstw wykazał, że „co najmniej trzecia część, a być może nawet ponad połowę z nich wykupują cudzoziemcy".

Rząd amerykański obserwuje jednak bezpośrednie inwestycje w przemyśle i papierach wartościowych. Skoczyły one ze 175 miliardów dolarów w 1973 roku do 311 miliardów w 1977. Analogicznie amerykańskie inwestycje za granicą wynoszą 381 miliardów dolarów. Specjaliści uważają więc, że chociaż ogólna suma zagranicznych inwestycji stanowi tylko małą część ogólnej sumy inwestycji lokowanych w ekonomice USA, to jednak podkreślają, że rośnie ona bardzo szybko. Zgodnie z oceną specjalistów, zagraniczne inwestycje w przemyśle USA pięciokrotnie przewyższyły w 1978 roku poziom lat sześćdziesiątych. W 1978 roku obcokrajowcy wybudowali i uruchomili w USA o 40 procent więcej zakładów przemysłowych niż w roku 1977. Niekiedy ta gorączka obcych inwestycji w USA przekracza granice zdrowego rozsądku. Kilka tygodni temu, jak informuje „Newsweek", pewna dama zatelefonowała do nowojorskiego biura Salzburger Rolf, prowadzącego transakcje nieruchomościami. Włoski kuzyn owej damy dopiero co wylądował na lotnisku im. Kennedy'ego, mając w walizce 750 tysięcy dolarów. „Chciałby to i owo kupić w USA — powiedziała dama. — Czy macie coś na zbyciu?" Agent zaoferował jej mały budynek biurowy na Piątej Ulicy, oceniony mniej więcej na tę sumę. „Bierzemy!" — postanowiła dama...

Ta nowa tendencja wzbudza wśród Amerykanów duże niezadowolenie, takie samo zresztą, jakie obserwowano 10 lat temu w zachodniej Europie. Panuje ogólne zaniepokojenie, że cudzoziemcy opanują amerykański przemysł, ograbią kraj, a nawet odetną USA od zaopatrzenia w żywność. Farmerzy są niezadowoleni, że spekulanci z zachodniej Europy rozkręcili spirale cen na ziemie do niebotycznej wysokości, bankierzy zaś wyrażają obawy, iż nowi konkurenci zaczną prowadzić nieuczciwe gry. Wiodącymi inwestorami są Holendrzy, przede wszystkim dzięki potędze swoich wielonarodowych korporacji takich, jak „Dutch Shell", „Unilever", należący częściowo do Anglików i „Philips" — gigant elektroniczny. Za nimi dopiero idą Anglicy, Kanadyjczycy, Niemcy z RFN, Szwajcarzy, Francuzi i Japończycy. Wiele zagranicznych firm inwestujących w USA znają Amerykanie, ale jest też mnóstwo, o których wiedzą bardzo mało, albo zgoła nic. Tak czy inaczej wiele amerykańskich firm zmieniło właścicieli lub uzależniło się od zagranicznych kapitałów. W gruncie rzeczy, inwestorzy z innych krajów liczą na Amerykę: dolar może spadać, ekonomika drżeć w posadach, ale Ameryka w ich oczach pozostaje fundamentem wolnego rynku i prywatnego kapitału w świecie zachodnim, zmierzającym do socjalizmu.

Jeszcze do niedawna cudzoziemcy mogli eksploatować rynek amerykański po prostu eksportując towary z USA. Amerykańskie dochody były najwyższe w świecie i dlatego USA były łatwym łupem dla zagranicznych przedsiębiorców, którzy mogli płacić swoim robotnikom mniej produkować i sprzedawać taniej od amerykańskich konkurentów. Ale później dolar spadł w cenie. Płace w USA, wyrażane w innych walutach, są dziś niższe, niż w RFN, Szwecji, Belgii i Holandii. Ziemia, energia, podatki, transport i powierzchnie produkcyjne są także nierzadko tańsze. Amerykański przemysł, uderzony podwójnie: depresją na rynku i spadkiem kursu dolara, stał się więc korzystny dla lokaty kapitału.

Nikt jednak nie wyprzedaje Stanów Zjednoczonych z większym rozmachem, niż władze poszczególnych stanów. 28 stanów USA uruchomiło agencje specjalizujące się w przyciąganiu zagranicznych inwestorów. Co najmniej 12 stanów USA utrzymuje stałych przedstawicieli w Brukseli, a władze stanu Massachusetts wysłały w październiku ub. roku 19 agentów reklamowych do Japonii. Sens tej agitacji jest zawsze taki sam: „Sprzedaje się stan. Warunki przystępne" — informuje ogłoszenie, które stan Michigan zamieszcza w zachodnioeuropejskich gazetach. Te ulgi są rzeczywiście ogromne. Stan Pensylwania na przykład znęcił firmę „Volkswagen", proponując jej pożyczkę na okres 30 lat w wysokości 40 milionów dolarów z oprocentowaniem 1,75 proc. w okresie pierwszych 20 lat i 8 proc. w okresie pozostałych 10. Podobne transakcje opłacają się niemal z reguły Nowy Jork, który mocno ucierpiał z powodu ucieczki z miasta wielkich amerykańskich korporacji, znalazł nowe źródło dochodów, udzielając rezydencji 67 oddziałom zagranicznych banków, które niedawno usadowiły się w mieście. 10 lat temu w zbożowej stolicy stanu Michigan, Battle Creak, ojcowie miasta stanęli przed problemem niedorozwoju przemysłu i pustego, pozostawionego przez wojsko poligonu o powierzchni ok. tysiąca hektarów. Wykupili więc poligon za milion dolarów i wysłali do zachodniej Europy i Japonii dziesiątki emisariuszy z zadaniem wyszukania kompanii, które by chciały wybudować na tej ziemi zakłady produkcyjne. Obecnie przemysłowy park Battle Creak liczy 3 nowe fabryki części do samochodów (jedna brytyjska i dwie niemieckie), filie japońskiej „Nippon Cable System" i japońską fabrykę gumy do żucia.

Paradoksalne, ale teraz Amerykanie uskarżają się na brutalne metody zarządzania zagranicznych koncernów. Na przykład zachodnioniemiecki gigant chemiczny „Hoehst" sprawił Amerykanom niemało kłopotów, kupując amerykańską kompanię produkującą okulary przeciwsłoneczne i wprowadzając w niej własny system pracy i płacy.

Jednakże najostrzej krytykują penetrację obcego kapitału w USA farmerzy. Niektórzy obawiają się nawet, iż przyszły wróg opanuje niebawem żywnościowe źródła kraju. Ponadto farmerzy wyrażają ogromne niezadowolenie z faktu, że cudzoziemscy biznesmeni wywindowali ceny na ziemię do poziomu dla Amerykanów już niedostępnego. Ponadto naftowe korporacje Bliskiego Wschodu skupiły w swoich rękach miliardy dolarów za dostawy do USA paliwa, którego cena, jak wiadomo, poszła swego czasu bardzo w górę. Teraz ów dolarowy strumień płynie z powrotem do Ameryki. Królowie i szejkowie wykupują w Stanach Zjednoczonych co się tylko da.

JERZY CZECH

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

▲ Jak poinformowało Ministerstwo Obrony USA, dostawy techniki wojskowej do Iranu nie osłabły, mimo bardzo napiętej sytuacji, która stwarza zagrożenie dla obecnego rządu Iranu. Pentagon szacuje, iż wartość nie dostarczonej jeszcze broni i techniki wojskowej zamówionych przez Iran (który jest największym nabywcą amerykańskiego uzbrojenia) wynosi 9—10 miliardów dolarów. Na liście zamówień figurują m. in.: myśliwiec „F 16", lotniczy system uprzedzania i kontroli AWAKS, oraz niszczyciele. Najbardziej obawiają się o los irańskich zamówień wojskowych największe amerykańskie korporacje lotnicze. Mówi się tu i ówdzie, że koncerny te wywierają zakulisowe naciski na rząd USA, żądając amerykańskiej interwencji w Iranie („Associated Press")

▲ Antyrakietowa broń, oparta na promieniowaniu, której skonstruowanie może dokonać rewolucji w dziedzinie wojskowej, jest tematem ożywionych dyskusji, w kręgach wyższych urzędników amerykańskich i uczonych. W zasadzie mówi się o dwóch rodzajach tej broni: opartym na silnym promieniowaniu laserowym oraz na promieniowaniu cząstek elementarnych, takich jak elektrony. Jeśli pojawi się taka broń, koncepcja powstrzymywania na podstawie „bezpieczeństwa wzajemnego zniszczenia" — inaczej mówiąc, koncepcja „równowagi strachu" — stanie się przestarzała. Rakiety wystrzeliwane ze stanowisk podziemnych, naziemnych, czy też z łodzi podwodnych będzie można niemal błyskawicznie wykryć i niszczyć przy pomocy sztucznych satelitów zaopatrzonych w urządzenia wykrywające cele i śledzenie ich przy pomocy tej właśnie broni. Teoretycznie, zarówno Związek Radziecki jak i Stany Zjednoczone będą musiały przebudować swoje strategiczne systemy wojskowe. Chociaż Kongres USA okazuje ostrożność przy rozpatrywaniu nadzwyczajnego programu skonstruowania broni opartej na promieniowaniu, to jednak osobistości z kręgu komisji Izby Reprezentantów utrzymują, iż prawdopodobnie zostanie on zaaprobowany. („New York Times")

▲ U samego wejścia do szwedzkiego portu Goeteborg znajduje się podziemny zbiornik ropy naftowej. Prace nad jego zbudowaniem trwały kilka lat; najpierw prowadzono roboty minerskie, żeby w granitowej skale wydrążyć pieczarę. Trudne to były prace i bardzo kosztowne. Pieczara może pomieścić 250 tysięcy ton ropy. Dla porównania: RFN zużywa taką ilość nafty w ciągu jednego dnia. Zbiornik w Goeteborgu jest jednak jednym z wielu wybudowanych w ostatnich latach. Szwecja przygotowuje się bowiem do spotkania z kryzysem naftowym w pełnej zbroi. W ten sam sposób postępują zresztą również i inne kraje. Na przykład RFN, która robi zapasy ropy naftowej już niemal od 12 lat, nagromadziła około 10 milionów ton tego paliwa. Warto wspomnieć, iż zapas ten starczy zaledwie na 25 dni i dlatego też naftę gromadzi się nadal. Jednakże koncentracja paliwa płynnego w wielkich ilościach jest bardzo niebezpieczna. Pieczary, napełnione naftą i gazem, obrazowo mówiąc, zawierają w sobie tyle energii, ile posiada jej wielka bomba wodorowa. („Der Stern")

▲ Agencja do spraw ochrony środowiska w USA otrzymała nowe dane, które potwierdzają hipotezę, iż zanieczyszczenie atmosfery skraca życie. I tak, dane statystyczne za lata 1968—78 wskazują, iż zmniejszenie zanieczyszczenia atmosfery tylko o 1 proc., zmniejsza o 0,23—0,89 proc., stopień śmiertelności. Stwierdzono ponadto iż szkodliwe oddziaływanie zanieczyszczonej atmosfery na ludzi zwiększa się wraz z wiekiem. W wieku ponad 65 lat szkodliwy wpływ zanieczyszczenia atmosfery działa tak samo na mężczyzn, jak i na kobiety. Ale do tego wieku wpływa o wiele bardziej szkodliwie na zdrowie mężczyzn. („N. J. Herald Tribune")

HUARI BUMEDIEN

„Prezydent Huari Bumedien, który zmarł 27 grudnia, w sześć tygodni po utracie świadomości, rządził Algierią od 1965 r. Kierował się dwoma podstawowymi zasadami: utrzymaniem niepodległości politycznej i zdobyciem niepodległości gospodarczej. Obie zasady związane były z budową specyficznego socjalizmu i walką z imperializmem.

Bumedien objął władzę po zamachu stanu w dniu 19 czerwca 1965, odsuwając wówczas Ben Bellę. Od tego czasu był on szefem państwa, przewodniczącym Rady Rewolucji, szefem rządu, naczelnym dowódcą sił zbrojnych i ministrem obrony.

10 grudnia 1976 w powszechnym głosowaniu wybrany został prezydentem Republiki, uzyskując 95,23 procent głosów. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Mohamed Bucharuba — Huari Bumedien był pseudonimem wojennym. Według oficjalnych dokumentów urodził się 23 sierpnia 1932 *) roku w pobliżu Guelma we wschodniej Algierii, w rodzinie chłopskiej. W Guelma a później w instytucie koranicznym w Konstantinie, przyszły prezydent pobierał nauki podstawowe i średnie w języku arabskim. W 1949 roku udał się do Tunisu, by uniknąć służby w armii francuskiej. W 1955 roku wyjechał do Kairu, gdzie przez cztery lata studiował na arabskim uniwersytecie Al Azhar. W tym okresie brał udział w algierskim ruchu niepodległościowym. Po wybuchu powstania w Algierii przeciw władzy Francji w końcu 1954 powrócił on do Algierii, a od 1957 roku dowodził V Wilają (orańską) w stopniu pułkownika. W 1960 roku mianowany został szefem sztabu Narodowej Armii Wyzwolenia, której główna kwatera znajdowała się na granicy z Tunezją. Po uzyskaniu niepodległości Algierii w lipcu 1962 r. poparł on Ben Bellę, który toczył walkę o władzę z politykami Tymczasowego Rządu Algierskiego, przebywającymi w Tunisie.

W okresie rządów Ben Belli (1962—1965), Bumedien był ministrem obrony, następnie wiceprzewodniczącym Rady Ministrów i członkiem kierownictwa Frontu Wyzwolenia Narodowego. Te trzy funkcje pełnił aż do dnia zamachu stanu 19 czerwca 1965. Wówczas przy poparciu wojskowych Narodowej Armii Ludowej — nowej armii, którą stworzył, odsunął Ben Bellę i przejął władzę bez rozlewu krwi. W końcu 1967 r. udaremnił zbrojną rebelię, którą kierował ówczesny szef sztabu armii pułkownik Tahar Zbiri. Na początku 1968 r. uszedł z życiem podczas zamachu zorganizowanego przez współpracowników Tahara Zbiri.

Po objęciu władzy po Ben Belli, Huari Bumedien utrzymał socjalistyczny kierunek polityki algierskiej. Stał on na stanowisku, że nie ma niepodległości politycznej bez niezależności gospodarczej.

W latach 1972/75 Bumedien odegrał pierwszoplanową rolę w walce krajów trzeciego świata przeciw krajom bogatym, w obronie surowców państw trzeciego świata na rynkach światowych, w dążeniu do bardziej zrównoważonych stosunków między Północą i Południem. Odgrywał on również pierwszoplanową rolę w walce państw postępowych przeciw imperializmowi. Jego osobowość wywarła decydujący wpływ podczas szczytu państw niezaangażowanych w roku 1973 w Algierze.

W 1975 roku Bumedien poparł Polisario w wojnie z Marokiem i Mauretanią, mimo stałych gróźb Hasana II wobec Algierii.

Od 1976 r. prezydent Bumedien pracował nad ukształtowaniem instytucji państwowych i politycznych w Algierii, poczynając od podstawowych struktur — gmin i departamentów. W lipcu 1976 uchwalono w referendum Kartę Narodową, która stanowi podstawowy dokument polityczny, ideologiczny, ekonomiczny i kulturalny rewolucji algierskiej. W lipcu tegoż roku uchwalono konstytucję, w grudniu przeprowadzono wybory prezydenckie, w marcu 1977 wybory parlamentarne. Ostatni etap tego procesu — kongres FWN miał odbyć się na początku 1979 z dwoma głównymi celami: zapewnieniem Algierii kierownictwa politycznego wyłonionego przez odrodzoną i zreorganizowaną partię i nakreśleniem dalszego kierunku ekonomicznego rozwoju Algierii.

*) Data urodzenia Bumediena nie jest dokładnie znana. W dokumentach francuskich zarejestrowany jest pod datą 1932 r. Podobno jednak urodził się w 1925 r. i zdaniem lekarzy jest to najbardziej prawdopodobna data jego urodzin.

SIEDEM LAT ZA WIELKĄ BRAMĄ

Niewiele jest informacji o tym, co dzieje się w Chinach, jeszcze mniej wiadomo o życiu codziennym w „państwie Środka", a zgoła nic o przeżyciach tych, którzy w okresie rządów Mao Tse-tunga padli ofiarą różnych kampanii przeciw „wrogom ludu" i przechodzili następnie proces „reedukacji przez pracę", bądź „reformy przez pracę". Toteż każda choćby fragmentaryczna reakcja na ten temat budzi zrozumiałą uwagę i zainteresowanie. Jednym z tych, którzy przeszli proces „reformy przez pracę" był BAO RUO-WANG VEL JEAN PASQUALINI, syn żołnierza francuskiego i Chinki, urodzony w Chinach w 1926 roku.

Językiem chińskim posługiwał się Bao w dzieciństwie i tak biegle jak rodowity mieszkaniec tego kraju. Jako obywatel francuski posiadający prawo stałego pobytu w Chinach pracował po wojnie w placówkach dyplomatycznych w Pekinie co było możliwe dzięki bardzo dobrej znajomości języka francuskiego i angielskiego nabytej podczas nauki we francuskiej szkole misyjnej. W 1957 roku, w grudniu został aresztowany w okresie kampanii przeciwko prawicowcom i następnie skazany na 12 lat obozu pracy za działalność przestępczą. Po uznaniu w 1964 roku przez rząd de Gaulle'a Chińskiej Republiki Ludowej, Bao został zwolniony i wyjechał do Francji, gdzie w 1973 roku wydał książkę o przeżyciach swych 7 lat w więzieniach chińskich. Książka ta noszaca tytuł **„Prisonnier de Mao"**, posłużyła jako źródło do tej niezwykłej relacji.

Swych pierwszych 15 miesięcy po po aresztowaniu Pasqualini, czy też — by użyć jego chińskiego imienia — Bao spędził w ośrodku śledczym. Pod ścisłym nadzorem strażników, 12 mieszkańców celi stale nawoływało się wzajemnie do właściwego postępowania i wyrażało wdzięczność rządowi za danie im szansy do odpokutowania za swe zbrodnie i za możliwość poprawy. Polityka rządu polegała na pobłażliwości wobec tych, którzy przyznała się i surowości wobec tych, którzy stawiała opór, odpokutowaniu zbrodni pracą i zasługami, a także na wynagradzaniu tych, którzy wykazali się tego rodzaju zasługami" Główna jednak zasadą było całkowite podporządkowanie się władzy.

W pierwszych dniach zaprowadzono Bao do izby tortur, pełnej straszliwych narzędzi, ale gdy doznał szoku, powiedziano mu, że jest to jedynie muzeum zachowane z epoki Kuomintangu. Przez cały czas jego pobytu w obozach stosowanie fizycznego przymusu wobec więźniów było ściśle zakazane. Życie więzienne było tak zorganizowane, by zająć więźniom każdą chwilę. Poruszali się oni truchcikiem, z opuszczonymi głowami i nie wolno im było patrzeć ani w prawo ani w lewo. Stosowali się oni do dokładnie wytyczonego regulaminu zajęć, który przewidywał czas na rozmyślania, kiedy to siadywali ze skrzyżowanymi nogami na swych łóżkach, „dokładnie jak grupa mnichów buddyjskich". Pięć dni w tygodniu przeznaczonych było na wyznania i śledztwo, w którym to czasie każdy z więźniów pozostawał sam z oficerami śledczymi. Bao wypisał w końcu 700-stronicowy akt samooskarżenia. Niedziele przeznaczone były na studia polityczne, a czwartki na robienie porządków, w czasie których przekazywano sobie małe pudełko na obcinane paznokcie", które były co miesiąc zbierane i sprzedawane w celu wykorzystania w tradycyjnej chińskiej medycynie. W zamian za uzyskane dochody, więźniom wyświetlano co 4 miesiące film. W czasie 15-miesięcznego pobytu w tym ośrodku śledczym, Bao jadł „ryż tylko raz, a mięsa ani razu. W sześć miesięcy po aresztowaniu mój żołądek skurczył się zupełnie i na moim ciele zaczęły pojawiać się charakterystyczne ranki, będące po prostu rezultatem leżenia na wspólnej pryczy." Brak witamin spowodował wypadanie włosów i łuszczenie się skóry. Ale to nie miało znaczenia, bo przecież wywieszone na ścianach hasło głosiło: „Naszym obowiązkiem wobec rządu jest wspólne studiowanie i wzajemne obserwowanie się".

Od czasu do czasu sesje przeznaczone na studia przekształcały się w „wiec walki", co jest „specyficznym wynalazkiem chińskim, łączącym zastraszanie i poniżanie ze zwykłym fizycznym wyczerpaniem... Jest to intelektualne, zbiorowe bicie jednego człowieka przez wielu, czasem nawet przez tysiące, w którym to procesie ofiara nie ma niczego na swą obronę, nawet prawdy." Walka taka może trwać w nieskończoność, aż osiągnie się poprawę. Jedyna droga wyjścia jest wyrobienie w sobie rewolucyjnego zapału, a jedynym sposobem doprowadzenia do tego, jest pełne przyznanie się do win. Kiedy wydano zarządzenie, że wszyscy więźniowie powinni w letnie popołudnie odbywać 2-godzinną drzemkę, „każdy, kto miał otwarte oczy, otrzymywał pisemną naganę. Po pewnej ilości nagan, przychodziła kara w postaci wiecu walki Toteż wszyscy zachowywaliśmy się bardzo dobrze. Byliśmy wzorowymi dziećmi."

Kiedy śledztwo przeciw Bao zostało ostatecznie zakończone, pokazano mu teczkę z oskarżeniami, jakie wysunięto wobec niego. Przekonał się, że niemal wszyscy przyjaciele i koledzy wpisali na niego denuncjacje. Obecnie przyszła na niego kolej by denuncjować innych. „Chcemy abyś został zreformowany, ale jak możemy przekonać się, że naprawdę wkroczyłeś na właściwą drogę, dopóki nie opowiesz nam o swoich towarzyszach. Denuncjowanie innych jest bardzo dobra metoda pokuty."

Innym sposobem przeciwdziałania solidarności więźniów był system, na mocy którego mieszkańcy danej celi mieli obowiązek przydzielania każdemu ze współwięźniów racji żywnościowych, w oparciu o jego własne propozycje oraz ocenę kolektywną i głosowanie. Nikt nie mógł dopomóc przyjacielowi, by mógł się nadać podobnie, jak nikt nie mógł uniknąć zwalczania go przy pomocy pełnych nienawiści denuncjacji.

Wreszcie Bao stanął przed sądem. „Nie masz obowiązku mówić czegokolwiek. Odpowiadać będziesz jedynie wtedy, gdy ci się każe. Wybraliśmy kogoś na twego obrońcę." Broniący go adwokat ograniczył się do prostego argumentu: „Oskarżony dobrowolnie przyznał się do popełnienia tych zbrodni. Dlatego też nie jest konieczna żadna obrona." Ostatecznie skazano go na 12 lat więzienia w celu zreformowania poprzez pracę. Ze względu na obce obywatelstwo, sprawa jego przebiegała w sposób dość prosty. W wielu bowiem przypadkach nie informuje się więźnia, że skazany został np. na 10 lat i utrzymuje się go w przekonaniu że wyrok wyniósł 20 lat lub dożywocie. Następnie dokonuje się rzekomej redukcji wyroku. Kiedy wreszcie zostaje poinformowany, że odcierpiał już swą karę i że staje się wolnym robotnikiem, choć nadal w tym samym obozie, więzień odczuwa wdzięczność za tę pozorną redukcję wyroku.

Półtora roku po aresztowaniu Bao uzyskał zezwolenie na 6-minutową wizytę swej żony i jednego z dzieci. Więźniów oczekujących na wizyty poddawano najpierw gruntownej rewizji — odpruwano żyletka podszewkę ich bluz — a następnie polecano im, by rozmawiali głośno, poprzez oddzielające ich od odwiedzających płótno. Nawet to jednak było lepsze, aniżeli „niehonorowa wizyta" polegająca na tym, że zatwardziałego więźnia odwiedzali członkowie jego rodziny specjalnie po to, aby mu nawymyślać i napomnieć, by się poprawił.

We wrześniu 1959 roku Bao został przetransportowany do pekińskiego więzienia nr 1, a więc do więzienia wzorowego. Było tam dla niego „rzecza niemal szokującą, iż traktowany jest jak człowiek". Jedzenie było dobre i obfite, zaś strażnicy sympatyczni i ludzcy. W tym więzieniu Bao dokonał swej pierwszej wszechstronnej oceny ideologicznej. Przy opracowywaniu tego rodzaju oceny obowiązują te same zasady krytyki i samokrytyki, jak w stosunku do wolnych obywateli. Przyznanie się winno być spontaniczne i należy je składać natychmiast po popełnieniu jakiegoś błędu. Inni więźniowie powinni niezwłocznie dopomagać temu, kto popełnił błąd, aby mógł w ten sposób lepiej sobie zdać z niego sprawę. Dopiero, kiedy metoda ta nie da rezultatów, skazuje się więźnia na „wiec walki", lub osadzenie w izolatce. W swym oświadczeniu Bao w sposób typowy stwierdził, że wydany na niego wyrok wydaje mu się bardzo łagodny i sprawiedliwy, wyznał że naruszył przepisy nakazujące więźniom poruszanie się zawsze w co najmniej 2-osobowych grupach, gdyż kilka razy udał się sam do latryny, a ponadto zdarzało się, że w czasie sesji przeznaczonych na studia, siadywał w sposób niezgodny z regulaminem i kilka razy rozmawiał w czasie godzin pracy.

Co gorsza — przyznał — że ociągał się ze składaniem donosów na osoby, które były w stosunku do niego dobre, choć przecież donoszenie na temat innych więźniów jest „dwustronną pomocą: dopomaga rządowi w dowiedzeniu się, co się dzieje i dopomaga danemu więźniowi, gdyż umożliwia mu zdanie sobie sprawy z popełnionych błędów." Wyznanie swe zakończył obietnicą posłuszeństwa wobec rządu we wszystkich sprawach. Zdawał sobie wówczas sprawę, że w ten sposób broni jedynie własnej skóry, ale „zanim wyszedłem z chińskich więzień, wypisywałem te frazesy wierząc w nie". Pewien wieloletni więzień powiedział mu: „Jedyna droga utrzymania się przy życiu w więzieniu jest niezwłoczne, pełne przyznanie się i przedstawienie swych grzechów w tak czarnych kolorach, jak tylko jest to możliwe... Nie wolno ci jednak nigdy sugerować, że władze więzienne lub rząd ponoszą jakąkolwiek odpowiedzialność za coś." W okresie tym stwierdzono u Bao gruźlicę i kilka miesięcy spędził on w szpitalu więziennym. Stamtąd przetransportowano go do obozu Ching Ho, do pracy w polu. Chiny wchodziły wówczas w okres głodu, co odbijało się oczywiście na racjach żywnościowych w obozach. Bao znalazł się w obozie przeznaczonym dla więźniów starych i słabych, gdzie dyscyplina była mniej surowa, normy były niższe i niemal wcale nie było strażników. Należąc do grupy zdolnych do pracy, zatrudniony został przy zbieraniu świńskiego nawozu i uzyskał szereg doświadczeń w dziedzinie przetrwania, na przykład tuląc się w zimne noce do świń.

Jesienią 1960 roku Bao czyli Jean Pasqualini nadal walczył o to, by uzyskać dostateczną ilość wyżywienia. Nadchodził okres chłodów zimowych. Godziny pracy zmniejszono do 6 dziennie W miarę zmniejszania się zapasów żywności, warunki stały się naprawdę rozpaczliwe. Władze obozowe zaczęły eksperymentować, dodając do jedzenia namiastki w postaci kory drzewnej. Początkowo racje chleba stały się dzięki temu większe i bardziej sycące, ale wkrótce cała farma zaczęła cierpieć „na zapewne najpoważniejszy przypadek masowego zatwardzenia w całej historii medycyny, gdyż sproszkowana kora drzewna absorbowała wilgoć z przewodu pokarmowego..." Podjęto również próbę wykorzystania planktonu z wody bagiennej ale okazało się, że organizm tego nie asymiluje. Mimo to jednak na Nowy Rok więźniowie dostali posiłek, zawierający ryż, mięso i jarzyny.

W 1961 roku Bao Ruo-wang osiągnął już wysoki szczebel świadomości ideologicznej: wierzył w to, co mu mówili strażnicy, szanował większość nadzorców i był przekonany, „że jeśli nawet rząd nie pała do niego gorącą miłością, to przynajmniej czyni wszystko, by utrzymać go w zdrowiu w trudnych warunkach." W tym okresie głodu strażnicy położyli kres pogłoskom, prowadząc wszystkich więźniów do swej własnej kuchni, by im pokazać że sami również żywią się mąką kartoflaną zmieszaną z namiastką kukurydzy.

Bao zdawał sobie sprawę, że jako cudzoziemiec jest jedynym z więźniów, który ma jakąkolwiek szansę wydostania się kiedyś z Chin i dlatego też unikał łamania przepisów zakazujących „organizowania" dodatkowej żywności. Ale nastąpił u niego znaczny spadek ciśnienia i pojawiły się inne oznaki braku witamin. Współwięźniowie nauczyli go wówczas sposobów zdobywania żywności, takich jak kradzież rzepy, czy też zbierania odrzuconych zewnętrznych liści kapusty... W maju 1961 roku Bao zachorował i znalazł się w szpitalu, cierpiąc na dyzenterię amebową i anemię, bliski już niemal śmierci. Ale współwięźniowie przynosili mu żywność przez siebie „zorganizowaną". Kiedy wrócił do zdrowia i do pracy, jeden z nich wyjaśnił: „Jesteś jednym z nas, który jest w innej sytuacji. Kiedyś możesz wydostać się za Wielką Bramę. Może to się przytrafić cudzoziemcowi, ale żadnemu z nas. Będziesz wtedy jedynym, który będzie mógł o tym wszystkim opowiedzieć."

Powrót w lecie do pracy na polu umożliwiał chwytanie żab. „Zdzieraliśmy z nich na miejscu skórę i zjadaliśmy na surowo. Należy zacząć od pyszczka i głowę odjąć wraz z kręgosłupem."

Pewnej zimnej nocy, zamiast udać się do odległej o 200 metrów latryny, Bao załatwił potrzebę pod murem. „Ledwie skończyłem, kiedy ktoś mnie bardzo mocno kopnął w tyłek. Był to strażnik. — Czy nie znasz przepisów sanitarnych? — zapytał. Miał całkowitą rację, ale tyłek, jaki kopnął, należał do ideologicznego weterana. — Przyznaję, że zrobiłem źle, ale miałem wrażenie, że przedstawicielom rządu nie wolno dotykać więźniów. Sądziłem że gwałt fizyczny jest zakazany." Strażnik przyznał, że popełnił błąd i oświadczył, iż postawi tę sprawę na najbliższej sesji samokrytycznej. Polecił on jednocześnie Bao, by wrócił do celi i napisał wyznanie. Bao przyznał się w swym piśmie, że oddawanie moczu pod murem było z jego strony przejawem „braku poszanowania dla nauk rządu i sprzeciwu wobec reformy..., że dał wyraz swemu gniewowi w sposób brutalny, jak gdyby pluł rządowi w twarz sądząc, że nikt tego nie zauważy. Mogę tylko prosić rząd, aby ukarał mnie tak surowo, jak tylko możliwe." W rezultacie nie został w ogóle ukarany.

W 1963 roku Bao był tak aktywny ideologicznie i zajmował tak słuszną postawę, że powierzono mu funkcję starszego celi. „Z zapałem prawdziwie nawróconego zacząłem szukać nowych sposobów służenia rządowi i dopomagania mym towarzyszom." Między innymi chodził w lecie boso, aby zaoszczędzić rządowi skóry na buty. W końcu przyznał się jednak do „złowrogich" myśli: skoro chińscy konsulowie zażądali dostępu do swych obywateli w obozach jenieckich w Indiach (co wtedy właśnie miało miejsce), to konsul francuski powinien uzyskać dostęp do Bao w Chinach. Bao stwierdził, że zdaje sobie sprawę iż tego rodzaju myśli są niesłuszne, ale że nadal go nurtują: „Byłbym nieszczery — napisał — gdybym zataił je przed rządem". Fakt, że przeszedł tak głęboką reformę ideologiczną, przyczynił się zapewne do tego, że jako obywatel francuski został uwolniony w 1964 roku, gdy nawiązane zostały stosunki dyplomatyczne między Chinami a Francją.

Opracował:
ANDRZEJ BLAJER

TADEUSZ WIEŻAN

GOŁĘBIARZE

NOWELA FILMOWA

Nowelę filmową „Gołębiarze" napisał jeden z czołowych operatorów filmu polskiego, Tadeusz Wieżan. Autor od pewnego czasu zajmuje się dramaturgią sceniczną. Jego sztuki prezentowane były w Warszawie, Krakowie, Kielcach oraz Teatrze Powszechnym w Łodzi: („Zakręt" w reżyserii G. Królikiewicza). Tadeusz Wieżan, członek ZLP od 1976 roku, jest również autorem kilku scenariuszy filmowych, a wkrótce stanie za kamerą jako reżyser w zespole „Profil", gdzie pełni funkcję zastępcy kierownika artystycznego.

Obergefreiter Glinke zgromadził w swoim gołębniku najpiękniejsze okazy ptaków. Stasio zazdrościł mu zwłaszcza żółtych i czarnych weissschwanzów oraz parki tranzulskich, podobnych do Świętego Ducha, którego wyrzeźbiony symbol widział nad amboną w kościele.

Glinke był funkcjonariuszem Sonderdienstu, czyli specjalnym policjantem do ochrony Kreislandleiteru Nosił mundur, jak żołnierz Waffen SS z tą jedynie różnicą, że na czapce, w miejscu trupiej główki, Glinke miał jedno S w kształcie błyskawicy.

Do gołębi zwracał się po polsku, był Volksdeutschem i niemiecki znał słabo.

— Ty świnio, halte dziób! — krzyczał, gdy gołębie gruchały i biły się między sobą.

A może chciał pokazać, jaki u niego porządek i jak go słuchają nawet ptaki.

Stasio miał trzynaście lat. Glinke wiedział, że chłopak też trzyma gołębie i czasami pozwalał mu patrzeć na lot swoich ptaków. Bo Glinke lubił Stasia, ale nie tolerował innych gołębi.

— To tak nie może być, żeby te świństwo po niebie latało!

To mówiąc brał wiatrówkę, opierał się o gołębnik i strzelał do nierasowych ptaków, które próbowały siadać na pobliskim dachu.

— Twoje to co innego — zwrócił się do chłopca, po oddaniu kilku niecelnych strzałów.

— Twoje mogą latać. Nie masz ich dużo. Trzy, cztery ma prawo latać.

Rano, gdy Stasio podrywał swoje ptaki do lotu, Glinke swoich nie gonił. Miał inne zajęcia, ważniejsze. Niebawem ziawił się na podwórzu z przewieszonym na ramieniu MP.

— Masz weissschwanza? — zdziwił się Niemiec.

— Eee, on nie czysty, wyrwałem mu dwa pióra z ogona. Stasio bał się, że mu zabierze.

— Ale ładnie chodzi — powiedział Niemiec.

— Bo on szuka domu, nie wiem, czy mi nie ucieknie!

W tym momencie na podwórze wyszedł ojciec.

— No, Czerwiński, bierzcie łopatę i chodźcie ze mną — powiedział Glinke, a Stasio patrzył mu w oczy, jakby chciał w nich coś wyczytać.

Z domu wyszła matka i babka, a starszy brat Stasia — Józek patrzył przez firankę.

— Ojciec zaraz wróci! — powiedział Glinke do Stasia, chociaż ojciec szedł pierwszy a Niemiec za nim z przewieszonym MP na ramieniu.

Stasio widział przez szpary w stodole jak żandarmi prowadzili trzech mężczyzn w koszulach z rękoma do tyłu. Wszyscy szli bardzo wolno nad strumyk, gdzie rosły wierzby. Drzewa były tak stare, że nie miały wnętrzności.

Chłopak skulił się w sobie, gdy padło kilka strzałów. Gołębie zerwały się z dachu. Stasio szybko skoczył do gołębnika, złapał weissschwanza, włożył do klatki i ukrył pod słomą w stodole. Gdy wyjrzał przez szparę, ojciec pod wierzbami zasypywał dół, a Glinke stał obok.

Czerwiński tego wieczoru pił w knajpie wyjątkowo dużo i nie mógł się upić. Był trzeźwy, ale opowiadał bluźnierstwa.

— Franek, co my wiemy o życiu. Dzisiaj na jakach zakopałem trzech ludzi. Żandarmi mówili, że to komuniści, ale oni byli tacy sami jak my.

Franek jednym uchem słuchał, rozglądał się po knajpie, a w dłoni trzymał lampkę z wódką.

— Franek, powiedz mi jak to jest? Robi się tyle szumu wokoło jednej cierniowej korony, a oni wszyscy trzej mieli ręce skrępowane drutem kolczastym... A drut, to nie drzewo.

— Wypijmy! — przerwał Franek, bo to co mówił Czerwiński, było groźne dla wszystkich.

— Tata, chodź do domu! — nalegał Stasio, bo przysłała go matka, żeby sprowadził ojca do domu przed godziną policyjną.

Przez pusty rynek wracali sami, ojciec zataczał się. Na chodniku stało dwóch żandarmów i Glinke. Gdy mijali Niemców, ojciec szedł prosto.

— Czerwiński, chodź tutaj! — zawołał Glinke.

Ojciec zawrócił i podszedł do Niemców. Stasio był obok.

— Pan żandarm pyta, dlaczego czapki nie zdejmujesz, jak przechodzisz koło panów żandarmów. Taki przykład dajesz synowi? — ostatnie zdanie Glinka dodał do siebie. A jeden z żandarmów zrzucił ojcu czapkę z głowy.

Ojciec chciał podnieść, zatoczył się, a żandarm kopnął go w tyłek i mężczyzna poleciał jeszcze dalej. Jeden z żandarmów kopał teraz czapkę, a drugi ojca, a Glinke śmiał się, bo zabawa była przednia. Wreszcie Stasio złapał czapkę i podał ją ojcu. Ruszyli do domu, zostawiając rozbawionych Niemców.

Szli w milczeniu, trzymając się za ręce. Stasio pochlipywał, nie mógł się powstrzymać.

— Nic mnie nie bolało, słowo daję — pocieszał ojciec syna, a chłopak rozpłakał się na dobre.

— Nic mnie nie bolało — powtarzał ojciec byle coś mówić.

A chłopakowi same ciekły łzy.

W domu czekano już na nich.

— Bałam się o was, że wam coś się stało — powiedziała matka.

— I czego się włóczyć po godzinie policyjnej. Macie szczęście, żeście się na Niemców nie natknęli.

— A co nam Niemcy?! — powiedział Stasio.

Ojciec zwalił się na sofę, a matka kiwała nad nim głową.

— Co się z nim zrobiło, pije i pije.

— Trzech niewinnych ludzi rozstrzelali matka — bełkotał przez sen.

— Trzech ludzi... Babcia przeżegnała się, ucałowała krzyżyk przy różańcu. — Przyjmij ich, Panie do Królestwa Swego, jak żeś przyjął ofiarę niewinnej krwi gołębicy i Baranka Bożego, Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata — wysłuchaj nas Panie, Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata — zmiłuj się nad nami, Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami, Panie.

Pełzał ogień pod płytą, rzucając migotliwe światło na okap nad kuchnią, wiadro cynkowe na taborecie, na stare usta powtarzające bezgłośnie słowa modlitwy.

— Wszyscy my baranki Boże — powiedział ojciec i trzymając się dłonią za tyłek podszedł do wiadra napić się wody.

Romek gwizdnął dwa razy na palcach. Zerwały się gołębie z dachu. Staszek wyszedł z domu. Romek był wyższy od Staszka o całą głowę.

— Weź moje zeszyty — prosił Romek.

Staszek nie odpowiedział, ale ruszył pierwszy.

— Staszek! Staszek! — wołał Romek i biegł za kolegą. Staszek zatrzymał się.

— A dlaczego mam ci ciągle nosić zeszyty?

— Mały jesteś, Niemcy będą myśleli, żeś ze szkoły powszechnej.

— Nie ma Niemców, czego się boisz. W siódmej klasie są tacy jak ty.

— Weź, Stasiu — prosił kolegą.

— Nie widać Niemców!

— Ale cholera z ciebie, podźwigniesz się tymi książkami?!

— Nie podźwignę ale muszę wyrabiać w sobie odwagę.

Romek już nic nie mówił, szedł zły z wypchanym olbrzymim biustem.

— Co z ciebie za człowiek — dogadywał z tyłu.

— W wojnę poznaje się ludzi.

„Człowiek" zatrzymał się.

— A jak byś pistolet musiał przenieść, to byś pewnie umarł ze strachu?!

Wykłady na tajnych kompletach odbywały się każdego dnia w innym domu. Pani profesor Barankiewicz odkrywała coraz to nowe tajemnice antycznego świata.

Tego dnia omawiała bitwę pod Termopilami.

— ...przechodniu, powiedz Sparcie tu leżą jej synowie...

...Pani profesor zatrzymała się na tym fragmencie, kazała wiersz recytować każdemu ze specjalnym uwzględnieniem końcowych strof, powtarzała sama za uczniem, jakby chciała wydobyć jego szczególną aktualność w obecnej sytuacji.

Na koniec zapytała, kto przeniesie ze szkoły na następną lekcję historyczną mapę Polski oraz globus. Zgłosili się Tomek Czesiek „syn księdza", którego tak nazywano, bo mieszkał u swego stryja wikarego oraz Staszek. Trzeba to było zrobić w biały dzień, przed godziną policyjną.

W domu Staszka panowała rozpacz.

— Józiu!

— Józieczku! — zawodziła matka.

Ojciec siedział ponury przy stole. Babcia odmawiała różaniec. Okazało się, że w domu był Glinke i zabrał starszego brata na roboty do Niemiec. Po chwili ojciec zerwał się z miejsca i wybiegł z mieszkania.

Z mapą — chociaż dużą, było nóż biedy, gorzej z globusem. Po licznych próbach zawijania chłopcy postanowili nieść go bez ukrywania, w końcu — rozumowali — nie każdy żandarm chyba wie, że nauka geografii dla Polaków jest zabroniona. Romek, jako najwyższy, nie niósł nic, ale szedł pierwszy. Jakieś dwadzieścia metrów za nim Czesiek ze zwiniętą mapą i na końcu Staszek z globusem. Nie było innej drogi, trzeba było przejść środkiem przez rynek. Maszerowali raźno, dodając sobie animuszu i nagle ze sklepu wyszło dwóch żandarmów, dali znak ręką, żeby się zatrzymali.

Nic ich nie interesowało — tylko globus. Po raz pierwszy w życiu uczuł Staszek w łydkach tysiące igiełek. Na szczęście jeden z żandarmów o nazwisku Hoppe był w miasteczku znany. Podszedł teraz do Staszka i zaczął na globusie pokazywać koledze wielkość terenów zajętych przez Niemców.

Był bardzo podniecony i dużo mówił. Staszek trzymał podstawę, a on kręcił kulą ziemską, po chwili klepnął kolegę po plecach i Staszkowi dał znak głową, żeby sobie poszedł.

Chłopak dopędził kolegów w jakiejś bramie i musiał na poczekaniu coś skłamać, bo nie mógł ukryć łez.

Koleżanki z „kompletów" zaprosiły kilku chłopców na wieczorek taneczny. Wieczorek był urządzony u jednej z dziewcząt. Znalazł się patefon i piękne płyty z wiedeńskimi walczykami. Rodzice i ich znajomi usiedli pod ścianą. Puszczali płyty w kółko, ale nikt nie tańczył. Wreszcie pani domu nastawiła płytę i ogłosiła „białe tango".

Staszek sądził, że to tytuł utworu, ale po chwili Krysia poprosiła go do tańca. Zaczęło się liczenie: raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy. Koledzy byli w podobnych tarapatach. Muzykę ledwie było słychać, a sala balowa przypominała lekcję matematyki dla początkujących. Raz-dwa-trzy! Raz-dwa-trzy!

Staszek wpadł do domu jak burza.

— Mamo, umiem tańczyć walca!

W mieszkaniu był dziadek.

— I raz, dwa, trzy.

— Raz, dwa, trzy, — Staszek pokazywał jak to się tańczy.

— No, bardzo ładnie — pochwalił ojciec.

— Zuch, słowo daję, zuch! — cieszył się dziadek.

— Jak ci nie wstyd, Józef na robotach w Niemczech, wojna, a ty tańczysz — skarciła chłopca matka.

— To tylko nauka, mamo, nie zabawa.

— Jaka nauka?

— Nauka tańca! — odparł syn i zauważył, że ojciec i dziadek nie mają mu tego za złe. Ale usiadł spokojnie przy stole.

— Może pojedziesz jutro ze mną w pole? — zaproponował dziadek.

— Nie wiem.

— Może jechać — powiedział ojciec, jakby to było coś ważnego.

Koła żłobiły w mokrej ziemi głębokie koleiny, jechali smutni. Dopóki nie zginęły ostatnie budynki miasteczka, wówczas dziadek rozejrzał się czy nikogo nie ma w pobliżu i z piersi wyrwała się wojskowa carska piosenka, najpierw jedna, później druga. Staszek patrzył na niego, przerażony i trochę zgorszony. Nie widział go nigdy w takim humorze.

„Gory wierszyny wy maj dama
mandżurakije dalinу
tra ta ta ta ta".

Gdy podjeżdżali pod stodołę, tworzyli już zgrany duet. Staszek wystękował tylko w refrenie: Tra ta ta ta ta! Ze stodoły na powitanie wyszedł brat Staszka — Józek „wywieziony" na roboty do Niemiec. Ten sam, którego matka codziennie opłakiwała, a nocami wzywała jego imię: Józiu, Józieczku!

Dziadek puścił konia luzem. Józek nie miał kompletnie głosu, dziadek był więc szczęśliwy, że mogli mu zaśpiewać kilka naprawdę bardzo ładnych piosenek. Niektóre najlepiej wychodziły w marszu, maszerowali więc we dwóch, kurząc bratu do śniadania, które przywieźli.

— Ale w czasie wojny różnie bywa, byle było co jeść, to kurz nie kurz — tłumaczył dziadek Józkowi, gdy ten próbował się skarżyć.

Potem usiedli w rowku, dziadek zapalił skręta, poprawił czapkę i było widać, że od japońskiej wojny jeszcze się nie zdemobilizował.

Pod wieczór wracali do miasteczka. A gdy byli już blisko domu, dziadek zwrócił się do wnuka:

— Nic nie mów matce, ani babce, że widziałeś Józka. Po co mają się martwić, że go Niemcy złapią.

Chłopak skinął głową.

Przy kolacji ojciec spytał syna.

— No, jak wycieczka?

— Dobrze — odparł Staszek.

— Spotkaliście może kogo? — prowokacyjnie zapytał ojciec.

— A kogo mieliśmy spotkać?! — chłopiec na pytanie odpowiedział pytaniem.

Ojciec spojrzał na matkę, która była wyjątkowo spokojna.

CDN.

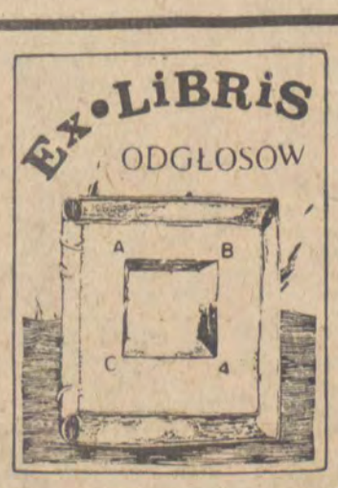

AFORYZMY TOŁSTOJA

W bogatej twórczości Lwa Tołstoja znaleźć można sporo ciekawych sentencji i „złotych myśli". Często te same maksymy posiadają różną formę, pojawiając się jednocześnie zarówno w utworach literackich pisarza, jak i w notatnikach, dziennikach, korespondencji, artykułach publicystycznych.

Sam Tołstoj niejednokrotnie wykorzystywał jako motto swoich artykułów sentencje ludzi wielkich uważając, że poprzez słowo można skutecznie umoralniać czytelnika. Pod koniec życia zaczął z określonym już nastawieniem światopoglądowym i religijnym zbierać maksymy znanych filozofów ludzi sztuki i nauki. Złożyły się one wraz z myślami i uwagami Tołstoja na tomy zatytułowane „Krąg lektury" i „Na dzień powszedni". Ta druga publikacja zawiera przeważnie sentencje własne pisarza.

Z niej też oraz z notatników autora opublikowanych w 1932 roku wybrano aforyzmy, które złożyły się na tomik wydany w serii „Biblioteka Aforystów" Państwowego Instytutu Wydawniczego. Wyboru dokonały i przełożyły: Małgorzata Biernacka i Anna Ratny.

Oczywiście nie wszystkie zamieszczone w tym zbiorze myśli mają czysto aforystyczny charakter. Niemniej jednak przytoczenie ich niezbędne jest dla możliwie pełnej prezentacji poglądów społecznych i filozoficznych Lwa Tołstoja.

Lew Tołstoj, „Aforyzmy", PIW, cena zł 20. —

EXPRESS REPORTERÓW

Mamy już styczeń 1979, a w serii „Express reporterów" dopiero tomik z czerwca 1978. Znakomita seria świetne reportaże, w każdym kolejnym wydaniu przynajmniej jedna autentyczna „bomba", ale wszystko to kładzie na obie łopatki skandaliczny wręcz cykl wydawniczy. Aż dziwne, że wszechpotężna KAW nie potrafi sobie z tym poradzić. Nawiasem mówiąc podobny los spotkał zeszyty o drugiej wojnie światowej, które miały się ukazywać co miesiąc, a — jak dotąd — ukazał się tylko... jeden, i to we wrześniu. Poślizg prawie taki sam, jak z „Expressem reporterów".

W czerwcowym tomie (którego druk zakończył się... we wrześniu) mamy kolejną opowieść: wywiad z gwiazdą reporterów, Ryszardem Kapuścińskim. Byłaby to opowieść ciekawsza, gdyby nie fakt, że w tym samym czasie ukazała się „Wojna futbolowa" samego bohatera wywiadu. Nieco słabsza, lecz ciekawie ukazująca kulisy (czy wszystkie?) telewizyjnego Studia Mundial jest publikacja Tomasza Honfera. Wreszcie społeczny reportaż Tadeusza Kucharskiego „Gdy zadrży dłoń chirurga" oraz „gwiazda" czyli pedagog Maria Łopatkowa. W sumie tomik bardzo ciekawy tylko, drogi KAW-ie, zrób coś z tym spóźnionym cyklem wydawniczym!

„Express reporterów", KAW, cena zł 20.—

DZIECI WSZECHŚWIATA

Drugie już wydanie głośnej książki Holmara von Ditfurtha „Dzieci wszechświata" rozeszło się błyskawicznie, podobnie jak wydanie pierwsze. Autor jest profesorem psychiatrii i neurologii na uniwersytecie w Heidelbergu i od lat zajmuje się publicystyka naukową. Jest wydawcą periodyku naukowego „Apollo". „Po głośnych „Dzieciach wszechświata" wydał Ditfurth książkę „Na początku był wodór". Dodajmy że i ta pozycja znajduje się w planach serii PIW „Biblioteka myśli współczesnej", zwanej potocznie „plus minus nieskończoność" od znaku graficznego serii.

Humanistyczny sens pracy Ditfurtha wyraża się w przydawaniu racji pewnemu niezbędnemu poczuciu: poczuciu harmonii między człowiekiem a otaczającym go światem. Co prawda współczesna cywilizacja podważa bezlitośnie tę naturalną harmonię, ale to już inna historia.

W „Dzieciach wszechświata" dowodzi się tezy, że nie jesteśmy „podrzutkami wszechświata", jesteśmy jego dziećmi. Jest to prawda — tym ważniejsza, że równie piękna jak bardzo nam potrzebna.

Holmar von Ditfurth, „Dzieci wszechświata", PIW, cena 45 zł.

POWRÓĆ DO NAS, SOWO...

Olga Czajkowska, współczesna pisarka radziecka rozpoczęła działalność literacką od reportaży sądowych drukowanych na łamach „Litieraturnoj Gazety". Doświadczenia zdobyte w tej pracy wykorzystuje w książce „Powróć do nas, sowo...", zawierającej poza wątkiem sensacyjnym obserwacje natury socjologicznej i elementy powieści obyczajowej. Autorka odkrywa motywy postępowania bohaterów z głęboką znajomością psychiki ludzkiej, ludzkich ambicji i słabości.

Olga Czajkowska, „Powróć do nas, sowo..." PIW, cena 15 zł.

zdarzenia i zwierzenia

ZAPROSZENIE DO „KOLIBRA"

Koliber to — jak wiadomo — maleńki, barwny ptaszek. Nie wiem czemu **Klub Zakładów Mechanicznych im. J. Strzelczyka** taka właśnie nazwę otrzymał przed 17 laty, gdy na piętrze przy ul. Świerczewskiego 5 rozpoczynano tu działalność kulturalno-oświatową. Mogę się jedynie domyślać: ten ówczesny klub był rzeczywiście swego rodzaju kolibrem. Jedną maleńką salką...

Szybko jednak, dzięki pomocy zakładu, z małego „kolibra" zrobił się spory dom kultury dysponujący dziś salą imprezową, sportową, kameralną, dyskoteką, biblioteką. Dziś klub prowadzi szeroką działalność środowiskową, rozpoczynał zresztą tę działalność jako jeden z pierwszych w Łodzi, gdy inne zakładowe placówki tego typu drzwi miały szczelnie zamknięte dla ludzi spoza fabryki. Dziś klub współpracuje z Komisją Wychowania Młodzieży Samorządu Mieszkańców oraz współdziała ze **Stowarzyszeniem Muzyki Estradowej**.

Od ponad 3 lat SME prowadzi wspólnie z klubem **„Wszechnicę estradową"** oraz **„Gawędy o muzyce i piosence"**. Nic więc dziwnego, że młodzieży znana jest dobrze ta placówka o oryginalnym i atrakcyjnym programie działania.

W ramach „Wszechnicy" i „Gawed" organizuje się więc spotkania z reżyserami, artystami, publicystami — przygotowuje się aktyw kulturalno-oświatowy, zapoznaje się młodzież z najnowszymi nagraniami, zapoznaje się słuchaczy z pracą radia i telewizji. Istnieje nawet sekcja kształcąca przyszłych konferansjerów.

Współpraca klubu z SME przynosi korzyści obu stronom. Klub ma zapewniony fachowy program dwu atrakcyjnych cykli, załoga zakładów korzysta ze specjalnych zniżek na występach Estrady i SME z kolei stworzyło się korzystne z sali prób „Kolibra" a pracownikom SME zakłady udostępniły swoje ośrodki wczasowe i kolonijne.

Ale działalność klubu nie kończy się na tej współpracy. W ramach „Sojuszu świata pracy z kulturą" od 3 lat istnieje w „Kolibrze" Mała Akademia Filmowa, w ramach której odbywają się premiery, spotkania z twórcami, dyskusje i prelekcje. To we współpracy z Okręgowym Przedsiębiorstwem Rozpowszechniania Filmów, Natomiast współdziałanie z zespołem „Profil" daje załodze uczestnictwo w premierach, a filmowcom możliwość realizacji filmów na terenie zakładów.

Twórcą i animatorem tych działań „Kolibra" jest popularny w Łodzi prezenter i działacz kulturalny, **Janusz Gust** — od 10 lat kierownik klubu. Umiejętnie wiążąc własną pracę artystyczną na estradach Łodzi i kraju z pracą kierownika placówki, okazał się znakomitym organizatorem działalności upowszechniającej w zakładowym klubie. To z jego inicjatywy odbywają się koncerty „Premia z piosenką", dedykowane poszczególnym wydziałom produkcyjnym imprezy w halach fabrycznych na styku zmian, występy „Po raz pierwszy w »Kolibrze«"...

Fakt łączenia przez **Janusza Gusta** pracy artystycznej z pracą upowszechnieniową i organizatorską sprawia, że „Kolibra" nie omijają ciekawi, znani wykonawcy. Występowali tu m.in. **Iga Cembrzyńska, Lidia Zamkow, Jan Kobuszewski, Jonasz Kofta, Wojciech Siemion, zespół autorski popularnej audycji „60 minut na godzinę", Piotr Janczerski, „Wawele"...** Nawiasem mówiąc, właśnie w „Kolibrze" stawiali swoje pierwsze kroki **Ewa Sienżanka, Krzysztof Cwynar, Krystyna Wawrzkiewicz.**

Janusz Gust — aktor estradowy z kategorią A — od 15 lat występuje na estradach, prowadząc niegdyś głośne koncerty Łódzkiego Klubu Jazzowego, a od 10 lat większość imprez SME, współpracował z Canon-Rytmem, opracowuje montaże reżyserskie... A jednocześnie jako działacz kulturalny organizuje społeczne koncerty SME w szpitalach, domach dla przewlekle chorych, domach rencistów itp.

W wywiadzie dla „Kalejdoskopu" **Janusz Gust** powiedział: „Mam dwa zawody: pracownika k.-o. oraz artysty estradowego. Mam więc dwie pasje, nie wykluczają się one. Myślę nawet, że się uzupełniają. Godzę je pracując intensywnie."

To prawda. Efekty obu tych pasji **Janusza Gusta** widać zarówno na łódzkich estradach jak i w codziennej, programowej działalności Klubu Zakładowego „Koliber". Klubu, który dawno przestał być mały i niepozorny, a stał się jedną z najciekawszych placówek kulturalno-oświatowych naszego miasta.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

WACŁAW OLSZEWSKI

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

propozycje

KTO PYTA—NIE BŁĄDZI

Jest takie powiedzenie: strzelił, jak piorun z jasnego nieba. Licho wie, skąd się to powiedzenie wzięło, bo powszechnie wiadomo, że pioruny z jasnego nieba nie strzelają. Potrzebne są do tego burzowe chmury. Z najgęstszych chmur nawet nie wypadnie jednak pięciokilogramowa bryła lodu. Zdarzał się grad wielkości kurzego jaja, ale to zupełnie coś innego. A jednak w jugosłowiańskim mieście Splicie na dach muzeum archeologicznego w piękny słoneczny dzień spadła pięciokilogramowa bryła lodu, wybijając w tym dachu 60-centymetrową dziurę, czemu nie ma się znów co dziwić.

Lód skrzętnie zebrano, złożono w lodówce, a następnie, też w lodówce, przesłano go do Instytutu Badań Nuklearnych w Zagrzebiu. Tam lód poddano analizie i okazało się, że zawiera on najcięższy izotop promieniotwórczy wodoru — tryt, którego używa się do produkcji bomby wodorowej. Do tej pory nic jednak nie było wiadomo, aby w niebiosach aniołowie konstruowali bombę wodorową. Specjaliści skłaniają się raczej ku hipotezie, że owa bryła lodu mogła oderwać się od samolotu szybującego w stratosferze, gdyż tam właśnie można spotkać tryt. Na pocieszenie dodają, że ilość radioaktywnego trytu nie jest szkodliwa, ale w ogóle więcej o tej niecodziennej bryle lodu, która spadła z jasnego nieba, będzie wiadomo po dalszych badaniach. Więcej, to jednak nie znaczy wszystko.

Nasza ukochana rzeczywistość nieustannie płata nam figle, a to zrzucając bryłę lodową w Splicie, a to zrzucając „meteora", w tajdze nad rzeką Tunguzką, a to nadsyłając z planety Wenus zupełnie nieoczekiwane informacje, jakby chciała przypomnieć uczonym, że ich wiedzę trzeba mierzyć ich niewiedzą. W XIX wieku wydawało się już, że świat został poznany i przyszli uczeni nie będą mieli nic do roboty. Ledwie minął wiek XIX, a okazało się, że błądzono. Nasi uczeni nie tylko, że mają co robić, ale im więcej robią i odkrywają, tym bardziej okazuje się, że jeszcze więcej jest do zrobienia. I oto w Anglii ukazała się książka, która stanowi rejestr naszej naukowej niewiedzy. Książka ta nazywa się „The Encyclopeadia of Ignorance" — Encyklopedia niewiedzy. W książce tej 58 wybitnych uczonych sformułowało pytania, na które nauka powinna znaleźć odpowiedzi. Z tej okazji Maciej Iłowiecki w „Polityce" słusznie zauważył, że trzeba zazdrościć czytelnikom z XXI wieku, którzy będą już znali przynajmniej część z odpowiedzi na postawione teraz pytania, i będą — co jest równie ważne — wiedzieli, czy te pytania zostały postawione właściwie. Właściwie formułowane pytania mają — nie tylko w nauce zresztą — znaczenie podstawowe, pozwalają nie błądzić, szybciej zbliżyć się do prawdy.

Nie jest przypadkiem, że książka ta ukazała się właśnie teraz, kiedy dokonuje się coś, co nazywamy szumnie rewolucją naukowo-techniczną, choć nie wiemy, czy przyszłe pokolenia termin ten zaakceptują. Być może przyjdą dopiero czasy prawdziwej rewolucji naukowo-technicznej, czego my w swoim zadufaniu nawet nie przeczuwamy. Jest jednak faktem, że żyjemy w czasach szybkiego rozwoju nauki i techniki i właśnie to powoduje, że możemy być świadomi pytań, na jakie trzeba znaleźć odpowiedzi. W XIX wieku byłoby to niemożliwe, bo wtedy wydawało się uczonym, że już poznali świat. A my dziś wiemy, jak mało wiemy, dopiero przeczuwamy, jak wiele jeszcze nie wiemy. I mamy również świadomość — może nie powszechną — jak często możemy się mylić, błądzić w swoich poszukiwaniach.

Chcemy dziś wiedzieć nie tylko o tym, co nas otacza na ziemi, ale również w Kosmosie. Badamy rzeczywistość w skali makro i mikro, zaglądamy poza chmurną zasłonę planety Wenus i w głąb struktury materii. Wysyłamy listy w niezbadane obszary Wszechświata z nadzieją, że kogoś tam spotkamy i staramy się poznawać tajemnice Wszechświata na tyle, na ile jest to możliwe w naszych warunkach. A otrzymywane odpowiedzi na nasze pytania są coraz bardziej zaskakujące.

Nim ziemskie sondy ruszyły w przestrzeń kosmiczną, aby poznać Marsa czy Wenus, wszystko było fajnie. Ułożono sobie różne teorie powstania Układu Słonecznego, uzupełniano je, zmieniano, modernizowano. Ale kiedy tylko zaczęły napływać dane z innych planet, okazało się, że wszystko można spokojnie wrzucić do kosza i zasiąść do nowego myślenia. Nowe dane, jakie napływają z Wenus, po lądowaniu tam próbników sond amerykańskich i radzieckich, dowodzą, że wiele hipotez było błędnych. Amerykański uczony — prof. McElroy uważa na przykład, że Wenus trzeba zacząć badać od zera. Być może przesadza, ale myślę, że bardziej chodzi mu o sposób myślenia niż o stan wiedzy o tej planecie. Istotnie postęp nauki i techniki zmusza do tego, aby do wielu spraw podchodzić w zupełnie inny, nowy sposób. Słowem — stawiać nowe pytania. Bez takich pytań postęp jest niemożliwy. Tylko, że nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Niektórzy — jak w XIX wieku — sądzą, że wiedzą już wszystko o otaczającym ich świecie.

MARCIN RODAK

SĄ, CZY NIE MA?

lewym okiem

Nie wierzę w krasnoludki, ani w cudowne działanie mleczka pszczelego, ani w to, że odwiedzają nas goście z innych planet, latający na spodkach i cygarach. Nie wierzę, ale przecież nie może tak być, żeby ciągle się coś działo nad naszą ziemią, a nikt nam niczego nie może czy nie chce wyjaśnić. Już nas uszy pieką z napiętej ciekawości, czytamy przecież prawie co dzień o zjawiskach obserwowanych przez setki i tysiące ludzi. W Londynie powstały korki na ulicach, bo tłumy ludzi stały z zadartymi głowami gapiąc się na popisy świecącego dysku. Nikt nie uciekał, nie było paniki, były za to telefony do władz i na lotnisko z żądaniem wyjaśnień: co to jest? Nikt nie odpowiedział.

W Lizbonie i w Buenos Aires fotografowano po kilka dni z rzędu uganiające po niebie świetliste dziwotwory. We Włoszech co parę dni widuje się to krążki, to cygara, pojedyncze i w całych eskadrach. Latają sobie i już, ludzie piszą, telefonują — co to tam lata? Przyjaciel czy wróg? Puste balony, czy obłoki, czy zwyczajne przywidzenia?

Ba, przywidzenia nie przydarzają się tysiącom ludzi jednocześnie, a tym bardziej nie dają się fotografować. Bardzo poważni ludzie, z prezydentem Stanów Zjednoczonych na czele, widzieli już latające obiekty. A także ludzie bardzo zrównoważeni i nie skorzy do bajdurzenia, jak ten lotnik w Australii, który zameldował w czasie lotu, że towarzyszy mu jakieś świecące nie wiadomo co a potem zamilkł i znikł jak kamfora; jak ci inżynierowie z Kuwejtu, którzy widzieli startujący z pustyni dysk z odległości paruset metrów.

Mierzymy temperaturę planety Wenus i kierunek wiatrów na Marsie. Mamy sposoby na zbadanie składu chemicznego gwiazd niewyobrażalnie dalekich, potrafimy wykrywać w przestrzeni ciała całkiem niewidoczne i umiemy wystrzelić rakietę, która sama będzie szukać nakazanego celu i gonić za nim, niekoniecznie po linii prostej. Taka rakieta przecież strąciła słynny amerykański samolot wywiadowczy Powersa nad Związkiem Radzieckim. Skąd więc ta absolutna bezradność wobec Niezidentyfikowanych Obiektów Latających? Już nikt nie próbuje twierdzić, że ich nie ma. I nikt nie próbuje naprawdę wyjaśnić, czym są. Jak to jest możliwe? Czy to coś naprawdę nie daje się uchwycić, czy dawno zostało uchwycone i obmierzone, tylko nie czas mówić o tym publicznie?

To jest domysł groźny społecznie, groźniejszy od suponowania wizyt kosmicznych. Mówiąc prościej: czy mamy nadal podejrzewać czysto ziemskie, ale bardzo po ziemsku nieczyste sprawy dziejące się nad naszymi głowami? Dla trzeźwego, materialistycznego sposobu myślenia łatwiejszym jest takie założenie, niż myśl o kosmitach z Drogi Mlecznej. Łatwiejsze, ale bardzo niepedagogiczne i frustrujące. Chcielibyśmy wreszcie usłyszeć o wynikach przeprowadzonych poważnych badań, albo przynajmniej o poważnych próbach zidentyfikowania tego, co nie zidentyfikowane, albo — jeśli to wszystko bujda — o ostatecznym uznaniu wszystkiego za bujdę i zaniechaniu publikowania wiadomości o latających obiektach. Albo ich nie ma, albo czas najwyższy bąknąć coś o tym, czym są. Sprzykrzyła nam się bierna, bezradna obserwacja.

ĆWIEK

sport

CZY ZMIENI SIĘ NAM KLIMAT?

Nowy rok, jaki nam się niedawno zaczął, rodzi nadzieje, że przyniesie nowe sprawy, sukcesy, nowe spojrzenia na wiele ze sportowych dziedzin. Ruszą na start narciarze, łyżwiarze, saneczkarze, hokeiści. Może coś zmieni się w nie najlepszej sytuacji sportu zimowego? Nadzieję, trzeba mieć zawsze, ale sama nadzieja nie wystarczy. Potrzeba do tego solidnej pracy, dobrego przygotowania i dobrego sprzętu i tego wszystkiego wypada życzyć w nowym roku sportowcom zajmującym się sportami zimowymi.

Nim jednak dotrą do nas wyniki zimowych konkurencji, nadal aktualne pozostają sprawy... piłki nożnej. Wydawałoby się, że skoro piłkarze odpoczywali przez święta, wrócili do treningów, nie wyjechali na obozy kondycyjne, i przygotowują się do nadchodzącego sezonu, to wokół spraw najpopularniejszej dyscypliny sportowej będzie cicho. Ale dzieje się inaczej.

Z Belgii doszła wiadomość, że ujęto sprawców, nieudanego na szczęście, zamachu na Włodzimierza Lubańskiego. Zbigniew Boniek został piłkarzem roku 1978, Andrzej Iwan narozrabiał w nowohuckiej kawiarni i został zawieszony, Kazimierz Górski zmienił pracę i trenuje zespół innego greckiego klubu, a wielu kibiców zastanawia się: „czy z Holandią można wygrać?"

Ktoś jednak słusznie zauważył, że na listach plebiscytowych, jakie zwykle układa się pod koniec każdego roku, wśród kandydatów do najlepszych sportowców mało było piłkarzy. Powstał dzięki temu paradoks: piłka nożna jest niewątpliwie najbardziej popularnym sportem, a piłkarze nie są popularnymi sportowcami. Coś tu nie gra? Tylko co?

W redakcyjnej dyskusji „Sztandaru Młodych" Edmund Zientara — trener zespołu olimpijskiego — powiedział:

„Poprzednie sukcesy przykryły nieprawidłowości. Teraz sukcesów zabrakło a jednocześnie ujawniono negatywne zjawiska. W sumie stwarza to nieprzychylny klimat dla naszej dyscypliny, ma również bezpośredni wpływ na naszą pracę".

Myślę, że to nie jest cała prawda. Zresztą uważny czytelnik dyskusji w „SM" mógł się przekonać, że inni nie bardzo zgadzali się z takim postawieniem sprawy, uważając, że polska piłka nożna znajduje się na średnim poziomie, że przyczyn tego trzeba szukać w poziomie gry drużyn ligowych, że przede wszystkim ustępujemy pod względem technicznego przygotowania zawodników, że... i tak dalej. Wszystko to każdy myślący kibic wie od dawna i miał już okazję wielekroć przedyskutować w gronie kolegów. Tylko zespołowi kierującemu polską piłką nożną wszystko to wydaje się nowe i odkrywcze.

Od dawna przecież pisano i mówiono, że źle się dzieje w królestwie polskiej piłki nożnej, ale ludzie za to odpowiedzialni wołali, że fajno jest i tylko trzeba czekać na niebotyczne sukcesy. Nie mam zamiaru nikomu nic wypominać, bo i po co, ale taka jest niestety prawda. A teraz nagle okazało się, że król jest nagi i kilku piłkarzy stanęło przed sądem. Pozwano ich, aby przy pomocy prawa odebrać uprzednio hojnie wypłacane im premie i zasiłki na zagospodarowanie się i urządzenie. Jak głosi fama, niektóre kluby przygotowują następne pozwy bez względu na wyniki spraw już odbywających się przed sądem. Być może dojdzie i do tego, że właściwe władze poproszą prezesów klubów sportowych, aby ujawnili księgi finansowe nieksięgowanych finansów. Nie jestem naiwna i nie wierzę, że „lewe sumy", o których dość już głośno, nie są nigdzie księgowane.

Siedzi więc kibic przed telewizorem, ogląda skoki narciarskie, albo patrzy jak narciarze zjeżdżają z góry i rozmyśla, co mu też przyniesie nowy rok? Kto z ligi spadnie a kto się utrzyma i kto uplasuje się w górnych rejonach tabeli, a komu opłaci się siedzieć cicho, w środku? Jak też będzie spisywać się nasza reprezentacja, której jeszcze nie ma? A jak pójdzie przygotowanie reprezentacji olimpijskiej? Specjaliści twierdzą, że zaczęto ją formować o pół roku za późno. Inni — że o kilka lat za późno. Bo przecież inne kraje od dawna miały dwie reprezentacje: narodową i olimpijską. Nic więc to nowego w europejskim futbolu.

A ja piłkarzom na ten nowy rok życzę wszystkiego najlepszego, a przede wszystkim, aby mieli umiejących perspektywicznie myśleć działaczy i trenerów. Bo zdolnych piłkarzy nam nie brakuje. I znów paradoks. Mamy utalentowanych piłkarzy, nawet nasi weterani są cenieni na zagranicznych boiskach, a w kraju znów coś nie gra. Atmosfera niedobra, klimat niewłaściwy, brak dyscypliny, brak... i tak dalej. A może by tak te braki pousuwać?

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 650 41 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2816. A-2.